

HIROMI KAWAKAMI

SENSEI I MIŁOŚĆ

Przełożyła Anna Zalewska

Księżyc i baterie

Właściwie nazywa się sensei Matsumoto Harutsuna, ale ja będę mówić o nim po prostu Sensei. Nie sensei pisane małą literą, ale właśnie tak: Sensei.

W szkole średniej uczył mnie języka i literatury narodowej. Nie był naszym wychowawcą, a i ja nie byłam tak bardzo zainteresowana tym przedmiotem, nie mogę więc powiedzieć, żebym go szczególnie dobrze zapamiętała. Odkąd skończyłam liceum, przez dłuższy czas nie spotkałam go ani razu.

Kilka lat temu przypadkiem usiedliśmy obok siebie w knajpce koło stacji i od tego czasu co rusz się spotykamy. Sensei siedział wyprostowany jak struna na wysokim stołku przy barze.

– Tuńczyk z *nattō*. Korzeń lotosu smażony na ostro. Solone cebulki – powiedziałam, siadając przy barze, i prawie jednocześnie starszy pan obok również złożył zamówienie:

– Solone cebulki. Smażony korzeń lotosu, na ostro. Tuńczyk z *nattō*.

Spojrzałam zaciekawiona, kto ma tak podobny gust do mojego, a wtedy on też spojrzał na mnie. Podczas gdy ja się zastanawiałam, gdzie widziałam tę twarz, starszy pan przemówił:

– Pani Ōmachi Tsukiko, prawda?

Skinęłam głową, zaskoczona.

– Co jakiś czas widuję panią tu, w tym barze – kontynuował.

– Aha – powiedziałam niepewnie i spojrzałam na Senseia.

Starannie, gładko zaczesane włosy, biała koszula równo zaprasowana, popielata kamizelka. Na ladzie przed nim stoi ceramiczna karafka na ćwierć litra¹, talerzyk z pozostawionym kawałkiem cienko pokrojonego wielorybiego tłuszczu i miseczek z resztką wodorostów mozuku. Stwierdziłam z aprobatą, że co do zakąsek starszy pan ma gust taki jak ja, i wtedy niewyraźnie przypomniła mi się jego sylwetka na podwyższeniu, za stołem, w klasie licealnej.

Sensei zawsze, kiedy pisał na tablicy, trzymał w drugiej ręce gąbkę do ścierania. Pisze kredą „Wiosną cudne są zorze”² czy coś podobnego i zaraz to wszystko ściera, choć jeszcze pięć minut nie minęło. Nawet kiedy prowadził wykład, zwrócony twarzą do uczniów, nie wypuszczał z rąk tej gąbki. Zdawało się, że pasek umocowany wokół niej był przyrośnięty do żyłastej lewej ręki Senseia.

¹ Dokładniej karafka mieszcząca 1 *gō* (0,18 litra); w Japonii współcześnie używa się systemu metrycznego miar i wag, ale w odniesieniu do alkoholu nadal często można się spotkać z tradycyjnymi miarami (wszystkie przypisy, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

² Pierwsze słowa *Makura no sōshi*, czyli *Notatnika osobistego*, klasycznego dzieła japońskiego z przełomu X i XI wieku, tutaj w przekładzie Wiesława Kotańskiego, za: *Dziesięć tysięcy liści*, Warszawa 1961, s. 195.

– Trochę to dziwne, że kobieta przychodzi sama do takiego baru – powiedział Sensei, podnosząc palczkami ostatni kawałek wielorybiego tłuszczu, który przed chwilą umoczył delikatnie w sosie z miso i octu.

– Hmm – odpowiedziałam i nalałam sobie piwa do szklanki.

Już sobie przypomniałam, że to mój nauczyciel z liceum, ale ciągle nie pamiętałam jego nazwiska. Wypiłam całe piwo. To, że Sensei pamiętał nazwisko jednej ze swoich dawnych uczennic, budziło we mnie zarówno podziw, jak i pewne zakłopotanie.

– Wtedy nosiłaś chyba dwa warkoczyki?

– Aha.

– Czułem, że cię znam, kiedy tak cię widywałem w tym barze.

– Aha...

– Powinnaś mieć chyba trzydzieści osiem lat?

– Skończę trzydzieści siedem, w tym roku.

– Przepraszam, przepraszam.

– Nie szkodzi.

– Poszukałem cię na listach obecności i w waszym albumie, żeby sprawdzić.

– Aha.

– Na twarzy w ogóle się nie zmieniłaś.

– To pan raczej się nic nie zmienił, Sensei. – Dodałam to słówko „Sensei”, zawstydzona tym, że nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. I od tego momentu stał się dla mnie właśnie Senseiem.

Tego wieczoru wypiliśmy we dwoje prawie litr sake. Za wszystko zapłacił Sensei. Kiedy następnym razem spotkaliśmy się i piliśmy w tym samym barze, to ja uregulowałam rachunek. A już od trzeciego razu nasze zamówienia były zapisywane osobno i każde płaciło osobno. I odtąd tak robimy zawsze. Te spotkania trwają chyba dzięki temu, że mamy tak podobne temperamenty, Sensei i ja. Nie tylko upodobania co do zakąsek nam się zgadzają. Myślę, że chodzi zwłaszcza o sposób zachowywania dystansu w kontaktach międzyludzkich. Różnimy się wiekiem o trochę ponad trzydzieści lat, ale Sensei wydaje mi się bliższy niż moi przyjaciele rówieśnicy.

W jego domu byłam już kilka razy. Bywa i tak, że wychodzimy z baru i przenosimy się do następnego, i tak, że rozchodzimy się do domów. Czasem idziemy dalej, do trzeciego i czwartego baru, a potem kończymy rundkę jeszcze jednym kieliszkiem u Senseia.

– To niedaleko, zajrzyj na chwilę. – Kiedy powiedział tak pierwszy raz, poczułam się trochę spięta.

Słyszałam wcześniej, że jego żona nie żyje. Odwiedzanie w domu kogoś, kto mieszka samotnie, wydało mi się trochę ryzykowne, ale tak już mam, że trudno mi podejmować stanowcze decyzje, kiedy trochę wypiję, więc w końcu weszłam.

Bałagan był większy, niż się spodziewałam. Wyobrażałam sobie schludny pokój bez śladu kurzu, a tymczasem w ciemnych kątach zobaczyłam stosiki jakichś przedmiotów. Z przedpokoju przechodziło się do wyłożonego dywanem pokoju, w którym stała stara kanapa, było całkiem porządknie i nic nie zapowiadało, że w następnym pokoju, wielkości ośmiu mat³, będą porozrzucane książki, zapisane ręcznie kartki papieru, gazety i inne rzeczy.

Sensei rozstawił niski stolik, spomiędzy rzeczy w kącie pokoju wyciągnął półtoralitrową butelkę sake i nalał do pełna do dwóch filiżanek różnej wielkości.

– Bardzo proszę – powiedział i na chwilę wyszedł do kuchni.

Pokój wielkości ośmiu mat wychodzi na ogród. Okiennice są otwarte po jednej na każdym oknie. Przez szklane drzwi niewyraźnie widać gałęzie drzew. To nie jest pora, kiedy kwitną kwiaty, więc nie wiem, co to za drzewa. Zasadniczo nie znam się na roślinach. Sensei właśnie wszedł do pokoju, niosąc na tacy porcję łososia i ostre chrupki ryżowe, więc zapytałam go:

– Co to za drzewa w ogrodzie?

– Wszystkie to wiśnie – odpowiedział.

– Tylko wiśnie?

– Wszystkie, wszyscyuteńkie. Żona lubiła.

– Wiosną musi tu być pięknie.

– Przyciągają owady, a jesienią jest mnóstwo opadłych liści, wtedy jest dość ponuro – powiedział, ale w jego głosie nie czuło się niezadowolenia.

³ W Japonii również dziś wielkość pokoju często określa się przez podanie liczby mat tatami układanych na podłodze; jedna mata to ok. 90 na 180 cm (wymiary są różne w zależności od regionu), czyli pokój o wielkości ośmiu mat ma ok. 13 m².

– Księżyc wzeszedł. – Wysoko na niebie wisiał zgrabny półksiężyc otoczony mgiełką. Sensei wziął garść chrupiek i podniósł filiżankę do ust, by wypić sake. – Nie można powiedzieć, żeby moja żona była zapobiegliwa czy dobrze zorganizowana.

– Aha.

– Jak jej się coś podobało, to się podobało, jak się nie podobało, to nie.

– Aha.

– Te chrupki są z Niigaty. Dobre są, takie ostre.

Rzeczywiście, ich kłująca w język ostrość pasowała do alkoholu. Przez chwilę nic nie mówiłam, tylko skubałam zakąskę. W koronach drzew w ogrodzie coś zatrzepotało. Może to ptaki? Doleciało mnie ciche ćwierkanie, przez moment słysząc też było, jak trzęsą się liście i gałęzie, potem wszystko ucichło.

– Czyżby miały tam gniazda? – zapytałam, ale nie dostałam odpowiedzi. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Sensei siedzi z nosem w gazecie. To chyba nie jest dzisiejsza gazeta, po prostu wyłowił ją spomiędzy leżących na podłodze, pomyślałam. Wydaje się całkowicie pochłonięty czytaniem rubryki wiadomości międzynarodowych, gdzie zamieszczone było zdjęcie kobiety w kostiumie kąpielowym. Wyglądał, jakby zapomniał o mojej obecności.

– Sensei – spróbowałam jeszcze raz, ale nie odpowiedział. Pełne skupienie.

– Sensei! – powiedziałam głośniej. Dopiero wtedy podniósł głowę.

– Chce pani poczytać, Tsukiko? – zapytał.

Nie czekając na moją odpowiedź, odłożył gazetę na podłogę, otworzył przesuwane drzwi i wyszedł do drugiego pokoju.

Ze starej komody wyjął jakieś przedmioty i wrócił, trzymając je w objęciach. Były to małe naczynia ceramiczne. Powtórzył tę drogę między pokojami kilka razy.

– Proszę, proszę – powiedział i mrużąc lekko oczy, ustawił naczynka delikatnie na matach. Naczynia miały rączki, pokrywki i dzióbki do nalewania.

– Proszę spojrzeć.

– Aha.

Co to może być? Pomyślałam, że gdzieś już widziałam coś takiego, i przyjrzałam się dokładniej. Wszystkie są dość surowej roboty. To chyba jakieś czajniczki? Ale jak na czajniczki są dość małe.

– To czajniczki pociągowe – powiedział Sensei.

– Czajniczki pociągowe?

– Kiedyś w podróży kupowało się *bentō*⁴, a do niego takie czajniczki z herbatą. Teraz herbata jest w plastikowych naczyniach, ale dawniej sprzedawali ją w takich właśnie czajniczkach pociągowych.

Na macie Sensei ustawił więcej niż dziesięć takich naczynek. Niektóre były koloru ciemnego bursztynu, inne dość blade. Kształtem też się różniły. Jedne miały grube dzióbki, inne – szczególnie duże rączki, malutkie pokrywki albo pękaty korpus.

– Czy pan je kolekcjonuje? – zapytałam, ale Sensei pokręcił głową. – Po prostu dawniej je kupowałem, razem z *bentō* dworcowym, kiedy byłem w podróży. Ten kupiłem w roku, kiedy dostałem się na uniwersytet, jechałem wtedy do Nagano. A ten, kiedy w czasie letnich wakacji wybrałem się z kolegą do Nary. W drodze wysiadłem na którejś stacji i kupiłem herbatę i *bentō*, dla kolegi też, ale pociąg odjechał, zanim do niego wróciłem. Tamten, kupiony w Odawarze, kiedy jechaliśmy w podróż poślubną, żona owinęła w gazety, żeby się nie potłukł, włożyła między warstwy ubrania i nosiła cały czas ze sobą.

⁴ *Bentō* to powszechne w Japonii zestawy jedzenia na wynos, kupowane w pracy, w pociągu itp. Zwykle zapakowane w pudełka z przegródkami, zawierają ryż i w osobnych przegródkach niewielkie ilości potraw z mięsa, ryb, warzyw itp.

I tak Sensei po kolei wskazywał palcem i opowiadał historię każdego z ustawionych w rzędzie na macie czajniczków pociągowych. Ja musiałam tylko potakiwać: ach tak, tak.

– Słyszałem, że są osoby, które kolekcjonują takie rzeczy, więc...

– I dlatego pan też, Sensei?

– Ależ skąd. Nie oddaję się takim szaleństwom. – Sensei zmrużył oczy. – Ja tylko czasem po prostu ustawiam sobie rzeczy, które mam w domu. Nie umiem niczego wyrzucić – dodał i z tymi słowami wyszedł jeszcze raz do sąsiedniego pokoju. Wrócił po chwili, niosąc tym razem kilka foliowych torebek.

– To są takie... – zaczął, rozwiązując jedną z nich.

Sięgnął do środka i wyjął garść baterii. Na każdej było coś napisane czarnym pisakiem: na jednej „golarka”, na innej „zegar ścienny”, na kolejnych „radio”, „latarka” i podobnie. Sensei wziął baterię R14 w palce.

– Ta jest z pięćdziesiątego dziewiątego, kiedy był ten straszny tajfun w zatoce Ise. Do Tokio także dotarł wtedy wyjątkowo silny tajfun i w ciągu jednego lata zużyłem w latarce tę baterię. O, a ta to z czasu, kiedy po raz pierwszy kupiłem magnetofon kasetowy. Wymagał ośmiu paluszków na raz, a też wyczerpywały się bardzo szybko. Pamiętam, że słuchałem symfonii Beethovena, po kilka razy odwracałem kasetę i w ciągu paru dni wszystkie się wyczerpały. Pomyślałem, że wszystkich ośmiu to nie, ale jedną odłożę: zamknąłem oczy i na raz, dwa, trzy, wziąłem właśnie tę.

Tak to mi objaśnił: współczuje biednym bateriom, które z takim oddaniem dla niego pracowały, i nie jest w stanie ich wyrzucić. Dotąd zapalały dla niego światło, pozwalały puszczać muzykę czy poruszały silniczkami, byłoby więc okrutne wyrzucić je natychmiast, gdy tylko padły.

– Czyż nie jest tak, Tsukiko? – zapytał Sensei, zerkając na moją twarz.

Nie wiedząc, jak odpowiedzieć, wydałam z siebie już chyba piętnaste tego wieczoru „aha” i dotknęłam czubkiem palca jednej z kilkudziesięciu baterii. Była zardzewiała i wilgotna. Na tej było napisane „kalkulator Casio”.

– Księżyc zszedł już całkiem nisko – powiedział Sensei, wskazując go głową. Księżyc wyszedł zza chmur i świecił jasno i mocno.

– Herbata musiała być smaczna, kiedy piło się ją z takiego czajniczka – wymamrotałam.

– Może zrobię herbaty – zaproponował Sensei.

Szybko sięgnął ręką do miejsca, gdzie stała półtoralitrowa butelka sake i po krótkich, hałaśliwych poszukiwaniach wygrzebał puszkę z herbatą. Nonszalancko nasypał listków herbacianych do bursztynowego czajniczka, podniósł pokrywkę starego termosu, który stał obok stolika, i nalał wrzątku.

– Ten termos dał mi mój uczeń. Jest bardzo stary, produkcji amerykańskiej, ale jak wlałem wrzątek wczoraj, tak do dziś jest gorący... Wspaniała sprawa.

Sensei nalał herbaty do filiżanek, z których przed chwilą piliśmy alkohol, i z szacunkiem pogłaskał termos. W mojej filiżance chyba musiało zostać trochę sake, bo herbata miała dziwny smak. Naraz poczułam się wstawiona i wszystko w polu mojego widzenia nabrało nowego uroku.

– Sensei, czy mogę rozejrzeć się po pokoju? – zapytałam i natychmiast, nie czekając na jego odpowiedź, weszłam między walające się w kątach ośmiomiatowego pokoju rzeczy. Makulatura. Stare zapalniczki Zippo. Ręczne lusterko, lekko podrdzewiałe. Duże czarne teczki ze skóry, pomarszczone od długiego używania, leżą aż trzy. I wszystkie tego samego typu. Jeszcze sekator. Pudełko na papiery. Coś czarnego, plastikowego, jakby pudełko. Z podziałką i igłą.

– Co to jest? – zapytałam, biorąc pudełko z podziałką.

– Co takiego? A, to. To jest miernik.

– Miernik – powtórzyłam zdziwiona, a wtedy Sensei delikatnie wyjął z moich rąk czarne pudełko i zaczął grzebać między porozrzucanymi rzeczami. Znalazł dwa przewody, czarny i czerwony, i podłączył je do miernika. Oba przewody miały na końcach styki.

– O, w taki sposób – powiedział Sensei i podłączył czerwony przewód do jednego końca baterii opatrzonej napisem „golarka”, a czarny do drugiego. – Proszę spojrzeć, Tsukiko, o. – Sensei wskazał mi podbródkiem, ponieważ obie ręce miał zajęte, podziałkę na mierniku.

Igła lekko drży. Kiedy Sensei odłącza styki od baterii, igła zatrzymuje się, a gdy znów je podłącza, zaczyna drżeć.

– To znaczy, że zostało w niej trochę prądu – powiedział Sensei spokojnie. – Nie ma tyle siły, żeby poruszyć silniczkiem, ale jest w niej jeszcze odrobina życia.

Sensei podłączył do miernika po kolei kilka baterii. Większość z nich w ogóle nie poruszyła igłą na podziałce, ale znalazły się i takie, przy których igła drgnęła. Za każdym razem Sensei wydawał wtedy stłumiony okrzyk: „O!”.

– I tak sobie żyją po cichutku – powiedziałam, a on lekko przytaknął i powiedział beztroskim, nieobecny głosem:

– Tylko że w końcu wszystkie wyczerpią się i padną.

– Spełniają się we wnętrzu tej komody.

– Rzeczywiście, chyba na to wychodzi.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy, czasem zerkając na księżyc, wreszcie Sensei odezwał się rześkim głosem:

– Napijemy się jeszcze trochę sake? – I ponalewał do naszych filiżanek. – Oj, w filiżance jeszcze była herbata.

– Czyli mam koktajl na herbacie.

– Nie robi się koktajli z sake i herbaty.

– Nie szkodzi, Sensei.

I wypiałam jednym haustem moją sake, powtarzając: Nie szkodzi, nie szkodzi. Sensei tymczasem siorbie swoją porcję małymi łyčzkami. Księżyc lśni jasno na niebie.

– „Przez wierzby prześwieca

rzeka, co nocą bieleje,

a na drugim brzegu, na polu dymem owianym...”⁵ – znienacka wyrecytował Sensei.

– A co to, sutrę mi pan tu recytuje? – zapytałam, na co on obruszył się:

– Tsukiko, ty naprawdę nie uważałaś na zajęciach z japońskiego.

– O czymś takim nas pan nie uczył – mówię.

– To przecież Irako Seihaku, prawda? – mówi Sensei. Takim nauczycielskim tonem.

– Nigdy nie słyszałam o żadnym Irakosei Haku – powiedziałam, sięgając po butlę sake, i bez pytania nalałam sobie do filiżanki.

– Kto to widział, żeby kobieta sama sobie nalewała, Tsukiko – skarcił mnie gospodarz.

– O, pan to jest stary, staroświecki – odparowałam.

– Stary, ale jary – mruknął Sensei i też nalał sobie pełną filiżankę.

– „...A na drugim brzegu,

na polu dymem owianym,

niesie się słaby dźwięk fletu i dotyka serca wędrowca”...

Z zamkniętymi oczami wygłasza te słowa, jakby wsłuchiwał się w swój głos. Ja spoglądam nieuważnie na mniejsze i większe baterie. Leżą spokojnie w słabym świetle lampy. Księżyc znów zaczął okrywać się mgiełką.

⁵ Fragment wiersza *Hyōhaku* (*Wędrownka*) Irako Seihaku, 1877-1946 (przekład mój – A.Z.).

Piskłeta

To Sensei zaproponował, żebyśmy wybrali się na targ urządzany w dni z ósemką.

– To znaczy, że targi są ósmego, osiemnastego i dwudziestego ósmego. W tym miesiącu dwudziesty ósmy przypada w niedzielę, więc ten dzień chyba by ci odpowiadał – powiedział Sensei i z teczki, którą zawsze miał przy sobie, wyciągnął kalendarzyk.

– Dwudziesty ósmy? – Ja też wyjęłam kalendarzyk i zaczęłam powoli przewracać kartki, choć przecież i tak nie miałam w nim wpisanych żadnych terminów. – Tak, mogę wtedy – odpowiedziałam, jakbym to właśnie z trudem ustaliła.

Sensei grubym piórem wpisał pod datą dwudziestego ósmego: „Targ ósmego dnia. Tsukiko. Południe. Przystanek autobusu, Minamimachi”. Ma ładne pismo.

– Spotkajmy się w południe – powiedział, chowając kalendarzyk do teczki.

Bardzo rzadko zdarza nam się widzieć w biały dzień. Nasze spotkania zwykle wyglądają tak: siedzimy obok siebie w ciemnym barze i – o tej porze roku – nabieramy na pałeczki kawałki schłodzonego tofu, trochę wcześniej byłoby to raczej podawane na gorąco *yudōfu*, do tego popijamy małymi łyżkami sake. Mówię „nasze spotkania”, ale to nie jest tak, że się umawiamy na nie, raczej przypadkiem natykamy się na siebie. Zdarza się tak, że nie widzimy się przez kilka tygodni, bywa i tak, że pijemy razem co wieczór.

– A co to za targ? – zapytałam, nalewając sobie sake do kieliszka.

– Targ jak targ. Na targach są różne rzeczy używane na co dzień.

Oczywiście.

Pomyślałam, że to będzie bardzo dziwne, pójść z Senseiem oglądać „rzeczy używane na co dzień”, ale niech tam. Też wpisałam do kalendarzyka: „Południe, przystanek bus, Minamimachi”.

Sensei powoli wypił do dna, a potem sam sobie nappełnił kieliszek. Nalewa, lekko przechylając ceramiczną ćwierćlitrową karafkę, a alkohol spływa z cichym gulgotem. Sensei nie przysuwa jej do kieliszka tak, by go niemal dotykała, tylko trzyma ją dosyć wysoko. Sake cienkim strumyczkiem spływa do kieliszka, jakby ją coś tam wsysało. Ani kropelka się nie marnuje. Sensei jest w tym naprawdę dobry. Spróbowałam go kiedyś naśladować i nalać, trzymając butelkę wysoko, ale rozlałam prawie wszystko. Szkoda było zmarnowanego alkoholu. Od tamtego razu trzymam się mojej wypróbowanej, choć nieeleganckiej metody: w lewej ręce mocno ściskam kieliszek, a prawą przysuwam karafkę bliźiuteńko, do samej jego krawędzi.

Cóż, rzeczywiście, ktoś z firmy powiedział mi kiedyś, że w moim nalewaniu nie widać seksapilu. Seksapil to pojęcie dość staroświeckie, a i samo przekonanie, że odnajdzie się je w tym, że to kobieta nalewa sake, też jest staroświeckie. Zdziwiona, przyjrzałam się uważnie koledze. A on chyba to źle zrozumiał, bo kiedy wyszliśmy z baru, zaczął się w ciemnym kącie, a potem próbował mnie pocałować. O nie, pomyślałam i z całej siły odepchnęłam obiema rękami jego zbliżającą się twarz.

– Możesz się mnie nie bać – szepnął. Oderwał moje ręce od swojej twarzy i znów spróbował zbliżyć ją do mojej. Wszystko to też jest bardzo staroświeckie. Z wysiłkiem powstrzymałam się od wybuchu.

– A i dzień dziś niepomyślny – powiedziałam, udając powagę i głosem, i wyrazem twarzy, jakbym parodiowała przemawianie na weselu.

– Dzień niepomyślny?

– Dziś jest *tomobiki*, niepomysłny dzień. A jutro *shakkō*, też zły dzień; to dzień tygrysa i starszego brata metalu⁶.

– Co?

Zostawiłam kolegę stojącego w ciemności z rozdziawionymi ustami i puściłam się pędem do wejścia do metra. Biegłam jeszcze nawet po tym, jak już zeszałam po schodach na peron. Kiedy upewniłam się, że kolega nie idzie za mną, weszłam do toalety i załatwiłam się, po czym starannie umyłam ręce. I zaśmiałam się, widząc w lustrze odbicie mojej twarzy z potarganymi włosami.

Sensei nie lubi, żeby mu nalewać. I piwo, i sake nalewa sobie sam, bardzo starannie. Raz zdarzyło się, że to ja nalałam mu pierwszą szklankę piwa. W chwili kiedy przechyliłam butelkę nad szklanką, Sensei drgnął, o włos, no, może o trzy włosy, jednak nic nie powiedział. Kiedy szklanka była już pełna, spokojnie podniósł ją, mruknął pod nosem: – Zdrowie! – i wysuszył jednym haustem. Lekko mu się odbiło, kiedy wypił wszystko. Pewnie dlatego, że pił tak pospiesznie. Chyba chciał jak najszybciej wypić to piwo. Wzięłam do ręki butelkę, żeby znowu mu nalać, ale Sensei wyprostował się i powiedział:

– Ależ dziękuję bardzo. Proszę się nie kłopotać. Ja lubię sobie sam nalewać.

I od tego czasu bardzo uważam, żeby Senseiowi nie nalewać. Za to zdarza się, że on nalewa mnie.

Sensei zjawił się na przystanku po mnie. Ja przyszałam piętnaście minut przed umówioną godziną, on – dziesięć. Była słoneczna niedziela.

⁶ Pojęcia z tradycyjnego kalendarza, przeniesionego do Japonii z Chin. *Tomobiki* i *shakkō* to dwa z tzw. *rokuyō* lub *rokki*, sześciu dni tworzących jeden cykl. *Tomobiki* to dzień, kiedy ranek i wieczór są pomyślne, a środek dnia nie, przy czym nazwa *tomobiki*, „wiodący za sobą przyjaciela”, sprawia, że uważa się go za dzień nieodpowiedni na pogrzeby. *Shakkō* uważany jest za dzień bardzo niepomysłny. Z kolei określenie „dzień tygrysa i starszego brata metalu” pochodzi z cyklu sześćdziesięciu elementów, w którym pięć żywiołów w dwóch aspektach, starszego i młodszego brata, łączy się z dwunastoma znakami zodiaku.

– Ależ te brzostownice szumią – powiedział, spoglądając na kilka drzew rosnących w pobliżu przystanku.

Rzeczywiście, gałęzie gęsto pokrytych ciemnozielonymi liśćmi brzostownic poruszają się na wietrze. Chociaż nie mam wrażenia, żeby tu na dole wiało, jednak czubki brzostownic są wysoko w górze i wiatr wyraźnie nimi kołysze.

Jest gorący letni dzień, ale mało wilgoci, dlatego w cieniu jest przyjemnie chłodno. Do Teramachi dojechałam autobusem, a stamtąd kawałek podeszłam. Sensei założył kapelusz, panamę, a do tego hawajską koszulę w zgaszonych kolorach.

– Dobrze pan wygląda w tej koszuli – mówię.

– Ależ co ty mówisz – powiedział szybko i ruszył spieszным krokiem. Przez chwilę oboje szliśmy bez słowa, aż wreszcie Sensei zwolnił i zapytał:

– Nie jesteś głodna?

– Głodna nie, ale trochę zabrakło mi tchu – wysapałam, na co on zaśmiał się i powiedział:

– Mówisz dziwne rzeczy, tak nie można.

– Ja nie mówię nic dziwnego. To pan modnie wygląda – odparowałam, ale na to już nie odpowiedział i zaraz potem wszedł do sklepu specjalizującego się w *bentō*.

– Proszę jeden zestaw specjalny z wieprzowiną i *kimchi* – powiedział Sensei do obsługującej kobiety, po czym zwrócił się w moją stronę. – A ty?

Menu wydało mi się aż zbyt obfite, nie wiedziałam, co jest czym. *Bibimba*⁷ z jajkiem sadzonym na chwilę przyciągnęła moją uwagę, ale nie podobało mi się, że była z sadzonym zamiast z samym żółtkiem. A ja jak raz się zawaham, to potem już bez końca deliberuję i nie mogę się zdecydować.

– To ja też poproszę zestaw z wieprzowiną i *kimchi*. – Żeby zakończyć przedłużające się rozważania, zamówiłam wreszcie to samo co mój towarzysz.

Usiedliśmy obok siebie na ławeczce ustawionej w kącie sklepu i czekaliśmy na przygotowanie naszych potraw.

– Pan jest wyraźnie przyzwyczajony do zamawiania tutaj – powiedziałam.

Sensei kiwnął głową.

– To dlatego, że mieszkam sam. A ty gotujesz dla siebie?

– Kiedy jestem z kimś, wtedy owszem, gotuję – powiedziałam, a on kiwnął głową z poważną miną.

– Racja. Może ja też powinienem mieć kogoś, tak z jedną czy dwie kobiety.

– Z dwiema byłoby chyba panu ciężko.

– Cóż, w każdym razie dwie to górna granica.

Wymienialiśmy te dość bezsensowne uwagi, a w tym czasie przygotowano zamówienia. Sprzedawczyni podała nam nasze zestawy w torbach foliowych, każdy innej wielkości.

– One się różnią, a przecież zamawialiśmy to samo – szepnęłam Senseiowi do ucha.

⁷ Popularna ostatnio w Japonii koreańska potrawa z ryżu smażonego z mięsem, warzywami, jajkiem, zwykle przyprawiona na ostro.

– No, ale przecież ty zamówiłaś nie zestaw specjalny, a zwykły – odpowiedział cicho. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, poczułam, że wiatr przybrał na sile. Sensei wziął torbę z *bentō* do prawej ręki, a lewą przycisnął kapelusz do głowy.

Wzdłuż drogi zaczęły pojawiać się pojedyncze stoiska. A to stoisko z japońskimi skarpetkami palczastymi, ale takimi podbitymi gumą, do chodzenia na dworze, a to stoisko ze składanymi parasolkami. Ze starymi ubraniami. Z książkami, starymi i nowymi, przemieszanymi ze sobą. Po chwili weszliśmy między dwa szeregi straganów.

– Ta okolica w czasie tajfunu czterdzieści lat temu była całkowicie zalana przez wodę.

– Czterdzieści lat temu?

– Wielu ludzi wtedy zginęło – powiedział Sensei i wyjaśnił, że od tamtego czasu urządza się tutaj targi.

W następnym roku po powodzi były organizowane raczej na małą skalę, ale już od kolejnego roku wróciły trzy duże targi co miesiąc. Z biegiem lat zyskiwały popularność i teraz wzdłuż jezdnii od przystanku autobusowego przy Teramachi do przystanku Kawasuji-Zachód już nie tylko w dni z ósemką, ale i w inne też większość straganów działa.

– Tędy, tędy. – Sensei wszedł do małego parku, trochę odsuniętego od jezdni. Wydaje się, że nikogo w nim nie ma. Na głównej drodze ludzie tłoczą się, ale wystarczyło zejść z niej kilka kroków i znaleźliśmy się w cichym, spokojnym miejscu. W automacie z napojami przy wejściu do parku Sensei kupił dwie butelki z zieloną herbatą z ryżem.

Usiedliśmy obok siebie na ławce i otworzyliśmy nasze *bentō*. Natychmiast buchnął z nich zapach *kimchi*.

– Czyli pan ma zestaw specjalny, prawda?

– Owszem, i co z tego?

– A czym on się różni od tego zwykłego?

Głowa przy głowie, uważnie przyjrzeliliśmy się naszym posiłkom.

– Nie ma chyba większych różnic – powiedział Sensei wesoło.

Bez pośpiechu wypiliśmy nasze herbaty.

– Muszę powiedzieć, że jesz ze smakiem, Tsukiko – powiedział Sensei jakby z zazdrością, przyglądając się, jak jem ryż wymieszany z resztką sosu od wieprzowiny z *kimchi*. On sam już skończył swoją porcję.

– Przepraszam, że tak nieelegancko się zachowuję.

– Rzeczywiście, nie jest to zbyt eleganckie. Ale za to wygląda, jakby ci smakowało. – Mówiąc to, Sensei zamknął puste już pudełko po jedzeniu i założył na nie z powrotem gumkę.

Park był regularnie obsadzony wiśniami i brzostownicami. To chyba dość stary park, bo jedno i drugie wyrosły wysoko.

Kiedy minęliśmy zakątek z różnymi sprzętami domowymi, weszliśmy między stragany z żywnością. Stragany sprzedające wyłącznie różne rodzaje fasoli. Stragany z różnymi rodzajami mały. Stragany sprzedające małe krewetki i kraby w koszykach. Stragany z bananami. Sensei zatrzymuje się przy każdym z nich i zagląda ciekawie. Ma skłonność do wyginania się trochę do tyłu. Przygląda się towarom na straganach, stojąc tuż przy nich, elegancko wyprostowany.

– Tsukiko, ta ryba wydaje się bardzo świeża.

– Ale muchy się przy niej gromadzą.

– Tak to już jest z muchami.

– Sensei, nie kupi pan tego kurczaka?

– Ale to cały kurczak. Skubanie piór jest naprawdę trudne.

Tak się przekomarzaliśmy, oglądając towary, których żadne z nas nie miało zamiaru kupić. Stragany stoją coraz gęściej, stykają się daszkami. Sprzedawcy prześcigają się w zachętach do kupowania.

– Mamusiu, jak ta marchewka smacznie wygląda – mówi chłopczyk do mamy, która niesie w rękach koszyk z zakupami.

– Przecież ty chyba nie lubisz marchewki? – pyta mama, jakby się bardzo zdziwiła.

– Ale mówię ci, że ta marchewka wygląda jakoś tak smacznie – odpowiada dziecko przemądrzałym tonem.

– Mały, masz rację, warzywa u nas są naprawdę dobre – wtrąca się głośno sprzedawca.

– Może rzeczywiście ta marchewka jest dobra? – zastanawia się Sensei, przyglądając się warzywom.

– Wygląda na najzwyklejszą marchew.

– Hm.

Kapelusz przekrzywił mu się na głowie. Sensei idzie, jakby pozwalał się nieść fali ludzi, chwilami jego sylwetka niknie mi z oczu. Odszukiwałam go za każdym razem, kierując się na jego panamę, nieodmiennie widoczną nad głowami. Sensei zupełnie nie zwraca uwagi na to, czy jestem w pobliżu, czy też nie. Jak pies, który zatrzymuje się przy każdej latarni, tak on wrasta w ziemię przed każdym straganem, który przyciągnie jego uwagę.

Mama z synkiem, których widziałam przed chwilą przy marchewce, stanęli teraz przed stoiskiem z grzybami.

Sensei zatrzymał się tuż za nimi.

– Mamusiu, te sromotniki⁸ wyglądają smacznie.

– Przecież ty chyba nie lubisz sromotników.

– Ale mówię ci, że te sromotniki wyglądają jakoś tak smacznie...

I mama, i dziecko powtarzały te same kwestie.

– Aaa, oni po prostu mają przyciągać klientów – powiedział Sensei takim tonem, jakby go to ucieszyło.

– Zadali sobie trochę trudu, żeby zorganizować duet matki i dziecka.

– Ale z tymi sromotnikami to już przesada.

– Aha.

– Wystarczyłoby coś prostego, jak pieczarki.

⁸ *Kinugasatake* – łac. *Phallus indusiatus* – grzyby z rodziny sromotnikowatych, od dawna jedzone w Japonii i Chinach.

Nawet nie zauważyłam, kiedy kramy z jedzeniem ustąpiły stoiskom z dużymi sprzętami. Elektryczne urządzenia gospodarstwa domowego. Komputery. Aparaty telefoniczne. Małe lodówki, ustawione po kilka w odmiennych kolorach. Na starych gramofonach kręcą się longplaye. Dobięgl mnie cichy dźwięk skrzypiec. Prosty utwór w staroświeckim stylu. Sensei stanął i wysłuchał go do końca.

Choć jest środek popołudnia, już niepostrzeżenie zaczyna się wkradać atmosfera wieczoru. Ledwo minęła ta pora dnia, kiedy jest największy upał.

– Nie chce ci się pić? – zapytał Sensei.

– Tak, ale wieczorem napiję się piwa, więc do tego czasu już nie będę piła – odpowiedziałam.

– Bardzo dobrze.

– To był jakiś test?

– Co do alkoholu jesteś bardzo pojętną uczennicą. Zupełnie inaczej było u ciebie z japońskim.

Zaszliśmy przed stoisko sprzedające koty. Były tam i dopiero co urodzone kocięta, i duże, jakby obdarzone nadmierną masą ciała, koty. Jakieś dziecko domagało się, żeby mama kupiła mu kotka. To znów była ta napędzająca klientów para.

– Nie mamy miejsca, żeby hodować kota – mówi mama.

– Nie szkodzi, możemy go trzymać na dworze – odpowiada cichutko dziecko.

– Na dworze, na dworze, myślisz, że taki sklepowy kot to przeżyje na dworze?

– Przeżyje, zobaczysz, że przeżyje.

Właściciel sklepu w milczeniu przysłuchuje się rozmowie. Wreszcie dziecko wybrało małego przegowanego kotka. Właściciel owinał zwierzątko w miękki materiał, a mama odebrała je i delikatnie włożyła do koszyka na zakupy. Z dna koszyka rozlegają się stłumione miauknięcia.

– Tsukiko – odezwał się naraz Sensei.

– Tak?

– Ja też sobie kupię.

Sensei podszedł jednak nie do sklepiku z kotami, a do innego, z piskletami.

– Poproszę jedną samiczkę i jednego samczyka – powiedział zdecydowanym tonem.

Właściciel straganu sprawnie wyłowił z podzielonych na lewą i prawą stronę stadek po jednej sztuce i włożył ptaki do dwóch osobnych pudełek. Mruknął: – Proszsz! – i podał je Senseiowi. Ten wziął pudełka ostrożnie, niemal z lękiem. Trzymając oba na lewej dłoni, prawą wyjął portfel z kieszeni i podsunął go mnie.

– Bardzo przepraszam, możesz zapłacić?

– To ja lepiej potrymam pudełka.

– Dobrze.

Jego kapelusz przekrzywił się jeszcze bardziej. Otarłszy chustką czoło, Sensei zapłacił za pisklęta. Schował portfel do kieszeni na piersi i po krótkim wahaniu zdjął kapelusz. Odwrócił go do góry nogami, odebrał ode mnie pudełka i jedno po drugim włożył do panamy. Potem ostrożnie wsunął kapelusz pod pachę i ruszył dalej.

Wsiedliśmy do autobusu na przystanku Kawasuji-Zachód. W drodze powrotnej było dużo luźniej. Na targu za to znów zaroilo się od ludzi. Może przyszli na wieczorne zakupy.

– Podobno bardzo trudno jest rozróżnić płęć takich piskląt – powiedziałam. Sensei odpowiedział czymś w rodzaju „hmm”, ale po chwili burknął:

– Tyle to i ja wiem.

– Aha.

– Jest mi wszystko jedno, czy te pisklęta to samce czy samiczki.

– Aha.

– Ale w pojedynkę byłoby im smutno, więc...

– Ach tak?

– Tak jest.

A więc to tak, pomyślałam, kiedy wysiedliśmy z autobusu i ruszyłam za Senseiem do tego samego baru co zawsze. Piwo. Dwie butelki – Sensei od razu złożył zamówienie. I zieloną soję w strączkach jako zakąskę. Piwo i szklanki po chwili pojawiły się przed nami.

– Może naleję panu piwa? – zapytałam, ale Sensei pokręcił głową.

– Dziękuję. To ja tobie naleję, Tsukiko. I sobie też.

– Nie lubi pan, żeby mu nalewać?

– Jeśli ktoś umie to robić, nie mam nic przeciwko temu, ale ty nie umiesz.

– Ach tak.

– Może cię nauczę?

– Dziękuję, nie trzeba.

– Uparta z ciebie osoba.

– Raczej z pana.

Piana zeszywniała na piwie nalanym mi przez Senseia. Zapytałam go, gdzie będzie hodował te pisklęta, i w odpowiedzi usłyszałam, że przez jakiś czas w domu. Z pudełek umieszczonych w kapeluszu dobiegają ledwo słyszalne głosiki piskląt. Spytałam, czy lubi hodować zwierzęta, a Sensei pokręcił głową.

– Nie powiem, żeby za tym przepadał.

– Ale poradzi pan sobie?

- Pisklęta nie są aż tak śliczne.
- I to dobrze, że nie są śliczne?
- Gdyby były zbyt śliczne, mógłbym się za bardzo do nich przywiązać.

Pisklęta cicho szeleszczą w pudełkach. Ponieważ Sensei wypił swoje piwo, dołałam do jego szklanki. Tym razem nie odmówił. Jeszcze trochę, więcej piany. Tak, tak. W ten sposób, spokojnie, przyjął to, że to ja nalałam mu piwa.

Tego dnia poprzestaliśmy na piwie, bo zgodziliśmy się, że trzeba szybko wypuścić pisklęta z tych ciasnych pudełek. Zjedliśmy soję w strączkach, pieczone bakłażany i ośmiornicę z wasabi, po czym dokładnie podzieliliśmy rachunek.

Kiedy wyszliśmy przed bar, słońce już prawie zaszło. Ciekawe, czy mama i chłopczyk, których widzieliśmy na targu, zjedli już kolację? Czy kotek miauczy? Wieczorna zorza jeszcze pozostawała widoczna na zachodzie.

Dwadzieścia dwie gwiazdy

Nie odzywamy się z Senseiem do siebie.

To nie jest tak, że się nie spotykamy. Widzimy się całkiem często w tym samym barze co zwykle, tylko nie odzywamy się do siebie. Każde z nas wchodzi, rzuca szybkie, ukradkowe spojrzenie, żeby się upewnić, czy to drugie jest, i dalej już zachowujemy się tak, jakbyśmy się nie znali. I ja udaję, że go nie znam, i Sensei też udaje, że mnie nie zna.

Tak się dzieje mniej więcej od czasu, kiedy na tablicy, na której wypisywane są potrawy sezonowe, zaczęły się pojawiać „Zimowe dania w kociołkach”, więc niedługo będzie już chyba cały miesiąc? Zdarza się nawet, że siedzimy obok siebie przy barze, jednak nie zamieniamy ze sobą ani słówka.

A zaczęło się od radia.

Właśnie leciała bezpośrednia transmisja meczu baseballowego. Zbliżała się ostatnia runda w walce o zwycięstwo. Rzadko się zdarza, żeby w naszym barze było włączone radio. Siedziałam oparta łokciami o bar i nieuważnie słuchałam transmisji, popijając podgrzaną sake.

Po jakimś czasie drzwi otwały się i wszedł Sensei.

– Co dziś podajecie w kociołku? – zapytał szefa, siadając na sąsiednim krześle. W kredensie stało kilka aluminiowych kociołków o powgniatanych ściankach, takich na porcję dla jednej osoby.

– Dorsz w chili.

– O, to brzmi dobrze.

– To jak, zamawia pan kociołek? – zapytał szef, ale Sensei potrząsnął głową.

– Poproszę jeżowce w soli.

Ten to nie umie wybiegać myślą w przód, pomyślałam, słuchając tej wymiany zdań.

Trzeci z kolei pałkarz drużyny atakującej wykonał dalekie odbicie. Trąbki i bębny kibiców zagrały forte.

– A której drużynie ty kibicujesz, Tsukiko?

– Żadnej szczególnie – odpowiedziałam i napełniłam swój kieliszek gorącą sake. Wszyscy pozostali klienci w barze przysłuchiwali się transmisji z wielką uwagą.

– Co do mnie, oczywiście kibicuję Gigantom – powiedział Sensei. Jednym haustem dopił piwo i następnie przerzucił się na sake. Wydaje się, jak by to powiedzieć... bardziej przejęty niż zwykle? Czym on się tak przejmuje?

– Mówi pan, „oczywiście”?

– Tak, oczywiście.

To była transmisja meczu tokijskich Gigantów z Tygrysami z regionu Kansai⁹. Nie mam drużyny, którą mogłabym nazwać moją, ale Gigantów to ja tak naprawdę nie lubię. Dawniej wręcz głosiłam otwarty antygigantyzm. Pewnego razu ktoś mi zwrócił uwagę, że antygigantyzm to po prostu wyrażenie opisujące od drugiej strony upartego człowieka, który zwyczajnie nie za bardzo lubi Gigantów. Potrafiło to jakąś znajomą strunę, słowo „Giganci” stało się dla mnie tabu i przestałam go w ogóle używać. Przestałam też interesować się transmisjami z rozgrywek baseballowych. Właściwie sama już nie wiem, czy jestem zwolenniczką Gigantów, czy też ich przeciwniczką. Bardzo niejasna sytuacja.

Sensei powoli przechylił karafkę. Za każdym razem, gdy miotacz Gigantów doprowadzał do trzeciego autu albo gdy ich pałkarz wybijał piłkę daleko, Sensei z aprobatą kiwał głową.

– Czy coś się stało, Tsukiko? – zapytał w momencie, kiedy w pierwszej połowie siódmej rundy Giganci zaliczyli *home run* i mieli trzy punkty przewagi nad Tygrysami. – Kołysziesz się, jakbyś miała chorobę sierocą.

Bo rzeczywiście, kiedy Giganci osiągnęli przewagę w punktach, zaczęłam kołysać się na krześle.

– Kiedy zapada noc, robi się zimno, prawda? – Odpowiedź, bez żadnego związku z jego pytaniem, skierowałam nawet nie do niego, tylko do sufitu. W tym momencie zawodnik Gigantów znowu posłał piłkę daleko.

⁹ Region Kansai obejmuje miasta Kioto, Osaka, Kobe i okolice; nazwa ta jest używana często w przeciwstawieniu do nazwy regionu Kantō, oznaczającej Tokio i okolice. Siedzibą Tygrysów jest miasto Nishinomiya, leżące między Osaką a Kōbe, ale drużyna ma swoich fanów w całym regionie, a ich głównymi rywalami są Giganci z Tokio.

– Ooo! – wykrzyknął Sensei, a mnie wyrwało się ciche: – Psiakrew!
– Giganci wykonali jeszcze jeden obieg i dołożyli czwarty punkt przewagi. W barze zawrzało. Dlaczego fani Gigantów wypełniają świat? Nie podoba mi się to.

– Tsukiko, czy ty nie lubisz Gigantów? – zapytał Sensei, kiedy w drugiej połowie dziewiątej rundy zawodnik Tygrysów został wyautowany po raz drugi. Bez słowa kiwnęłam głową. W barze panowała cisza. Prawie wszyscy klienci przysłuchiwali się transmisji. Poczulałam przypływ niepokoju. Po raz pierwszy od dawna słuchałam transmisji i moja krew wroga Gigantów zawrzała. Poczulałam pewność, że ja jednak po prostu jestem wrogiem Gigantów, a nie jakąś ich pokreconą zwolenniczką.

– Nie cierpię – odpowiedziałam niegłośno.

Sensei otworzył szeroko oczy.

– Ale jak to, jesteś Japonką i nie lubisz Gigantów? – wymamrotał.

– A co to za jakieś uprzedzenie? – powiedziałam i właśnie wtedy pałkarz Tygrysów zaliczył trzeci aut.

Sensei wstał z krzesła i podniósł wysoko kieliszek. Transmisja radiowa dobiegała końca i w barze znów zrobiło się gwarno. W jednej chwili z różnych stron zaczęły płynąć zamówienia na sake i zakąski, na które właściciel baru odpowiadał głośnym: „Tajes!”.

– No i wygrali, Tsukiko. – Szeroko uśmiechnięty Sensei podniósł swoją karafkę, żeby z niej nalać do mojego kieliszka. A to się rzadko zdarza. Oboje przyjęliśmy, że nie podbieramy sobie nawzajem alkoholu i zakąsek. Zamówienia składamy osobno. Alkohol każdy nalewa sobie. Rachunek też każde płaci za siebie. Dotąd przestrzegaliśmy tych reguł, aż tu nagle, w takim momencie, Sensei mi dolewa. Łamię niepisaną zasadę. No proszę, i to dlatego, że Gigantom zdarza się wygrać. O, takie nierozważne skracanie tej wygodnej odległości pomiędzy Senseiem a mną jest niedopuszczalne. Gówniane Giganty.

– Ale o co panu chodzi? – cicho, bardzo cicho powiedziałam, odsuwając kieliszek od karafki Senseia.

– Nagashima dobrze ich prowadził. – Sensei nalał mi jednak sake do kieliszka, choć starałam się go odsunąć. Nawet jednej kropli nie uрониł. Co za zręczność.

– Ach, jak wspaniale, że im tak wspaniale poszło. – Nie wypijając ani kropelki, odstałam kieliszek z nalaną przez Senseia sake i odwróciłam się w bok.

– Tsukiko, takie powtarzanie „wspaniale” w jednym zdaniu brzmi dziwnie.

– Strasznie przepraszam, że jestem taka straszna.

– Miotacz też był dobry.

Sensei śmiał się. Jeszcze się śmieje ten łajdak, zgrzytnęłam zębami w duchu. A on śmiał się głośno. To nie w jego stylu, tak rechotać, zawsze jest bardzo cichy.

– Skończmy już tę rozmowę – powiedziałam, zerkając na niego. Sensei jednak nie przestaje się śmiać. W tym śmiechu, gdzieś głęboko pod spodem, kryło się coś dziwnego. Coś, co można zobaczyć w kącikach oczu chłopca, który rozdeptuje małe mrówki i bardzo go to bawi.

– Nie skończę. Nie ma mowy, nie skończę.

Co on wyprawia? Wiedząc, że nie lubię Gigantów, cieszy się moim niezadowoleniem. Tak, zdecydowanie cieszy go to.

– Drużyna znana jako Giganci to gówno – powiedziałam i wylałam sake z kieliszka na pusty talerz, do ostatniej kropelki.

– A cóż to za język? Jak na młodą damę, wyrażasz się naprawdę niedopuszczalnie – odpowiada Sensei, teraz już opanowanym tonem. Prostuje się przy tym jeszcze bardziej niż zwykle i wypija kolejny kieliszek.

– Ja tam nie jestem jakąś „młodą damą”.

– A to przepraszam.

Pomiędzy mną a Senseiem zaczął narastać niepokój. Byłam na przegranej pozycji. W końcu to Giganci wygrali. Przez jakiś czas piliśmy w milczeniu. Nawet nie zamawialiśmy zakąsek, tylko raz po raz dolewaliśmy sobie alkoholu. W końcu i on, i ja zupełnie się upiliśmy. Bez słowa zapłaciliśmy nasze rachunki, wyszliśmy z baru i rozeszliśmy się do domów. I od tego czasu nie odzywamy się do siebie.

Jak się tak zastanović, tylko z Senseiem spędzałam czas.

Poza nim już od dłuższego czasu nie było nikogo, z kim zdarzałoby mi się usiąść i napić sake, iść razem ulicą czy oglądać coś ciekawego.

Nie mogę sobie przypomnieć, z kim spędzałam czas, zanim się zaprzyjaźniłam z Senseiem.

Byłam sama. Sama wsiadałam do autobusu, sama chodziłam po mieście, sama robiłam zakupy i sama piłam sake. Kiedy byłam z nim, czułam się tak samo jak wcześniej, kiedy wszystko robiłam w pojedynkę. Skoro tak, to można by pomyśleć, że nie muszę się starać, żeby spędzać z nim czas, jednak gdy byłam z nim, czułam się pełniejsza. Pełniejsza, to też może dziwne określenie? Albo może powiedziałabym, że to jest tak, jakbym nie zdejmowała obwoluty ze świeżo kupionej książki, tylko odłożyła ją w takim nienaruszonym stanie? Sensei by się chyba pogniewał, gdyby się dowiedział, że został porównany do obwoluty.

Kiedy spotykamy się w barze i udajemy, że się nie znamy, mam wrażenie, że dzieje się tak, jakby książka i jej obwoluta zostały rozdzielone, i źle się z tym czuję. Ale ta chęć szybkiego poprawienia czegoś, z czym się źle czuję, jest irytująca. A i Senseia też to z pewnością irytuje. I tak wciąż udajemy, że się nie znamy, i końca tego nie widać.

Zdarzyło się ostatnio, że w związku z pracą musiałam pojechać na Kappabashi. Był wietrzny dzień, w cienkiej marynarce trzęsłam się z zimna. To nie był melancholijny jesienny wiatr, tylko gwałtowne wichrzysko, wywołujące wrażenie zimowego chłodu. Przy ulicy Kappabashi mieści się wiele specjalistycznych sklepów ze sprzętami kuchennymi. Garnki i kociołki, talerze i miseczki, i wszelkie inne pomniejsze naczynia. Kiedy już załatwiłam moją sprawę, szłam ulicą, zaglądając czasem do sklepów. Miedziane garnki wstawione jeden w drugi. To są garnki tego samego rodzaju, każdy następny tylko o rozmiar mniejszy, a piętrzą się jak wieże. Dziwnie duże garnki ceramiczne są poustawiane dekoracyjnie przed sklepami. Łopatki i chochelki we wszystkich rozmiarach. Są i sklepy z nożami. Noże do ryb i drobiu, tasaki do siekania warzyw, specjalne noże do sashimi, także same ostrza ciągnęły się długimi rzędami w sklepach, widocznych przez szklane drzwi. Były i cążki do paznokci, i nożyce do kwiatów.

Zafascynowana blaskiem tych wszystkich ostrzy weszłam do sklepu i w kącie zobaczyłam różne tarki do warzyw. Napis na tekturze głosił: „Wyprzedaż terek”. Pod nim piętrzyły się zestawy terek, połączonych gumkami za ręczki.

– Ile za to? – zapytałam ekspedientkę o jedną z mniejszych.

Dziewczyna w fartuszkach odpowiedziała:

– Tysiąc jenów.

I dodała:

– Równie tysiąc, to już z podatkiem.

Wydawało mi się, że usłyszałam: „z do płatkami”. Wręczyłam jej ten tysiąc i poczekałam, aż zapakuje mi mój zakup.

Mam już w domu tarkę. Ale zawsze, kiedy jestem na Kappabashi, mam ochotę coś kupić. Kiedy byłam tu poprzednio, kupiłam duży garnek żeliwny. Pomyślałam, że się przyda, jak więcej osób przyjdzie coś zjeść. Tylko że niemal się nie zdarza, żeby w moim małym mieszkanku zebrało się więcej osób. A nawet jak już miałam gości, nie umiałam wymyślić, co by tu dla nich przygotować w tak dużym garnku, bo nie byłam do niego przyzwyczajona. I tak stoi cały czas w kuchni schowany, w głębi szafki.

Nową tarkę kupiłam z myślą, że sprezentuję ją Senseiowi.

Kiedy zobaczyłam te lśniące noże, naraz zapragnęłam go znów spotkać. Kiedy patrzyłam na noże tak ostre, że jeśli by tylko ich dotknąć, natychmiast przecięłyby skórę i wypłynęłaby czerwona krew, bardzo zapragnęłam go znów zobaczyć. Nie wiem, co w ich blasku wywołało we mnie takie pragnienie, ale niewyobrażalnie mocno zapragnęłam go zobaczyć. Przyszło mi do głowy, żeby kupić choćby nóż do ryb i pójść z nim do domu Senseia, ale zaraz poczułam, że nóż nie pasowałby do tego miejsca. Nie pasowałby do tego ciemnego wnętrza i wilgotnego powietrza. Dlatego zdecydowałam się na tarkę o ostrych oczkach. Odpowiadała mi też cena, równiutki tysiąc jenów. Gdybym wydała dziesięć tysięcy, a on by mnie dalej ignorował, byłabym bardzo zła. Nie sądzę, żeby był aż tak fałszywy, niemniej jednak – jest przecież kibicem Gigantów. Nie mogę mu tak do końca wierzyć.

I niedługo później znów zeszedliśmy się z Senseiem w barze.

On oczywiście nadal udawał, że mnie nie zna, więc dałam się na to złapać i zachowywałam się tak jak on.

Siedzieliśmy przy barze oddaleni od siebie o dwa miejsca. Był między nami mężczyzna, który pił sam, czytając gazetę. Po drugiej stronie gazety Sensei zamówił tofu na gorąco. Ja zamówiłam to samo.

– Zimno jest, prawda? – powiedział szef, a Sensei przytaknął. A może powiedział: „Faktycznie”. Nie dosłyszałam, bo gazeta szeleściła.

– Rzeczywiście, ochłodziło się nagle – odezwałam się poprzez gazetę i wtedy Sensei zerknął w moją stronę. Jego wyraz twarzy mówił: „Oo!”. To był dobry moment, żeby chociaż skinąć mu głową, ale moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Szybko odwróciłam głowę. Poprzez mężczyznę i jego gazetę dało się wyczuć, że Sensei powoli odwrócił się do mnie plecami.

Podano nam tofu na gorąco. W tym samym tempie co Sensei dziobałam pałeczkami moją porcję, w tym samym tempie co on wypijałam kolejne kieliszki i w tym samym tempie co on upiłam się. Oboje byliśmy spięci, więc dłużej trwało, zanim alkohol uderzył nam do głów. Mężczyzna z gazetą ciągle nie zamierza wstać. Siedzimy po jego obu stronach, każde zwrócone w bok, i udając, że jesteśmy zupełnie spokojni, pijemy sake.

– Rozgrywki pierwszej ligi też już się chyba skończyły? – powiedział mężczyzna do właściciela baru.

– Wkrótce zima.

– Nie cierpię, jak jest zimno.

– Za to gorące zupy w kociołkach jak wtedy smakują.

Właściciel baru i mężczyzna rzucają od niechcienia takie uwagi. Sensei obrócił głowę. Zdaje się, że patrzy na mnie. Czuję, jak jego spojrzenie powoli mnie ogarnia. Ja też ostrożnie zwróciłam się w jego stronę.

– Może się tu przesiądziesz? – powiedział Sensei cicho.

– Tak – odpowiedziałam równie cicho.

Miejsce obok Senseia, po drugiej stronie mężczyzny z gazetą, jest wolne. Powiedziałam właścicielowi baru, że się przesiadam, i poszłam tam z moją karafką i kieliszkiem.

– Dobry wieczór – powiedziałam, a Sensei mruknął pod nosem coś ledwo słyszalnego, co zabrzmiało jak „Aa!”.

A potem oboje, siedząc przodem do lady, zaczęliśmy znów pić każde swoją sake.

Zapłaciliśmy swoje rachunki i podnosząc *noren*¹⁰, wyszliśmy na zewnątrz. Było cieplej, niż myślałam, a na niebie migotały gwiazdy. Było później niż zwykle.

– Sensei, proszę – powiedziałam i podałam mu trochę już pomięte od noszenia zawiniątko.

– Co to jest? – Sensei odebrał od mnie paczuszkę, postawił na ziemi teczkę i dopiero wtedy delikatnie rozpakował prezent.

Z torebki wyłoniła się mała tarka. Ładnie błyszcząca w słabym świetle przesączającym się przez *noren*. Ładniej nawet niż wtedy, kiedy widziałam ją w sklepie na Kappabashi.

– To tarka, prawda?

– To tarka.

– To dla mnie?

– Proszę.

Niezręczna wymiana zdań. Nasze rozmowy zawsze takie były. Spojrzałam w niebo i podrapałam się po czubku głowy. Sensei starannie zapakował tarkę, włożył ją do torby, wyprostował się i zaczął iść.

Szłam i liczyłam gwiazdy. Sensei szedł przede mną, a ja z zadartą głową liczyłam gwiazdy. W momencie gdy naliczyłam osiem, powiedział znienacka:

– „*Śliwy, zielenina, dziś w gospodzie Mariko*¹¹ zupa z pochrzynu.

¹⁰ *Noren*, zasłona, zwykle rozcięta pionowo w połowie lub w kilku miejscach, zawieszana w wejściu do tradycyjnych japońskich restauracji i barów.

¹¹ Gospoda Mariko znajdowała się w mieście Shizuoka na szlaku Tōkaidō, wiodącym od Kioto do Edo (dawną nazwa Tokio). Znana była z podawanej tam tororojiru, gęstej zupy ze startego na tarce np. pochrzynu (nagaimo). Wiersz ułożony przez Bashō (por. następny przypis) w podróży, wiosną, na co wskazują wymienione w nim rośliny.

– A cóż to takiego? – zapytałam, a Sensei obrócił głowę i powiedział z ubolewaniem:

– Czy ty Bashō¹² też nie znasz?

– Ach, to Bashō? – odpowiedziałam pytaniem.

– Tak, Bashō. Uczyłem was chyba tego, dawno temu, prawda?

Nie pamiętałam takiego wiersza. Sensei szedł coraz prędzej.

– Sensei, zbyt szybko pan idzie – powiedziałam do jego pleców. Nie było odpowiedzi. Trochę mnie to zirytowało. – W gospodzie Mariikoo zuupa z pochrzynu... – powtórzyłam, umyślnie przeciągając słowa na dziwną melodię.

Sensei jeszcze przez chwilę szedł, nie odwracając się do mnie, ale wreszcie stanął.

– Następnym razem ugotujmy sobie razem zupę z pochrzynu. Ten wiersz Bashō mówił o wiośnie, ale pochrzyn jest najsmaczniejszy właśnie teraz. Ja będę używać tarki, a ty będziesz rozcierać pochrzyn w makutrze – powiedział.

Stał przede mną i nie odwracał się, jednak mówił takim samym tonem co zawsze.

A ja za jego plecami dalej liczyłam gwiazdy. Kiedy doliczyłam do piętnastu, doszliśmy do miejsca, gdzie nasze drogi się rozchodziły.

– Do widzenia. – Pomachałam mu ręką, a on pomachał do mnie i powiedział:

– Do widzenia.

Odprowadziłam go wzrokiem i ruszyłam do mojego mieszkania. Zanim do niego dotarłam, naliczyłam, razem z tymi całkiem małymi, dwadzieścia dwie gwiazdy.

¹² Matsuo Bashō (1644-1694), poeta japoński, twórca haiku i poetyckich dzienników podróży, *kikōbun*.

Grzybobranie. Część pierwsza

Nie mam pojęcia, dlaczego błąkam się po takim miejscu.

Ostatnio Sensei zaczyna mówić na przykład: „Ach, bo grzyby, wiesz...”.

Niedobrze.

– Bo ja lubię zbierać grzyby – powiedział radośnie Sensei pewnej przesyconej jesiennym chłodem nocy, siedząc przy barze.

– Na przykład *matsutake*?¹³ – zapytałam, ale on pokręcił głową.

– Oczywiście, *matsutake* także są doskonałe, ale...

– Aha.

– Stwierdzenie, że jak grzyby, to tylko *matsutake*, jest takim samym uproszczeniem, że jak baseball, to Giganci.

– Ale pan przecież chyba lubi Gigantów.

– Lubię, ale jestem świadom tego, że nie oni jedni stanowią baseball.

Niedawno mieliśmy z Senseiem małą scysję na temat Gigantów. Od tego czasu oboje bardzo ostrożnie podchodzimy do tematu baseballu.

– Wśród grzybów też są różne.

– Aha.

– Takie na przykład gąski nagie można od razu, na miejscu upiec i jeść pochłapane sosem sojowym. Niebo w gębie.

– Aha.

– A takie borowiki, jak pięknie pachną.

– Aha.

Kiedy tak rozmawialiśmy, szef naraz wychylił się zza baru.

– O, widzę, że pan naprawdę zna się na grzybach.

¹³ *Matsutake* – łac. *Tricholoma Matsutake* – niewystępujące w Polsce grzyby z rodziny gąskowatych, bardzo cenione w Japonii ze względu na aromat i smak; jedne z najdroższych grzybów w japońskich sklepach.

Sensei lekko skinął głową. Mruknął, że „nie aż tak bardzo”, ale zachowywał się przy tym, jakby jednak chciał pokazać, że „aż tak bardzo”.

– O tej porze roku to ja zawsze chodzę na grzyby – powiedział szef, wyciągając do nas szyję. Jego nos znalazł się znienacka tuż przy nas, zupełnie jakby szef był ptakiem, który stara się nakarmić swoje pisklęta.

– Aha – odpowiedział Sensei niezobowiązująco, tak jak ja to zwykle robię.

– A skoro pan też lubi zbierać grzyby, to może w tym roku wybierzemy się razem?

Spojrzelśmy na siebie, Sensei i ja. Przychodzimy do tego baru niemalże co drugi dzień, dotąd jednak nie zdarzyło się jeszcze, żeby szef potraktował nas jak stałych klientów czy zagadywał poufale. Obowiązuje tutaj zasada, by każdego gościa traktować, jakby przyszedł po raz pierwszy. I oto nagle szef wyskakuje z tym „wybierzmy się razem”.

– A dokąd pan jeździ? – zapytał Sensei, szef zaś wyciągnął szyję jeszcze bardziej i powiedział:

– A w okolice Tochigi.

Ponownie popatrzyliśmy na siebie. Szef z wyciągniętą szyją czeka na naszą odpowiedź. Co robimy, zapytałam, a w tej samej chwili Sensei powiedział: „Pojedźmy!”. I w ten sposób zostało ustalone, że pojedziemy wszyscy razem na grzyby do Tochigi, samochodem szefa.

Na samochodach zupełnie się nie znam. Sensei z pewnością też. Samochód szefa był biały i pudełkowaty, nie miał modnych opływowych linii, jakie ostatnio widzi się w mieście. To był po prostu stary, masywny, kanciasty samochód; dziesięć lat temu często takie widywałam.

Ustaliliśmy, że spotkamy się w niedzielę o szóstej rano przed barem.

Budzik zadzwonił o piątej trzydzieści; wstałam, nawet twarzy porządnie nie umyłam, tylko chwyciłam pachnący kurzem plecak, który poprzedniego dnia wyciągnęłam z szafy, i wyszłam z domu. W porannym powietrzu dźwięk przekręcanego w zamku klucza rozniósł się nieprzyjemnie głośno. Ziewnęłam kilka razy i ruszyłam w stronę baru.

Sensei już czeka. Stoi wyprostowany, w ręce trzyma tę samą teczkę co zawsze. Bagażnik samochodu jest otwarty. Szef grzebie w nim, schowany do połowy.

– Czy to są rzeczy potrzebne do zbierania grzybów? – spytał Sensei.

– Ale gdzie tam. To zabieram dla mojego kuzyna, on mieszka w Tochigi – odpowiedział szef, nie zmieniając pozycji. Jego głos dziwnie zahuczał z wnętrza bagażnika.

Oboje z Senseiem zajrzeliśmy ponad głowę szefa do środka. Na bagaż przeznaczony dla kuzyna składało się kilka toreb papierowych i jedna podłużna, kanciasta paczka.

Wrona kracze na słupie elektrycznym. Jej głośne kraa, kraa, kraa, kraa zabrzmiało prawdziwie wronio. Może to tylko ja tak sobie wymyśliłam, ale miałam wrażenie, że o tej porze głos wrony brzmi o wiele bardziej beztrosko niż na przykład w południe.

– Tutaj mam ciastka ryżowe, z których słynie Sōka, i wodorosty z Asakusa – powiedział szef, wskazując jedną z papierowych toreb.

– Aha – odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

– A tutaj sake – pokazał tę długą paczkę.

– Ach tak – mruknął Sensei i opuścił teczkę. Ja milczałam.

– Bo ten mój kuzyn to lubi sake Sawanoi.

– Ja też ją lubię.

– A, to miło. Ale w barze podaję sake z Tochigi.

Szef robił teraz o wiele bardziej sympatyczne wrażenie niż wtedy, kiedy widywałam go w barze. Lat mu też ubyło co najmniej dziesięć.

– No, wskakujcie! – powiedział i otworzył nam tylne drzwi, a sam wsunął się do połowy na miejsce kierowcy, żeby uruchomić silnik, po czym wysiadł i poszedł zamknąć bagażnik. Sprawdził, czy usadowiliśmy się na tylnych miejscach, obszedł samochód dookoła, wypalił jeszcze jednego papierosa i dopiero wtedy siadł za kierownicą, porządnie zapiął pas i delikatnie nacisnął pedał gazu.

– To bardzo miło z pana strony, że zabiera nas pan dziś ze sobą – powiedział grzecznie z tylnego siedzenia Sensei.

Szef obrócił się do tyłu.

– Czujmy się wszyscy swobodnie dzisiaj – rzucił i zaśmiał się radośnie. Ma ładny uśmiech. Ale jednocześnie naciska pedał gazu, choć obrócony jest do nas i zupełnie nie patrzy przed siebie, a samochód powoli rusza.

– Oj, do przodu... – powiedziałam cichutko, a szef zapytał: – Co? – i wyciągnął szyję do mnie.

On w ogóle nie patrzy do przodu! Cały czas jest zwrócony do nas. Samochód jedzie, jakby się ślizgał.

– Do przodu, nie musi pan patrzeć do przodu? – I: – Przód, przód! – zawołaliśmy jednocześnie Sensei i ja.

Słup elektryczny zbliża się do samochodu.

– Co? – Szef obrócił głowę do przodu i jednocześnie zakręcił kierownicą, żeby wyminąć słup. Obojgu nam wyrwało się głębokie westchnienie ulgi.

– No mówię, że nie ma się co bać – powiedział szef i przyspieszył.

Nie całkiem rozumiałam, jak doszło do tego, że siedzę w nieznanym mi samochodzie, i to tak wcześnie rano. I nie całkiem rozumiałam, na czym polega to jakieś grzybobranie. Poczułam się, jakby to był ciąg dalszy picia sake. I kiedy ja tak trwałam w niepewności, nasz samochód cały czas przyspieszał.

Chyba mi się przysnęło. Kiedy się obudziłam, jechaliśmy przez góry. Nie spałam do momentu, kiedy zjechaliśmy z autostrady i wjechaliśmy na jakąś tam trasę. Rozmawialiśmy niespiesznie we troje o tym, że Sensei uczył języka i literatury narodowej, że byłam jego uczennicą, że nie miałam zbyt dobrych ocen, i o tym, że właściciel sklepu ma na imię Satoru i że grzyby, których się dużo zbiera tam, gdzie jedziemy, to opieńki, czyli pospolicie *modashi*. Mogliśmy jeszcze rozmawiać o tym, jakie są te grzyby, opieńki, albo jak bardzo Sensei był surowy na zajęciach, i o wielu innych rzeczach, tylko że za każdym razem, kiedy pan Satoru coś mówił, nie wiem dlaczego, ale uparcie odwracał głowę do nas, więc Sensei i ja zaczęliśmy uważać, żeby nie dać się ponieść rozmowie.

Samochód powoli piął się do góry. Pan Satoru zamknął okno, wcześniej cały czas otwarte. Poszliśmy za jego przykładem i zamknęliśmy okna z tyłu. Zrobiło się chłodno. Od strony gór dobiegały czyste głosy ptaków. Droga zaczęła się zwężać. Dojechaliśmy do miejsca, gdzie się rozwidłała. Dalej jedna nitka jest asfaltowa, a druga – żwirowa. Wjechaliśmy na tę żwirową i samochód wkrótce się zatrzymał. Pan Satoru wysiadł i ruszył dalej tą drogą do góry. Sensei i ja odprowadziliśmy go wzrokiem z naszych tylnych siedzeń.

– Dokąd on idzie? – zapytałam.

Sensei przekrzywił głowę. Otworzyłam okno i do środka napłynęło chłodne górskie powietrze. Głosy ptaków zdają się bliskie. Słońce podniosło się już całkiem wysoko. Jest po dziewiątej.

– Tsukiko, byłabyś chyba w stanie wrócić? – powiedział niespodziewanie Sensei.

– No.

– Bo ja jakoś tak mam wrażenie, że chyba nie zdołałbym stąd wrócić.

– Niemożliwe – odpowiedziałam. Sensei się uśmiechnął. Po czym zasnurował usta i już nic więcej nie mówił, tylko wbił wzrok w lusterko wsteczne. Kiedy odezwałam się znów, Sensei potrząsnął głową.

– W ogóle. W ogóle.

– Tutaj moglibyśmy już zawrócić, wie pan.

– Zawrócić? Ale jak to?

– No tak.

– Pojedźmy dalej razem, tak jak tu jesteśmy. Dokądkolwiek.

– No.

Sensei chyba trochę się zapomniał. Zerknęłam na jego twarz, ale wyglądała tak samo jak zwykle. Wydawał się spokojny i opanowany. Odłożył teczkę na bok i siedział z wyprostowanymi plecami. Kiedy tak zastanawiałam się i nie mogłam zdecydować, o co mu chodzi, wrócił pan Satoru z jakimś mężczyzną.

Są do siebie podobni jak dwie krople wody. Otworzyli bagażnik i teraz pospiesznie wyładowują bagaże i niosą je na górę. Ledwo zdążyłam zauważyć, że poszli, a już wrócili i palą sobie we dwóch papieroski obok samochodu.

– Dzień dobry! – powiedział mężczyzna bliźniaczo podobny do pana Satoru i wsiadł na miejsce kierowcy.

– Ten typ to mój kuzyn, Tōru – przedstawił go szef. Cały czas wydają mi się identyczni, do ostatniego szczegółu. I zarys głowy, i wyraz twarzy, i budowa ciała, i atmosfera, jaką wytwarzają wokół siebie – pod każdym względem są tacy sami.

– Słyszałem, że lubi pan sake Sawanoi, prawda? – zapytał Sensei, na co pan Tōru, chociaż miał zapięty pas, odwrócił się do nas całym ciałem i odpowiedział wesoło:

– Zgadza się.

– A przecież sake z okolic Tochigi jest smaczniejsza... – dodał pan Satoru, też odwrócony do nas, tak samo jak jego kuzyn.

Samochód ruszył. Wykrzyknęliśmy oboje głośno z Senseiem: – Aa!
– i jednocześnie samochód otarł się o barierkę.

– Głupi – powiedział pan Tōru nonszalanckim tonem. Pan Satoru ze śmiechem przekręcił mocno kierownicę. My dwoje znów odetchnęliśmy głęboko.

– Sensei, czy pan ma zamiar chodzić po górach w takim stroju?

Po jakichś trzydziestu minutach jazdy od chwili, kiedy dosiadł się do nas pan Tōru, jego kuzyn zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Oni dwaj i ja mamy na sobie dżinsy i buty sportowe. Kuzyni wysiedli i zaczęli zginać i rozprostowywać zeszywniałe kolana. Ja też wzięłam z nich przykład i porozciągałam się trochę. Tylko Sensei stoi sztywno wyprostowany. Ubrany jest w tweedowy garnitur i skórzane buty. Garnitur jest trochę znoszony, ale wydaje się uszyty przez dobrego krawca.

– Ubrudzi się pan – mówił pan Tōru.

– Nic nie szkodzi, jeśli się trochę ubrudzę – odpowiedział Sensei i przełożył teczkę z prawej ręki do lewej.

– A może by tak zostawić tę teczkę? – mówi Satoru.

– Wykluczone – odpowiedział Sensei spokojnie.

Ruszyliśmy leśną ścieżką pod górę. Kuzyni mają na plecach prawie identyczne górskie plecaki, które wydają się co najmniej o rozmiar większe od mojego. Pan Tōru siedł na przedzie, jego brat stanowił ariergardę.

– Nie spodziewaliście się chyba, że podejście będzie takie strome, co? – odezwał się pan Satoru z tyłu.

– Faktycznie – odpowiedziałam, a z przodu pan Tōru, takim samym głosem jak kuzyn, dodał:

– Powolutku trzeba wchodzić, powolutku.

Tuk tuk tuk, tuk tuk tuk – co jakiś czas dobiega z lasu. Sensei idzie równym krokiem, z tą samą szybkością, i wcale nie brakuje mu tchu. Ja całkiem się zadyszałam. Tuk tuk tuk, tuk tuk tuk – słychać coraz częściej.

– Czy to jakiś ptak z rodzaju kukułkowatych? – pyta Sensei. Pan Tōru odwrócił się do niego.

– Nie, to dzięcioł. Ale podziwiam, że zna pan takie nazwy. To jest odgłos stukania w pień, dzięcioły w ten sposób wyjadają robaczki.

– Co za hałaśliwy ptaszek – powiedział z tyłu pan Satoru i roześmiał się.

Droga robiła się coraz bardziej stroma. Nie była szersza niż zwykła ścieżka wydeptana przez zwierzęta. Po obu jej stronach rosły gęsto jesienne trawy, które lekko głaskały nasze twarze i ręce, kiedy koło nich przechodziliśmy. Na dole liście jeszcze nie zaczęły zmieniać kolorów, ale tutaj większość drzew już zabarwiła się na żółto lub czerwono. Chociaż powietrze jest chłodne, zaczynam się pocić – to dlatego, że nie uprawiam żadnego sportu. Spojrzałam, jak Sensei sobie radzi – szedł lekkim krokiem ze swoją teczką w jednej ręce i wcale nie wyglądał, jakby mu było gorąco.

– Sensei, czy pan często chodzi po górach?

– Tsukiko, czegoś takiego w ogóle nie można nazwać chodzeniem po górach.

– Aha.

– O, słuchajcie, znowu dzięcioł wyjada robaki.

Chociaż mówili, żebyśmy posłuchali, ja szłam dalej ze zwieszoną głową. Pan Tōru (a może Satoru – kiedy tak idę, nie podnosząc głowy, nie jestem w stanie ocenić, skąd dochodzi głos) powiedział, że Sensei to ma siłę, a pan Satoru (albo Tōru) zaczął mnie zachęcać, żebym się trochę jeszcze postarała – jestem chyba przecież młodsza od Senseia. Można było pomyśleć, że ta droga pod górę będzie trwała bez końca. Z ptasim ta ra ra ra ra mieszało się a to czy czy czy, a to riu riu riu, a to ku ru ru ru.

- Chyba już niedaleko – powiedział pan Tōru, a brat mu przytaknął:
- Tak, to było gdzieś w tej okolicy.

Pan Tōru znienacka zszedł ze ścieżki. Teraz idziemy po ziemi, na której nie widać żadnych wcześniejszych śladów. Miałam wrażenie, że jak tylko zesliśmy o jeden krok z drogi, powietrze stało się gęstsze.

– Są tutaj, więc patrzcie dobrze pod nogi – powiedział pan Tōru, odwracając się do nas.

- Uważajcie, żeby ich nie rozdeptać – dołączył się pan Satoru z tyłu.

Ziemia jest bardzo wilgotna. Po jakimś czasie takiej wędrówki posycie zrobiło się rzadsze, za to drzewa rosły coraz gęściej. Zbocze stało się łagodniejsze, skończyły się trawy, które chwytały za stopy, więc idzie się teraz łatwiej.

– O, znalazłem. Jakieś grzyby – odezwał się Sensei głośno. Kuzyni powoli ruszyli w jego stronę.

- A to coś rzadkiego! – powiedział pan Tōru, pochylając się.
- Czy to maczuźnik¹⁴? – zapytał Sensei.
- Robak wydaje się duży.
- Ciekawe, co to za poczwarka.

¹⁴ *Tōchūkasō*, dosłownie „zimą owad, latem roślina” – łac. *Cordyceps sinensis* – grzyby, które pasożytują na larwach owadów: doprowadzają do ich śmierci i następnie wyrastają na ich ciałach; bardzo cenione w medycynie tradycyjnej.

Stanęli tak nad grzybami i każdy coś dorzuca od siebie. – Maczużnik – powtórzyłam cichutko, a wtedy Sensei kawalkiem patyka napisał mi to słowo dużymi znakami na ziemi.

– Tsukiko, chyba na lekcjach biologii też za bardzo nie uważałaś – zaczęło się kazanie.

– O czymś takim nie było mowy na zajęciach – powiedziałam, wydymając usta, a pan Tōru roześmiał się głośno.

– Tych najważniejszych rzeczy to w szkole raczej mnie nie uczyli – mówi i się śmieje.

Sensei spokojnie zniósł jego śmiech, ale w końcu powiedział cicho:

– Jeżeli tylko jest chęć, wszędzie można się dużo nauczyć.

– A to ciekawy nauczyciel, ten pani Sensei – powiedział pan Tōru i znów wybuchnął śmiechem. Tymczasem Sensei wyjął z teczki torebkę foliową, delikatnie włożył do niej maczużniki i związał. Po czym włożył torebkę do teczki.

– No, chodźmy dalej. Nie ma rady, musimy nazbierać takich grzybów, które potem da się zjeść ze smakiem – powiedział pan Satoru i wszedł głębiej między drzewa.

Przestaliśmy iść rządkiem i ruszyliśmy każde osobno, wpatrzeni w ziemię pod nogami. Sylwetka Senseia w tweedowym garniturze zlewała się z drzewami i efekt był taki, jakby włożył ubranie maskujące. Choć widziałam go tuż przed sobą, wystarczyło na chwilę odwrócić wzrok, by natychmiast przestał być widoczny. Rozglądam się zdziwiona, a on przecież stoi tuż obok.

– Sensei, jest pan tutaj, prawda? – zawołałam do niego, a on odpowiedział dziwnym głosem:

– Nigdzie indziej się nie wybieram, hi, hi, hi!

W lesie robił wrażenie kogoś innego niż ten Sensei, którego dobrze znałam. Wydawał się jakimś stworem, który żył tu od dawna.

– Sensei! – zawołałam go jeszcze raz. Czulałam się taka samotna.

– Tsukiko, przecież mówię, że zawsze jestem koło ciebie.

Mówi, że jest koło mnie, ale co z tego. Wiadomo, że zostawi mnie i pójdzie sobie dalej, taki już jest. Kiedyś powie: och, Tsukiko, ale ty jesteś niechlujna. Albo: masz niewłaściwe podejście do świata. Powie tak i w końcu sobie pójdzie, to pewne.

Ta ra ra ra... – dobiega skądś niedaleko.

Sensei zniknął między drzewami. Odprowadziłam go nieuważnym spojrzeniem. Myślałam o tym, dlaczego ja tu w ogóle jestem. Tweedowy garnitur Senseia to pojawia się, to znika wśród drzew. Z głębi lasu dolatuje głos pana Satoru – znalazł opieńki. Całą kępę, dużo więcej niż w zeszłym roku. Nabrzmiały podnieceniem głos pana Satoru (a może to Tōru) rozlega się w gęstwinie drzew.

Grzybobranie. Część druga

Patrzyłam w niebo.

Znalazłam wielki pień ściętego drzewa, więc przysiadłam sobie na nim. I kuzyni, i Sensei weszli głęboko między drzewa. Ptasie ta ra ra ra dochodziło teraz niewyraźnie, z oddalenia. W zamian za to tutaj słychać wysokie ciurlikanie: ru ru ru ru!

To miejsce jest przesycone wilgocią. Nie tylko o to chodzi, że ziemia jest wilgotna. Liście drzew, poszycie, bakterie, niezliczone drobne żyjątka żyjące tuż pod powierzchnią ziemi, płaskie robaki pełzające po ziemi, owady ze skrzydełkami, unoszące się w powietrzu, ptaki na drzewach, wreszcie i duże zwierzęta, żyjące w głębi lasu – wszystko to oddycha, a wydychane powietrze wypełnia przestrzeń dookoła.

Nieba widać tylko skrawek. Ledwie prześwituje między drzewami. Ich czubki wyglądają jak sieć pokrywająca niebo. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się już do tego przytłumionego światła, dostrzegłam w poszyciu przeróżne rzeczy. Pomarańczowe grzybki. Mech. Coś podobnego do białych, szorstkich żyłek z liści. Może to jakiś rodzaj pleśni? Martwe żuczki. Różne mrówki. Różne rodzaje stonóg. Ćmy, przycupnięte po spodniej stronie liści.

Zadziwiające, że jestem otoczona przez aż tyle żywych stworzeń. W mieście byłam przekonana, że zawsze jestem sama, no, może czasem jesteście we dwoje z Senseiem. W mieście żyją tylko duże istoty. Tak myślałam. Ale z pewnością nawet w mieście, gdybym się uważnie przyjrzała, okazałoby się, że otacza mnie mnóstwo żywych stworzeń. Wcale nie było tak, że byliśmy tylko we dwoje, Sensei i ja. Powiedzmy, w barze, zwracałam uwagę tylko na Senseia. A tam był przecież i pan Satoru. Było wielu klientów, których znałam z twarzy. Nie uświadamiałam sobie jednak tego, że każdy z nich rzeczywiście jest żyjącą istotą ludzką. Nie myślałam, że każdy z nich wie życie podobnie jak moje wypełnione przeróżnymi sprawami.

Wrócił pan Tōru.

– Tsukiko, dobrze się pani czuje? – zapytał, pokazując mi torbę pełną grzybów.

– Ależ nie ma żadnego problemu. Czuję się zupełnie dobrze – odpowiedziałam.

– O, no to przecież mogła pani pójść z nami.

– Nasza Tsukiko jest troszkę, odrobinę sentymentalna – niespodziewanie usłyszałam głos Senseia i w tej samej chwili on sam wyłonił się nagle z tyłu, z cienia między drzewami. Czy to dlatego, że ubranie zapewniło mu barwy ochronne, czy dlatego, że tak zręcznie poruszał się w lesie, do tego momentu w ogóle nie wyczułam jego obecności. – I chyba dlatego właśnie siedziała tak sobie całkiem sama, pogrążona w zadumie – ciągnął Sensei. Do tweedowego ubrania tu i ówdzie przyczepiły mu się uschłe liście.

– Panieńskie marzenia, te sprawy! – Pan Tōru zarechotał.

– A nawet jeśli jestem panną, to co? – powiedziałam głośno i wyraźnie.

– Panno Tsukiko, może mogłaby nam panna pomóc w przygotowaniu kociołka, co? – odparował pan Tōru i wyjął z plecaka brata aluminiowy garnek i przenośną kuchenkę.

– Niech ktoś nabierze wody i przyniesie – padło zaraz potem.

Podniosłam się szybko. Powiedzieli mi, że trochę wyżej jest źródelko, więc poszłam we wskazaną stronę i rzeczywiście, pomiędzy dużych skał sączyła się źródłana woda. Nabrałam jej w dłonie i podniosłam do ust. Była przenikliwie zimna, ale miękka w smaku. I tak ileś razy zaczerpnęłam wody i ileś razy wypiałam.

– No, to proszę spróbować – powiedział pan Satoru. Sensei, który, jak zwykle wyprostowany, siedział po japońsku na rozłożonej gazecie, napił się zupy.

Kuzyni zręcznie zajęli się uzbieranymi grzybami. Pan Tōru oczyścił je z ziemi czy błota, które do nich przywarły, a pan Satoru podsmażył krótko na przygotowanej wcześniej małej patelni, przy czym większe grzyby najpierw połamał na kawałki; małe wrzucił w całości. Podsmażone grzyby przełożył do zagotowanej zawczasu wody w kociołku, dodał do tego miso, rozmieszał je dobrze, żeby się rozpuściło, i wszystko to razem podgotował krótko.

– A ja wczoraj trochę postudiowałem przed tym wyjazdem – powiedział Sensei, dmuchając w miseczkę z grzybami, którą trzymał mocno obiema rękami.

Miseczka była aluminiowa i przypominała mi te, z których kiedyś jadało się posiłki w szkole.

– Studiował pan? Brawo, prawdziwy z pana nauczyciel – powiedział pan Tōru, który też właśnie ze smakiem zajadał zupę.

– Grzybów uznawanych za trujące jest zadziwiająco dużo – to mówiąc, Sensei chwycił pałeczkami kawałek grzyba i włożył go do ust.

– Ach, no proszę. – Pan Satoru tymczasem już zdążył zjeść jedną porcję i właśnie nalewał sobie chochelką drugą.

– Naturalnie, grzybów, które wyglądają na trujące, nie weźmiemy do ust, niemniej jednak...

– Sensei, niech pan nie mówi o tym przy jedzeniu.

Ale on zupełnie nie przejął się moją prośbą. Z nim tak zawsze.

– ...niemniej jednak istnieją takie na przykład gąski ogorzale, które są uderzająco podobne do *matsutake*, albo grzyby z rodzaju kielichowców, które wyglądają zupełnie jak *shiitake*¹⁵. Te mogą być kłopotliwe.

Kuzyni w końcu nie mogli już chyba słuchać tego zbyt poważnego tonu Senseia, bo wybuchnęli:

¹⁵ *Shiitake* – łac. *Lentinula edodes* – grzyby w Polsce znane jako *shiitake* lub twardziaki, popularne w Azji, w Japonii współcześnie uprawiane; jedzone zarówno świeże, jak i suszone.

– Sensei, my już od kilkudziesięciu lat zbieramy grzyby, ale jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy przynieśli z lasu jakieś takie dziwne, jak pan mówi.

Moje pałeczki przez nieuwagę powędrowały gdzieś, ale zaraz przeniosłam je z powrotem nad aluminiową miseczkę.

Spojrzałam spod oka, żeby upewnić się, czy ci dwaj nie zobaczyli tej mojej chwili pomieszania, ale nie, zdaje się, że żaden z nich nie zwrócił na to uwagi.

– Prawdę mówiąc, osoba, która była moją żoną, raz zjadła grzyby znane jako grzyby rozśmieszające¹⁶ – zaczął mówić Sensei i to całkowicie pochłonęło uwagę kuzynów.

– A co to znaczy, jakaś „osoba, która była moją żoną”?

– Oznacza to moją żonę, która uciekła ode mnie piętnaście lat temu – mówi Sensei jak zwykle przesadnie poważnym tonem.

– O! – wyrwało mi się z cicha.

A ja sądziłam, że jego żona umarła. Pomyślałam, że panowie Tōru i Satoru też zdziwią się tak jak ja, ale nie, oni mieli obojętne miny. A Sensei, pojedając zupę, opowiedział nam taką historię:

Żona i ja często razem wybieraliśmy się w góry. Niewysokie pagórki znajdujące się o jakąś godzinę jazdy koleją od naszego domu obeszlśmy chyba wszystkie. W niedzielę rano braliśmy *bentō*, które ona przygotowała, i wsiadaliśmy do pustego jeszcze pociągu. Jej ulubioną lekturą była książka pod tytułem *Łatwe wędrówki po okolicy*. Na okładce było zdjęcie kobiety w skórzanych butach do chodzenia po górach, krótkich pumpach zapiętych pod kolanami i kapelusiku z piórkiem.

¹⁶ *Waraitake* – łac. *Panaeolus papilionaceus* – polska nazwa to kołpaczek motylkowaty, ale ze względu na to, że nie nasuwa ona skojarzeń związanych z nazwą w języku japońskim, będę się tutaj posługiwać dosłownym tłumaczeniem tej ostatniej.

Kobieta, z kijkiem w ręku, szła górskim zboczem. Moja żona kupiła ubranie, które wyglądało tak samo jak na zdjęciu, nawet w kijek się zaopatrzyła. Ja wprawdzie mówiłem jej, że to po prostu chodzenie po górach i nie trzeba koniecznie mieć aż tak skompletowanego stroju, ale ona odpowiadała, że ważne jest, by zacząć od właściwej formy, i nie mogliśmy się dogadać. Nawet na trasach, po których ludzie chodzili w klapkach, ona nie rezygnowała ze swojego pełnego ubioru. Była upartą osobą. Nasz syn chodził chyba już wtedy do szkoły podstawowej. We troje wybraliśmy się jak zwykle na wyprawę. To była akurat ta pora roku, co teraz. Przez dłuższy czas padały deszcze, a potem liście na drzewach zaczęły zmieniać kolory na czerwone i złote, jednak wiele z tych pięknych, barwnych liści szybko opadło pod uderzeniami kropel deszczu. Ja szedłem w adidasach i ze dwa razy zdarzyło się, że utknąłem w błocie i przewróciłem się. Żona szła swobodnie w swoich butach górskich. Popatrywała, jak się przewracam, ale nie mówiła nic w rodzaju: „Widział kto takiego oferę?”.

Była, owszem, uparta, ale nie miała w sobie zjadliwości.

Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć, i zjedliśmy po dwa plasterki cytryny w miodzie. Ja nie przepadam za kwaśnymi rzeczami, ale żona uważała, że górską wędrówka i cytryna w miodzie są ze sobą nierozdzielnie związane, więc nawet nie próbowałem protestować. Gdybym to zrobił, żona zapewne nie rozgniewałaby się, ale jej gniew odkładałby się po trochu i tak samo jak to się dzieje na morzu, że rozchodzące się drobne fale gdzieś w odległym miejscu zbierają się w jedną dużą falę, tak też i w naszym życiu codziennym ten gniew odezwałby się w końcu w jakimś nieoczekiwanym punkcie. Życie małżeńskie tak właśnie wygląda. Tak.

Nasz syn nie lubił cytryn jeszcze bardziej niż ja. Tym razem, kiedy włożył do ust kawałek cytryny w miodzie, wstał i poszedł w stronę kępy gęstych krzaków. Bardzo gorliwie zbierał przy tym opadłe na ziemię barwne liście. Ależ on ma wyrafinowany gust, ten mały, pomyślałem i ruszyłem za nim, żeby też nazbierać trochę liści, tymczasem on pospiesznie wykopał płytki dołek, równie pospiesznie wypluł cytrynę i przysypał ją ziemią. Chyba ta cytryna naprawdę bardzo mu nie smakowała. Nasz syn nie należał do dzieci, które marnują jedzenie. Żona go dobrze wychowała.

Zapytałem go, czy aż tak nie lubi cytryn, a on poderwał się, zaskoczony. Bez słowa pokiwał głową. Powiedziałem, że ja też nie przepadam za nimi, a wtedy uśmiechnął się, jakby uspokojony. Kiedy się uśmiechał, był bardzo podobny do swojej matki. Teraz też jest do niej podobny. Zbliży się właśnie do pięćdziesiątki, czyli tego wieku, kiedy moja żona uciekła.

Ukucnęliśmy sobie z synem i pilnie zbieraliśmy liście, a wtedy podeszła do nas żona. Chociaż nosi takie solidne buty górskie, chodzi bezszelestnie. Kiedy odezwała się zza moich pleców, zupełnie nas zaskoczyła. „Wiesz co, znalazłam grzyby rozśmieszające”, szepnęła mi do ucha.

Wydawało się, że zupy grzybowej mamy całkiem dużo, ale kiedy wzięliśmy się do niej we czworo, szybko się skończyła.

Płyn, w którym zmieszały się składniki z kilku rodzajów grzybów, był wprost niewypowiedzianie smaczny. Zwrotu „wprost niewypowiedzianie” oczywiście użył Sensei. Nagle w trakcie rozmowy powiedział:

– Panie Satoru, to jest wprost niewypowiedziana, czarowna woń – więc Satoru zwrócił się w jego stronę.

– Sensei gada jak prawdziwy nauczyciel – powiedział pan Tōru i zażądał ciągu dalszego opowieści. I co z tymi grzybami rozśmieszającymi, chciał wiedzieć jego kuzyn, a pan Tōru zauważył, że żona Senseia musiała się dobrze znać na grzybach, skoro te rozpoznała.

Żona czytywała nie tylko *Łatwe wędrówki po okolicy*, ale też bardzo lubiła małą, podobną do słownika książeczkę *Encyklopedia grzybów*. Kiedy wybieraliśmy się na wycieczkę, zawsze przemyślała do plecaka te dwie książki. Tamtego dnia otworzyła *Encyklopedię* na stronie z grzybami rozśmieszającymi i powtarzała raz po raz:

– To te, na sto procent, to te grzyby!

– Rozumiem, rzeczywiście, to te grzyby, ale co z nimi chcesz zrobić? – zapytałem, a ona odpowiedziała:

– No przecież zjemy, to oczywiste.

– Ale przecież one są chyba trujące? – powiedziałem. Jednocześnie syn zawołał:

– Mamo, przestań! – i w tej samej chwili moja żona podniosła do ust kawałek grzyba, nawet otrząsnąwszy ziemi, która przywarła do kapelusza.

– Na surowo może być trochę trudno je zjeść – powiedziała i wzięła do ust jeszcze kawałek cytryny w miodzie. Ani syn, ani ja nigdy potem już nie zjedliśmy takiej cytryny.

A potem zrobiło się wielkie zamieszanie. Pierwszy zaczął płakać nasz syn.

– Mama umrze, mama umrze – zawodził przez łzy.

– Od tych grzybów się nie umiera – odpowiedziała żona opanowanym głosem, żeby uspokoić dziecko.

Tak czy inaczej, ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą, którą dopiero co przeszliśmy w tamtą stronę. Żona opierała się, ale ja ciągnąłem ją na siłę do szpitala.

Pierwsze objawy wystąpiły w chwili, kiedy już prawie dotarliśmy na sam dół. Wystarczy taka ilość, żeby pojawiły się objawy, powiedział mi to potem beztróskim tonem lekarz w szpitalu, a ja, owszem, miałem wrażenie, że były one całkiem wyraźne.

Dotąd żona zachowywała się zupełnie normalnie, aż tu naraz z jej ust zaczęło płynąć zawrodoenie: uuu! Najpierw przerywane, ale później zaczął się ten tak zwany śmiech, ciągnący się już bez żadnych przerw. Powiedziałem o tym „śmiech”, ale nie czuło się w nim wesołości czy radości. To był taki głos, jakby ktoś usiłował powstrzymać wzbierający śmiech, ale za nic nie mógł tego dokonać i chociaż już czuł, że ma problem, to ciało nadal reagowało niepowstrzymanym śmiechem. Albo taki, jakby ktoś został doprowadzony do śmiechu przez bardzo, bardzo czarny humor.

Syn w końcu naprawdę się przeląkł, ja też czułem, że muszę czym prędzej coś zrobić, a żona, ze łzami w oczach, śmiała się i śmiała.

– Nie przechodzi ci? – zapytałem, a ona odpowiedziała już niemal bez tchu:

– No, nie mogę przestać. Moje gardło i twarz, i klatka piersiowa zupełnie się mnie nie słuchają. – Mówiła to wyraźnie z bólem, niemniej jednak cały czas zanosząc się śmiechem. Rozzłościłem się. Dlaczego ta osoba, która jest moją żoną, zawsze przysparza nam tylu kłopotów? Choćby te wyprawy w góry co tydzień – prawdę mówiąc, ja ich za bardzo nie lubiłem, syn także. O ileż byłby szczęśliwszy, gdyby mógł choćby bez pośpiechu składać plastikowe modele w domu, łowić ryby w pobliskiej rzeczce czy robić inne takie rzeczy. A mimo to syn i ja, tak jak ona nam kazała, wstawaliśmy wcześniej i tak jak ona nam kazała, kręciliśmy się po pobliskich pagórkach. Jej tymczasem to nie wystarczało, musiała jeszcze objeść się grzybami rozsmieszającymi.

Żona została przyjęta w szpitalu, jednak było tak, jak nonszalancko powiedział lekarz, że z trucizną z grzybów, która już dostała się do krwiobiegu, nic nie można zrobić, tak więc i po wyjściu z gabinetu objawy nie ustawały. Wróciliśmy do domu taksówką, otuliłem kołdrą syna, który zasnął, zmęczony płaczem, i zerkając z ukosa na żonę, która sama, w salonie, nadal się śmiała, zaparzyłem cierpkiej herbaty. Żona wypita herbatę ze śmiechem, ja ze złością.

Kiedy atak śmiechu wreszcie ustał, palnąłem żonie kazanie. Tylko pomyśl, ile dziś narobiłaś kłopotu różnym osobom. Myślę, że wygłaszałem te pouczenia jak fachowiec. Zupełnie jakbym pouczał moich uczniów. Żona wbiła wzrok w podłogę i słuchała. Przytakiwała każdemu mojemu słowu. Kilka razy mówiła, że bardzo przeprasza. Na koniec powiedziała cicho, że kiedy się żyje, zawsze robi się komuś jakiś kłopot.

Ja osobiście nie sprawiam nikomu kłopotu. To ty byłaś kłopotem. Nie przenoś tego, co mówię o tobie, na inne osoby, powiedziałem surowo.

Żona znów zwiesiła głowę. A kiedy po kilkunastu latach uciekła ode mnie, ja przypomniałem sobie jak żywą jej postać, kiedy tak siedziała z opuszczoną głową. Moja żona była kłopotliwą osobą, ale ja chyba też nie różniłem się tak bardzo od niej. Myślałem wtedy, że byliśmy jak hetka-pętka. Tylko że dla żony ja chyba wcale nie byłem taką dobrą pętka.

– Sensei, cóż, napijmy się sake. – Pan Tōru wyjął z plecaka butelkę Sawanoi.

Trzy czwarte litra. Zupę z grzybów zjedliśmy wszyściuteńką, ale pan Tōru wyjmując z plecaka jak z kapelusza magika coraz to nowe rzeczy. Suszone grzyby. Krakersy ryżowe. Wędzone kalmary. Całe pomidory. Płatki suszonej makreli.

– Będzie bankiet – powiedział.

Obaj z kuzynem nalewali do papierowych kubeczków sake i pili jeden za drugim, pogryzając to pomidorami. Wygłaszali przy tym uwagi w rodzaju: Jak się zje trochę pomidorów, człowiek się tak nie upija – i dalej pili.

– Sensei, myśli pan, że będziemy mieli jak wrócić? – zapytałam cicho.

– To jest mniej niż dwie setki na osobę, więc cóż, chyba powinno być w porządku – odpowiedział.

Od zupy grzybowej zrobiło mi się ciepło w brzuchu, a od sake jeszcze cieplej. Pomidory są dobre. Wgryzłam się w dużego pomidora, nawet nie posypując go solą. Ponoć pochodziły z ogródka przy domu pana Tōru. Według obliczeń Senseia miało być tylko po niecałe dwieście gram na osobę, ale pan Tōru wyjął jeszcze jedną butelkę z plecaka i teraz zrobiło się już około czterystu gram.

Ta ra ra ra! – doleciało z lasu.

Pod rozłożoną gazetę chwilami wchodziły robaki. Czuję ich poruszenia nawet przez papier. Nawiedziło nas ileś muszek i dużych, poruszających się ciężkim lotem owadów. Szczególnie wiele zgromadziło się przy wędzonych kalmarach i przy sake. Tōru tymczasem nawet ich nie odgania, tylko je i pije.

– Zjadł pan właśnie muszkę – zwrócił mu uwagę Sensei, ale pan Tōru z niewinną miną powiedział tylko:

– Dobra była!

Suszone grzyby nie były aż tak suche jak wcześniejsze suszone *shiitake*. Miały w sobie jeszcze trochę wilgoci. Można je było wręcz wziąć za wędzone mięso. Zapytałam, co to za grzyby, a zaczerwieniony już na twarzy pan Satoru opowiedział:

– Muchomory czerwone.

– Czy to nie są wściekle trujące grzyby?

– Sensei, czy to takie rzeczy wyczytał pan w swojej *Encyklopedii grzybów*? – zapytał pan Tōru z uśmiechem.

Zamiast odpowiedzieć, Sensei wyciągnął *Encyklopedię* z plecaka. Książka ma wyraźne ślady używania, a okładka jest w przestarzałym stylu. Widnieje na niej zdjęcie okazałych czerwonych grzybów z białymi kropkami, rzeczywiście wyglądających na muchomory.

– Panie Tōru, czy zna pan może taką jedną historię z Syberii?

– Jaką historię?

– Dawno temu wodzowie plemion z wyżynnych terenów Syberii przed wyruszeniem do walki jedli muchomory. To dlatego, że zawierają one środki wywołujące oszołomienie. Wystarczy, że ktoś zje kawałek takiego grzyba, a natychmiast nawiedza go stan szalonego podniecenia, wielka chęć do walki i moc, która normalnie trwałaby chwilę, a po zjedzeniu grzybów utrzymuje się całymi godzinami. Jako pierwszy zjada muchomory wódz, a następny w hierarchii plemiennej mężczyzna pije jego mocz. Potem następny w hierarchii mężczyzna pije mocz tego poprzedniego. Tak to się powtarza, aż składniki zawarte w grzybach znajdują się w ciałach wszystkich mężczyzn.

– I kiedy ostatni mężczyzna wypije mocz poprzedniego, wyruszają do walki – zakończył Sensei.

– *Encyklopedia grzybów* to naprawdę przydatna książka – powiedział pan Satoru i zachichotał piskliwie. Łamał suszone grzyby na drobne kawałki i żuł je po trochu. – Proszę, niech państwo jedzą. – Nam też wcisnął do ręki połamane kawałeczki grzybów.

Sensei przyjrzał się grzybom uważnie. Ja powąchałam je bardzo ostrożnie. Tōru i Satoru śmiali się do siebie bez większego sensu. Pan Tōru mówił na przykład: – Bo wiesz... – na co Satoru wybuchał śmiechem. A jak przestawał się śmiać, to sam zaczynał: – Tego, wiesz... – wtedy z kolei śmiał się Tōru.

Jednocześnie odzywali się: – No bo wiesz... – i jednocześnie wybuchali śmiechem.

Zrobiło się trochę cieplej. Chociaż już niedługo ma być zima, między tymi niskimi krzakami poszycia wśród drzew jest przyjemnie ciepło i wilgotno. Sensei powoli sączył sake. Do tego podjadał suszone grzyby.

– Nie boi się pan, przecież to są trujące grzyby? – zapytałam.

Sensei uśmiechnął się.

– Kto to wie – powiedział tylko i nie zmienił spokojnego wyrazu twarzy.

– Panowie, czy to są prawdziwe muchomory?

– A gdzie tam, wiadomo, że nie.

– No pewnie, oczywiście, że prawdziwe.

Tak mi odpowiedzieli jednocześnie. Nie jestem w stanie odróżnić, co który powiedział. Sensei uśmiecha się lekko i nadal żuje grzyby.

– Pętka... – powiedział, mrużąc oczy.

– Co takiego? – pytam, a wtedy powtórzył:

– Jak hetka-pętka. Tsukiko, spróbuj tych grzybów – polecił mi belferskim tonem.

Sięgnęłam ze strachem i skubnęłam kawałek, ale jedyne, co poczułam, to smak kurzu. Dwaj kuzyni znów się śmieją. Sensei spogląda w dal i uśmiecha się. W przypływie desperacji wcisnęłam sobie większy kawałek grzyba do ust i przeżułam.

I tak przez jakąś godzinę jeszcze piliśmy, ale nic dziwnego się nie wydarzyło. Zebraliśmy nasze bagaże i ruszyliśmy w powrotną drogę. Idąc ścieżką, czułam a to, że chce mi się śmiać, a co, że płakać. Może dlatego, że się upiłam. Przestałam wiedzieć, dokąd w ogóle idę. To też może przez alkohol. Przede mną idą panowie Satoru i Tōru: mają identyczne plecy i identycznie się poruszają. Sensei i ja idziemy koło siebie i razem śmiejemy się.

– Sensei, czy pan dalej kocha tę żonę, która od pana uciekła? – wymamrotałam, a wtedy jego śmiech stał się wysoki i przenikliwy.

– Żona jest dla mnie nadal istotą, której nie jestem w stanie ocenić – odpowiedział, poważniejąc trochę, a potem znów zaczął się śmiać.

Zadziwiająco duża ilość żywych stworzeń mnie otacza i wszystkie brzęczą. I naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego idę tą drogą.

Nowy rok

Mała katastrofa.

Wypaliła się świetlówka w kuchni. Taka długa, ponadmetrowa. Przyniosłam wysokie krzesło i spróbowałam ją zdjąć. Powinnam wiedzieć, jak to się robi, bo wymieniałam tę świetlówkę kilka lat temu, ale już zapomniałam.

I ciągnę, i popycham, a ta nie wychodzi. Spróbowałam przy pomocy śrubokrętu zdjąć ją razem z oprawką, ale ta była podłączona do jakichś niebieskich i czerwonych drucików pod sufitem w taki sposób, że za nic nie dało się jej odłączyć.

Skoro tak, pomyślałam, trudno, i napięłam się, szarpnęłam, a wtedy świetlówka pękła. Szkło rozsypało się po całej podłodze przed zlewem. A jeszcze na domiar złego byłam boso, więc kiedy schodziłam z krzesła, skaleczyłam się w stopę. Trysnęła czerwona krew.

Wytrącona z równowagi, poszłam do sąsiedniego pokoju, a kiedy sobie tam siedziałam, zaczęłam mieć zawroty głowy. Czyżbym dorobiła się anemii?

Tsukiko, myślisz, że dostaje się anemii od samego widoku krwi? To dosyć trudna sprawa. Tak pewnie powiedziałyby Sensei i wyśmiałyby mnie. Ale Sensei nie odwiedza mnie w moim mieszkaniu. Tylko ja czasami do niego przychodzę. Siedziałam tak, aż powieki zaczęły mi opadać. Prawdę mówiąc, od rana nic nie jadłam. Bez specjalnych planów spędzałam wolny dzień pod kołdrą. Zawsze tak robię w okresie noworocznym, kiedy już wrócę od mamy.

Nie mogę jakoś znieść mojego rodzinnego domu i rzadko go odwiedzam, choć jest w tej samej dzielnicy; nie wytrzymuję tego hałasu i rozgardiaszu, jaki wprowadzają mama i mój starszy brat z żoną i ich dzieci. Nie o to chodzi, że mogłabym usłyszeć znów, że powinnam wyjść za mąż czy rzucić pracę. Już od dawna nie odbieram tego jako złośliwości. Tylko o to, że w jakiś trudny do określenia sposób coś mi tam nie pasuje. Trochę tak, jakbym sprawiła sobie ileś ubrań dokładnie na mój wzrost, ale po włożeniu okazuje się, że jedne są za krótkie i wystają mi kostki, a znów poły innych ciągną się po ziemi. Zdziwiona, zdejmuję je z siebie i przykładam do ciała, a wtedy wszystkie są właściwej długości. To chyba takie uczucie?

Trzeciego dnia w nowym roku, kiedy mój brat z rodziną wybrał się gdzieś z wizytą noworoczną, na lunch mama przyrządziła dla mnie *yudōfu*, tofu na gorąco. Tofu na gorąco zrobione przez mamę jest od dawna moim przysmakiem. Dzieci zwykle nie przepadają za tego rodzaju potrawami, ale ja je bardzo lubiłam, jeszcze zanim poszłam do szkoły podstawowej. Mama miesza sos sojowy z sake, do niedużego garnuszka wkłada tofu, posypuje je świeżo ustruganymi płatkami bonito, i wszystko to umieszcza w ceramicznym garnku, w kąpieli wodnej, żeby ogrzać tofu. Kiedy jest już ciepłe i mama podnosi pokrywkę, obłoczek ciepłej pary unosi się nad garnkiem.

Podgrzane w całym kawałku twarde tofu ma wyraźne oczka od gotowania, kiedy je rozcinam pałeczkami. Dopuszczalne jest wyłącznie tofu ze specjalistycznego sklepiku na rogu.

– Od trzeciego już są czynni, więc wiesz – powiedziała mama i pospiesznie zabrała się do robienia dla mnie ulubionej potrawy.

– Dobre – powiedziałam.

– Ty to zawsze lubiłaś takie tofu – odpowiedziała mama, zadowolona.

– Ja za nic nie umiem takiego zrobić.

– Aa, to dlatego, że używasz innego tofu, tam gdzie mieszkasz, nie sprzedają takiego jak tutaj.

Po tej kwestii mama umilkła. I ja też milczałam. W milczeaiu odrywałam kawałki tofu pałeczkami, maczałam w sosie sojowym wymieszanym z sake i w milczeniu jadłam. Żadna z nas już nic więcej nie powiedziała. Czy to dlatego, że nie było o czym mówić? Być może było. Nagle przestałam wiedzieć, o czym można mówić. Niby jesteśmy sobie tak bliskie, ale właśnie dlatego nie docieramy do siebie. Miałam wrażenie, że jeśli spróbuję powiedzieć coś na siłę, to zaraz spadnę na łeb, na szyję z urwiska, które rozciąga się tuż pod moimi stopami.

Tsukiko, ja chyba czułbym się tak, gdybym po iluś latach zniecka natknął się gdzieś na żonę, która ode mnie uciekła. A ty raptem idziesz w odwiedziny do domu rodziców w tej samej dzielnicy i już się tak czujesz? Czy to nie jest trochę, no wiesz, czy nie jest to pewna przesada? Sensei mógłby tak powiedzieć.

Wygląda na to, że mama i ja mamy podobne charaktery. Sensei może by tak też powiedział, niemniej jednak mama i ja nie byłyśmy już w stanie rozmawiać. Do momentu, kiedy brat z rodziną wrócił z wizyty, już tylko starałyśmy się nie patrzeć na siebie nawzajem. Promienie bladego słońca w to noworoczne popołudnie padały na werandę i dalej, aż do podłogi przy *kotatsu*¹⁷. Kiedy skończyłam jeść, zaniósłam ceramiczny garnek, talerzyki i pałeczki do kuchni, a mama umyła je w zlewie. Zapytałam, czy powycierać umyte rzeczy, a mama przytaknęła. Lekko uniosła głowę i niezręcznie się uśmiechnęła. A potem stojąc obok siebie, zajęłyśmy się naszym zmywaniem.

Czwartego stycznia wróciłam do siebie i przez następne dwa dni, do szóstego, kiedy już miałam iść do pracy, nic, tylko spałam. To było zupełnie inne spanie niż w domu mamy. Bez końca coś mi się śniło.

¹⁷ Niski stolik z umieszczonym pod spodem piecykiem elektrycznym; na stoliku można rozłożyć dostosowaną kształtem koldrę, na której kładzie się właściwy blat stołu.

Pracowałam przez dwa dni, a potem znów było wolne. Już się nie czułam senna, więc tylko leżałam sobie leniwie w łóżku. W zasięgu ręki postawiłam dzbanek z herbatą, kubek, kilka gazet i na leżąco popijałam herbatę i przerzucałam kartki czasopism. Zjadłam jedną, może dwie mandarynki. Temperatura pod kołdrą mogła być tylko odrobinę wyższa od temperatury ludzkiego ciała. Szybko zaczynałam drzemać. Nie zasypiałam na długo: szybko wracałam do przeglądania prasy. I tak zapomniałam o tym, żeby coś zjeść.

Usiadłam na cały czas rozłożonej pościeli, do rany na stopie, z której ciągle płynęła krew, przyłożyłam papierową chusteczkę i czekałam, aż miną mi zawroty głowy. Moje pole widzenia wyglądało jak ekran telewizora tuż przed tym, zanim się zepsuje. Migąło raz po raz. Położyłam się na plecach i jedną rękę umieściłam w okolicy serca. Rytm uderzeń serca i puls wyczuwalny w naczyniach krwionośnych tuż koło rany były odrobinę przesunięte względem siebie.

Kiedy świetlówka się stłukła, było dość jasno. Ponieważ zawroty głowy nie mijają, nie wiem, czy jeszcze nie jest całkiem ciemno, czy już się ściemniło.

Czuję zapach jabłek leżących w koszyku koło poduszki. W tym chłodnym zimowym powietrzu pachniały mocniej niż zwykle. Ja zawsze najpierw kroję jabłko na czworo i dopiero potem obieram ze skórki, a mama – przypominałam sobie niewyraźnie – obiera nożem całe jabłko dookoła. Kiedyś zdarzyło mi się obrać jabłko dla mojego chłopaka. Zasadniczo nie jestem dobra w gotowaniu, a i nawet gdybym była, to nie jest w moim guście przygotowywanie *bentō* dla kochanka, pracowite gotowanie dla mężczyzny w jego domu czy zapraszanie do siebie na własnoręcznie przygotowaną kolację. Obawiałam się, że jak się robi takie rzeczy, to można doprowadzić do sytuacji, z której nie ma już odwrotu. Nie mówiąc już o tym, że mężczyzna mógłby pomyśleć, że jest prowadzony w kierunku takiej sytuacji. Wtedy akurat nie przeszkadzałyby mi, gdybym nie mogła się wycofać, ale nie byłam też w stanie tak po prostu uznać, że mi to nie przeszkadza.

Kiedy obrałam dla niego jabłko, mój chłopak zdziwił się. A więc ty też obierasz jabłka. Tak powiedział. No owszem, tyle to robię. Ach, no tak, rzeczywiście. No tak, tak. Niedługo po tej rozmowie nasze drogi rozeszły się. Nie było tak, że któreś z nas zaczęło o tym mówić. Jakoś tak żadne z nas nie dzwoniło do drugiego. Nie żebyśmy poczuli niechęć do siebie, tylko dni mijały, a my jak się nie spotykaliśmy, tak się nie spotykaliśmy.

Ty to jesteś naprawdę *cool*, powiedziała mi kiedyś przyjaciółka. On do mnie już kilka razy dzwonił z prośbą o poradę, wiesz? Pytał, co Tsukiko tak naprawdę o nim myśli. Dlaczego ty nie zadzwoniłaś do niego? Czekał na to.

Przyjaciółka wbiła we mnie wzrok. Dlaczego on nie porozmawiał ze mną, tylko udawał się po porady do tej czy innej mojej znajomej? Poczulałam się zupełnie zbita z pantałyku. Nie rozumiałam tego ani trochę. Powiedziałam to przyjaciółce, a ona westchnęła ciężko. No przecież, wymamrotała. No przecież jak człowiek kogoś kocha, to się niepokoi. A ty tak nie miałaś?

To są dwie różne rzeczy. Taki niepokój to on powinien mnie rzucić w twarz, a nie zwracać się po poradę do osoby trzeciej. Nie byłam w stanie dostrzec w tym niczego innego niż kompletne nieporozumienie.

Przepraszam. Narobiłam ci kłopotu. To było bezsensowne. Przeprosiłam, ale moja przyjaciółka westchnęła jeszcze głębiej niż poprzednio. Sens. O co ci chodzi z tym sensem.

To było już jakieś trzy miesiące po tym, kiedy go ostatnio widziałam. Moja przyjaciółka do końca coś tam marudziła, ale ja jej za bardzo nie słuchałam. Zawsze myślałam, że ja nie jestem takim typem, który się łatwo zakochuje. Myślałam, że jeżeli miłość ma być związana z takim marudzeniem, to ja nie mam na nią ochoty. Przyjaciółka wzięła ślub z moim chłopakiem, o którym wtedy rozmawialiśmy, jakieś pół roku później.

Przeszły mi zawroty głowy. Zaczęłam dostrzegać sufit. W tym pokoju żarówka się nie przepaliła, tylko jeszcze nie włączyłam światła. Na dworze było już ciemno. Zza okna dopływa chłodne powietrze. Kiedy zapada zmierzch, nagle robi się chłodno. Skoro tak leżę pod kołdrą, to i przypominam sobie różne dawne sprawy. Z ranki w stopie krew już przestała płynąć. Przykleiłam duży kawałek plastra, włożyłam skarpetki, kapcie też, i wzięłam się do sprzątanía przy zlewíe.

Kawałki szkła odbijają światło żarówki z sąsiedniego pokoju i słabo połyskują. Właściwie ja naprawdę kochałam tego mężczyznę. Trzeba było wtedy zadzwonić do niego. Właściwie chciałam zadzwonić. Ale jeśli po drugiej stronie usłyszę spokojny, chłodny głos... – tak myślałam i moje ciało zamieniało się w kawałek lodu. Nie wiedziałam, że on myślał podobnie. A kiedy się już dowiedziałam, to uczucie, stłamszone, przybrało dziwną postać i wepchnęłam je gdzieś w głąb mojej duszy. Jak należy stawiałam się na ślubie mojego chłopaka i mojej przyjaciółki. W jakimś przemówieniu usłyszałam, że ta miłość była dla nich zrzędzeniem losu.

Była. Zrzędzeniem. Losu. Słuchając przemówień i patrząc na byłego chłopaka i przyjaciółkę, siedzących na podwyższeniu, pomyślałam sobie, że szansa na to, by mnie nawiedziła miłość będąca zrzędzeniem losu jest bliska zeru.

Zachciało mi się zjeść jabłko, więc wyjęłam jedno z koszyka. Spróbowałam je obrać tak, jak robi to mama. Obierka urwała się w połowie. Nagle do oczu napłynęły mi łzy, aż się zdziwiłam. Nie kroiłam przecież cebuli, to od jabłka te łzy. Płakałam też, jedząc to jabłko. Pomiędzy jednym a drugim dźwiękiem chrupania jabłka usłyszałam, jak łzy kapią do stalowego zlewu. Stałam przed zlewem, płakałam i jadłam – tyle do zrobienia naraz.

Włożyłam gruby płaszcz i wyszłam z mieszkania. Ten włochaty płaszcz noszę już od iluś lat. Jest koloru butelkowej zieleni i chociaż może się wydawać lekki i puszysty, bardzo mi w nim ciepło. Ponieważ przedtem płakałam, teraz jeszcze bardziej niż zwykle odczuwam zimno. Kiedy już zjadłam jabłko, przez jakiś czas dygotałam w pokoju, ale szybko poczułam, że mam tego dość. Do czerwonego, obszernego swetra, który też noszę od dawna, zdecydowałam się włożyć brązowe wełniane spodnie. Zmieniłam skarpetki na grube, włożyłam rękawiczki, buty wybrałam sportowe, o grubej podeszwie, i wyszłam na dwór.

Trzy gwiazdy konstelacji Oriona błyszczą jasno na niebie. Szłam prosto przed siebie. Dziarskim krokiem. A kiedy się rozruszałam, moje ciało wreszcie się trochę rozgrzało. Pies zaczął na mnie skądś ujadać, aż do oczu napłynęły mi łzy.

Ciągle jestem taka dziecinna, choć już niedługo skończę czterdzieści lat. Szłam, wymachując rękami, jak dziecko. Gdybym zobaczyła puszkę na drodze, kopnęłabym ją. Zerwałam kilka uschłych traw, rosnących przy drodze. Kilku rowerzystów jechało w moją stronę od dworca. Prawie zderzyłam się z jednym rowerem, bo był nieoświetlony, a rowerzysta nakrzyczał na mnie. Znów się rozpłakałam i nie mogłam przestać. Zapragnęłam gdzieś usiąść, wypłakać się cichutko. Ale porzuciłam tę myśl, było zbyt zimno.

Jestem zupełnie jak dziecko. Stanęłam na przystanku autobusowym. Czekałam całe dziesięć minut, ale nic nie przyjeżdżało. Spojrzałam na rozkład jazdy: ostatni autobus już odjechał. Robiło mi się coraz smutniej. Spróbowałam potupać nogami. Nie mogę się rozgrzać. W takich chwilach ludzie dorośli wiedzą, co zrobić, żeby ciało się rozgrzało. A ja jestem dzieckiem, więc nie wiem.

Poszłam dalej w stronę dworca. Dobrze znam tę drogę, ale tym razem wydawała mi się jakaś obca. Całkowicie powróciłam do czasów dzieciństwa, kiedy do domu wracało się tak długo, okrężną drogą, aż słońce zachodziło i wreszcie znajoma trasa zaczynała wyglądać zupełnie, ale to zupełnie inaczej.

– Sensei – mruknęłam. – Sensei, nie znam drogi powrotnej.

Ale Senseia nie było przy mnie. Gdzie też on może być tego wieczoru? Zdałam sobie sprawę, że jeszcze nigdy dotąd nie dzwoniłam do niego. Zawsze spotykaliśmy się jakby od niechcienia i od niechcienia razem dokądś szliśmy. Od niechcienia odwiedzałam go i od niechcienia razem piliśmy alkohol. Zdarzało się i tak, że przez miesiąc ani razu nie rozmawialiśmy i w ogóle się nie spotykaliśmy. Dawniej, jeśli zdarzyłoby się, że przez miesiąc nie rozmawiałabym z chłopakiem przez telefon czy nie spotkała się, nie posiadałabym się ze zdenerwowania. Bałabym się, że zniknął, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę. Ze mógłby stać się kimś, kogo nie znam?

Z Senseiem nie spotykam się aż tak często. To normalne, w końcu nie jesteśmy kochankami. I nie mam wrażenia, że przez ten czas, kiedy się nie widzimy, oddalamy się od siebie. Sensei jest zawsze Senseiem. I tej nocy też gdzieś z pewnością sobie jest.

Czułam się coraz smutniej, więc zaczęłam śpiewać. Najpierw *Rzekę Sumida słoneczną wiosną...*, ale ponieważ to zupełnie nie pasowało do zimna dookoła, przestałam w połowie. Próbowałam znaleźć w pamięci jakąś zimową piosenkę, ale nie mogłam sobie żadnej przypomnieć. Wreszcie przybłąkała mi się narciarska: *Góry lśnią jak srebro, a my skąpani w słońcu...* Nie zgadzało się to wcale z moim obecnym nastrojem, ale nie znam innych piosenek o zimie, więc nie mając innej rady, śpiewałam tę.

*Czy to płatki śniegu wirują, czy mgła się unosi,
Oo, ja także pędzę, ja także pędzę...*

Pamiętałam tekst piosenki jak należy. Nie tylko pierwszą zwrotkę, ale i drugą też. „Oo, jak przyjemnie, dobrze wyćwiczone skoki...” – śpiewałam i aż się sama zdziwiłam, że to pamiętam. Trochę rozchmurzona, przeszłam do trzeciej zwrotki, ale tutaj utknęłam. Umiałam zaśpiewać do: „Niebo jest ciemne, a ziemia jest biała...”, ale ostatnich czterech linijek nie mogłam sobie przypomnieć.

Zatrzymałam się w tej ciemności, pogrążona w myślach. Co jakiś czas od strony dworca przechodzili ludzie. Stałam pośrodku ulicy, a oni mnie omijają. Kiedy cichym głosem zaczęłam podśpiewywać trzecią zwrotkę, ludzie omijali mnie jeszcze wyraźniej.

Jednak nie mogłam sobie przypomnieć i znów zachciało mi się płakać. Nogi same podjęły marsz, łzy same płynęły. I nawet kiedy usłyszałam wołanie: – Tsukiko! – nie odwróciłam się. Przecież i tak to tylko głos w mojej głowie. To niemożliwe, żeby Sensei się tutaj pojawił, właśnie wtedy, kiedy go tak potrzebuję.

– Tsukiko! – usłyszałam jeszcze raz.

Odwróciłam się, a za mną był Sensei. Miał na sobie lekki, ale ciepły płaszcz, w ręce trzymał tę samą teczkę co zawsze, i stał porządnie wyprostowany.

– Sensei, co pan tu robi?

– Spaceruję, noc taka ładna.

Nie wierząc, że to naprawdę on, ukradkiem uszczypnęłam się w wierzch dłoni. Boli. Po raz pierwszy w życiu przekonałam się, że ludzie rzeczywiście szczypią sami siebie, kiedy nie są pewni, czy aby nie śpią.

Sensei. Tak do niego zawołałam. Cicho zawołałam, z pewnej odległości.

Tsukiko. Sensei odpowiedział na moje wołanie. Po prostu wypowiedział moje imię.

Przez dłuższą chwilę staliśmy naprzeciwko siebie w ciemności i gdy tak trwaliśmy, wreszcie łzy przestały płynąć z moich oczu. Poczułam się uspokojona, bo już się obawiałam, co zrobię, jeśli dalej będę tak płakać. Nie mam pojęcia, co też bym potem usłyszała od Senseia, gdybym mu pozwoliła zobaczyć łzy.

– Tsukiko, na końcu jest: „Oo, wzgórze nas zapraszają”.

Tak powiedział Sensei.

– To jest piosenka *Narty*. Ja także kiedyś korzystałem czasem z przyjemności jazdy na nartach.

Poszliśmy razem w stronę dworca.

– W dni wolne bar pana Satoru nie działa – powiedziałam, a Sensei, patrząc przed siebie, przytaknął.

– Czasem można też zajrzeć do jakiegoś innego. Tsukiko, to będzie pierwszy raz w tym roku, kiedy pójdziemy razem się napić. Ach, rzeczywiście, Tsukiko, wszystkiego dobrego w nowym roku.

Weszliśmy do baru z czerwoną latarnią nieopodal baru pana Satoru i usiedliśmy na krzesłach, nie zdejmując płaszczy. Poprosiłam o piwo beczkowe i wypłam je duszkiem.

– Tsukiko, ty mi coś przypominasz – powiedział Sensei i też wypił swoje piwo do dna. – Tylko co? Mam to na końcu języka.

Ja zamówiłam tofu na gorąco, a Sensei ostroboka pieczonego w sosie *teriyaki*.

– Ach tak, Boże Narodzenie! Zielony płaszcz, czerwony sweter, brązowe spodnie... Wyglądasz jak choinka – powiedział Sensei trochę piskliwym głosem.

– Tylko że mamy już nowy rok – odpowiedziałam.

– Czy zdarza ci się, Tsukiko, spędzać Boże Narodzenie z ukochanym? – pyta Sensei.

– Nie, nie zdarza mi się.

– Nie masz ukochanego, Tsukiko?

– Jasne, jednego, dwóch, może nawet dziesięciu.

– Ach, oczywiście, oczywiście.

Wkrótce przerzuciliśmy się na sake. Podniosłam podgrzaną karafkę i nalałam do kieliszka Senseia. Naraz zrobiło mi się ciepło i znów byłam bliska łez. Ale nie rozplakałam się. Wolałam pić sake niż płakać.

– Sensei, wszystkiego najlepszego w nowym roku. W tym roku niech pan też o mnie pamięta, proszę.

Powiedziałam to jednym tchem i Sensei roześmiał się.

– Bardzo ładnie nauczyłaś się składać życzenia, Tsukiko. Mądra dziewczynka, mądra.

Tak powiedział i pogłaskał mnie po głowie. A kiedy on mnie głaskał, ja napiłam się sake.

W wielu wcieleniach

Szłam ulicą i niespodziewanie wpadłam na Senseia.

Wygrzebałam się z łóżka, dopiero kiedy minęło południe. Przez ostatni miesiąc byłam bardzo zajęta. Do wynajętego mieszkania wracałam codziennie blisko północy. Przez ileś dni z rzędu nawet się nie kąpałam po powrocie, tylko byle jak obmywałam twarz i od razu padałam na łóżko. Większość weekendów też spędzałam w pracy. Nie jadłam porządných posiłków, więc zmizerniałam, i to widać. Jestem raczej smakoszką i kiedy nie mogę jeść powoli, tak jak lubię, stopniowo tracę siły i ochotę do życia. Twarz mi ciemnieje.

I oto wreszcie w piątek, wczoraj, w tej naszej wytężonej pracy pewien etap się skończył. Po raz pierwszy od dawna mogłam się wypać w sobotni rano. A kiedy już sobie pospałam, ile tylko miałam ochotę, nalałam do wanny gorącej wody do pełna i weszłam do niej z czasopiśmem do czytania. Umyłam włosy, zanurzyłam się w wodzie, do której dodałam ładnie pachnącego płynu, i przeczytałam dość dokładnie pół czasopisma. Chwilami wychodziłam z wanny, żeby się schłodzić. Spędziłam tak w łazience dobre dwie godziny.

Wypuściłam wodę, pobieżnie opłukałam wannę i nago, tylko w turbanie z ręcznika na mokrych włosach, przespacerowałam się po pokoju. W takich chwilach myślę sobie, że dobrze jest być samemu. Otworzyłam lodówkę, wyjęłam z niej butelkę wody gazowanej, wlałam połowę do szklanki i wypiąłam dużymi łykami. Co mi przypomniało, że w młodości nie lubiłam gazowanej. Kiedy miałam dwadzieścia kilka lat, wybrałam się z przyjaciółką na wycieczkę do Francji. Pewnego razu zachciało mi się pić i weszliśmy do kawiarni. Chciałam po prostu napić się wody, więc takie właśnie zamówienie złożyłam: Wodę proszę – i wtedy dostałam gazowaną. Chcąc czym prędzej zwilżyć wysuszone gardło, wypiąłam duży łyk i natychmiast zrobiło mi się niedobrze, byłam bliska wymiotowania. Gardło miałam zaschnięte. Woda stała przede mną. Tylko że była nieprzyjemna, trudno ją przełknąć, bo bulgotały w niej małe pęcherzyki gazu. Byłam spragniona, ale gardło nie przyjmowało tego napoju. Ponieważ nie umiałam powiedzieć po francusku, że chcę normalną wodę, niegazowaną, niechętnie poprosiłam koleżankę, żeby podzieliła się ze mną wodą z cytryną, którą sobie zamówiła. To była słodzona woda, naprawdę niesmaczna. W tamtych czasach nie zdarzało mi się jeszcze pić piwa po to, by zwilżyć gardło.

Wodę gazowaną polubiłam dopiero po trzydziestcepiątce. Zaczęłam wtedy pijać koktajle z wodą sodową. Sama nie wiem, od kiedy weszło mi to w zwyczaj, ale w lodówce mam zawsze wodę gazowaną, tę w zielonych, szczupłych buteleczkach Wilkinsona. A do tego kilka butelek piwa imbirowego, też Wilkinsona. Kupuję je zawsze z myślą o odwiedzinach przyjaciółki, która prawie nie pije alkoholu. Jeśli chodzi o ubrania, jedzenie czy różne sprzęty, raczej nie przejmuję się markami i nie trzymam się żadnej z nich, jedynie co do wody gazowanej mam jasno ustalone: to musi być wilkinson. Główną przyczyną jest chyba to, że sklep z alkoholem, który znajduje się o dwie minuty spaceru od mojego mieszkania, sprzedaje właśnie taką wodę. Może się to wydawać powodem dość przypadkowym, ale gdybym się wyprowadziła stąd i w nowej okolicy nie byłoby sklepu z alkoholem, albo gdyby był sklep, ale nie byłoby w nim znakomitych wyrobów firmy Wilkinson, zapewne przestałabym mieć zawsze w domu wodę gazowaną. Do tego stopnia jestem przywiązana do tej marki.

Kiedy jestem sama, często się zdarza, że tak się pogrążam w myślach. Kwestie wyrobów firmy Wilkinson czy wydarzeń podczas dawno minionej wycieczki do Europy pojawiają się w mojej głowie jak te bulgoczące pęcherzyki w wodzie gazowanej i rozrastają się bez końca. Bez głębszej myśli zatrzymałam się przed dużym lustrem i tak sobie stałam nago. W takich chwilach rozmawiam z tą „ja”, która jest obok (choć tak naprawdę wcale jej nie ma), zupełnie jakbym rozmawiała z kimś obcym, kto stoi przy mnie, i we dwie upewniamy się nawzajem co do tych rozrastających się bez końca spraw. I w ogóle nie dostrzegam w odbiciu lustrzanym mojego nagiego ciała, które zupełnie niepotrzebnie tak bez oporów poddaje się grawitacji. Rozmawiam nie z tą „ja”, która jest widoczna, lecz z tą niewidoczną, z tymi drobnymi przejawami mnie, które unoszą się w mieszkaniu.

Do wieczora byłam w domu. Trochę przeglądałam książki i właściwie nic specjalnego nie robiłam. Znowu zachciało mi się spać, zdrzemnąłam się więc jakieś pół godziny, a gdy się obudziłam i rozsunęłam zasłony, za oknem było zupełnie ciemno. Według kalendarza nastąpiła już wiosna, ale dni są jeszcze krótkie. Już lepiej się czuję w środku zimy, kiedy krótkość dni wydaje się wręcz mnie poganiać. Jak pomyślę, że i tak zaraz będzie ciemno, w tej porze szarówki o zmierzchu, która tak łatwo wywołuje poczucie żalu, czuję, że moje serce jest w stanie gotowości. A o tej porze, kiedy dzień się już trochę wydłużył i myślę sobie: jeszcze się chyba nie ściemnia, niech jeszcze troszkę się nie ściemnia, zmierzch po prostu ścina mnie z nóg. Ledwo zdążę pomyśleć, że zapada zmrok, a już w następnej chwili bez litości nadciąga smutek i przygniata mnie.

Wobec tego postanowiłam wyjść na dwór. Zachciało mi się wyjść na ulicę i upewnić się, że nie tylko ja jedna żyję, że nie tylko mnie jedną życie zasmuca. Jednak sam widok ludzi przechodzących koło mnie nie wystarcza. Do tego stopnia myślę, że chcę się upewnić – że aż nie jestem w stanie tego zrobić.

I w takim momencie trafiłam na Senseia.

– Tsukiko, pośladki mnie bolą – powiedział Sensei, gdy tylko stanęliśmy obok siebie.

Zdziwiona spojrzałam na jego twarz, ale nie było widać, żeby był specjalnie zbolący, raczej wyglądał normalnie. Zapytałam, o co chodzi z tymi pośladkami, a Sensei skrzywił się.

– Młode kobiety nie powinny używać takich słów jak „pośladki”.

Ale zanim zdążyłam zapytać, jak powinny wobec tego mówić, Sensei dodał:

– Są przecież różne wyrażenia: choćby „łędźwie” czy „w okolicy bioder”. To bardzo smutne, że młodzi ludzie ostatnio mają tak ograniczone słownictwo.

Nie odpowiedziałam, tylko zaczęłam się śmiać, i Sensei też się zaśmiał.

– I dlatego też dziś zrezygnujemy z odwiedzenia baru pana Satoru.

Znów odwróciłam się do niego, zaskoczona, a Sensei lekko skinął głową.

– Ponieważ wyglądam, jakbym się źle czuła, będzie się o mnie martwił. Nie mam ochoty pić sake, kiedy ktoś się o mnie martwi.

Skoro tak, to wydaje się, że wystarczy nie iść do baru, myślę.

– Jednakże, czyż nie mówi się, że jeśli bodaj otrzemy się o kogoś rękawem, jest to wynik więzów tworzących się przez wiele wcieleń?

Zapytałam, czy więzy między Senseiem a mną też się tworzyły przez wiele wcieleń, a on odpowiedział pytaniem:

– Tsukiko, czy ty rozumiesz, co to znaczy?

– Po prostu to, że jest jakiś związek między nami, czy nie o to chodzi? – odpowiedziałam po chwili zastanowienia.

Sensei ściągnął brwi i pokręcił głową.

– To nie tylko tyle. Wiele wcieleń oznacza wiele kolejnych odrodzeń.

– Aha – odpowiedziałam. – Ja nigdy nie byłam zbyt dobra z japońskiego i kultury narodowej.

– To dlatego, że się nie uczyłaś porządnie – orzekł bezlitośnie Sensei. – Tsukiko, „wiele wcieleń” to określenie, które pochodzi z filozofii buddyjskiej. Oznacza, że istoty żywe wiele razy odradzają się w różnych postaciach.

Sensei pierwszy wszedł do małej knajpki koło baru pana Satoru, specjalność: gorący *oden*¹⁸. Kiedy się przyjrzałam, dostrzegłam, że rzeczywiście Sensei chodzi lekko pochylony w jedną stronę. Jak bardzo bolą go te pośladki, lędźwie czy też okolica bioder? Nie mogę tego wyczytać z jego wyrazu twarzy.

– Poproszę gorącą sake – powiedział Sensei, a ja dodałam do tego butelkę piwa.

Wkrótce przyniesiono nam ćwierćlitrową karafkę i średnią butelkę piwa, do tego kieliszek i szklanekę. Każde z nas nalało sobie samemu i powiedzieliśmy: – Na zdrowie!

– Czyli więzy tworzone w wielu wcieleniach to takie więzy, które zostały zadziergnięte już w którymś z poprzednich żyć.

– Ach, więc w poprzednim życiu – powiedziałam trochę za głośno. Ciekawe, czy byłam związana z Senseiem już w poprzednim życiu. Ja?

– Ludzie chyba wszyscy tak mają. Przypuszczam – powiedział zupełnie spokojnie Sensei i nalał sobie z karafki sake, starannie, jakby to właśnie było najważniejsze. Młody mężczyzna, który siedzi obok lady, przygląda się nam uważnie. Nie odwraca wzroku od chwili, kiedy odezwałam się trochę głośniej. Mężczyzna w uchu ma trzy kolczyki. Dwa z nich to małe, złote kuleczki-wkrętki, a trzeci, w najniższej dziurce, szczególnie mocno błyszczący, kołysz się, zawieszony na biglu.

– Ja też poproszę sake na gorąco – powiedziałam w stronę baru i zapytałam Senseia, czy wierzy w te poprzednie życia. Miałam wrażenie, że mężczyzna obok nas też nadstawia uszu, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Tylko trochę.

¹⁸ *Oden* to potrawa szczególnie chętnie jedzona zimą, często sprzedawana też na ulicznych straganach: w naczyniu z japońskim wywarem gotuje się razem w dużych kawałkach różne składniki, jak tofu, całe jajka na twardo, biała rzodkiew, pasta rybna ukształtowana w rurki itp.; *oden* często podaje się z *karashi*, japońską musztardą.

Odpowiedź Senseia podziałała na mnie zadziwiająco mocno. Spodziewałam się, że kto jak kto, ale on odpowie coś w rodzaju: A ty wierzysz w poprzednie życie, Tsukiko? Trochę to, wiesz, sentymentalne.

– Możemy powiedzieć, że to poprzednie życie albo że przeznaczenie.

– Poproszę kawałek białej rzodkwi, rybne klopsiki i mięso wołowe – zamówił Sensei.

Nie chciałam być gorsza, więc zamówiłam jeszcze raz *oden*:

– Poproszę pastę rybną, *konnyaku*¹⁹ w nitkach i białą rzodkiew, ja też chcę białą rzodkiew.

Mężczyzna obok nas zamówił wodorosty *konbu* i *surimi* z ryby. Przez jakiś czas skupiliśmy się na naszych miseczkach, przerywając rozmowę o przeznaczeniu i poprzednich życiach.

Sensei siedzi lekko przechylony, dzieli rzodkiew pałeczkami na stosowne kawałki i podnosi do ust; ja, trochę zgarbiona, trzymam cały kawałek rzodkwi pałeczkami i obgryzam go.

– I sake, i *oden* są naprawdę smaczne, prawda? – mówię. Sensei lekko pogłaskał mnie po głowie. Ostatnio zaczął przy różnych okazjach głaskać mnie po głowie.

– Lubię ludzi, którzy jedzą posiłki ze smakiem – powiedział przy tym.

– Sensei, może jeszcze coś zamówimy?

– Dobrze – zgodził się i złożył następne zamówienie. Mężczyzna koło nas jest już dość czerwony na twarzy. Stoją przed nim trzy chyba opróżnione karafki. Jest i pusta szklanica, więc zapewne pił też piwo. Oddycha głośno i wydziela z siebie taki zapach alkoholu, że dociera aż do nas.

¹⁹ Twarda galareta uzyskiwana z rośliny *Amorphophallus konjac* – pol. dziwidło – może być gotowana i smażona; w kuchni japońskiej jest używana w dużych kawałkach, zwykle koloru szarego, a także w postaci cienkich jak makaron nitek, plasterków itp.

– Co wy za jedni?

Mężczyzna zagadnął nas niespodziewanie. Na jego talerzu leżą wodorosty i *surimi* z ryby, ledwo napoczęte. Nalewając sobie sake z czwartej karafki, mężczyzna chuchnął na nas, tak że poczuliśmy jego przesycony alkoholem oddech. Kolczyki w jego uchu połyskują jasno.

– O co panu chodzi? – zapytał Sensei, przechylając swoją karafkę.

– Bo wy to jesteście dobrze ustawieni, co nie? – mówi tamten ze śmiechem.

W tym śmiechu jest coś dziwnego. Tak jakby ktoś połknął kiedyś przez pomyłkę małą żabkę i później nie mógł się już nigdy śmiać z głębi brzucha – taki to był dziwny śmiech, jakby coś w nim utkwiało.

– Dobrze w jakim sensie? – pyta znów Sensei poważnie.

– A, no tak się do siebie lepicie, chociaż ty chyba stary, a ona taka młoda.

– Aa – zgodził się Sensei ze spokojną pewnością siebie, po czym się odwrócił. Miałam wrażenie, że coś aż trzasnęło przy tym. Z takim osobnikiem jak ty nie rozmawiam – byłam pewna, że choć Sensei nie powiedział tego na głos, takie słowa zadźwięczały w jego głowie. I ja to odczułam, i miałam wrażenie, że mężczyzna też.

– To obrzydliwe dosyć, w takim wieku – ciągnął, choć z pewnością wiedział, że Sensei już mu nie odpowie, a może właśnie dlatego, że to wiedział. – Ten dziadek robi to z tobą?

Mężczyzna zadał to pytanie mnie, nad głową Senseia. Jego głos rozległ się w całym barze. Zerknął przy tym na Senseia, ale oczywiście temu nawet nie drgnęła powieka.

– No, ile razy w miesiącu to robicie, co?

– Ależ Yasuda, pozwól... – Właściciel knajpki spróbował powstrzymać mężczyznę. Zdaje się, że ten był jednak pijany o wiele bardziej, niż na to wyglądał. Kiwał się to w przód, to w tył. Z pewnością bym go trzepnęła, gdyby Sensei nie siedział między nami.

– Nie wtrącaj się! – krzyknął mężczyzna do właściciela knajpki i próbował oblać go sake ze swojego kieliszka, celując w twarz. Ale że był pijany, nie trafił i większość alkoholu znalazła się na jego własnych spodniach. – Głupi! – wrzasnął, jednocześnie wycierając podanym przez właściciela knajpki ręcznikiem miejsca dość odległe od tych obłanych. Po czym opadł na ladę i natychmiast zaczął głośno chrapać.

– Och, ten Yasuda, coś z nim ostatnio nie najlepiej – powiedział właściciel knajpki, zwracając się do nas; skłonił przy tym głowę i podniósł rękę w przeproszającym geście.

– Aha – mruknęłam niezobowiązująco; Sensei nawet nie kiwnął głową, tylko takim samym tonem jak zawsze zamówił jeszcze jedną sake na gorąco.

– Tsukiko, jest mi niezmiernie przykro.

Młody mężczyzna ciągle chrapie, uwalony na ladzie. Właściciel kilka razy potrząsał nim, próbując obudzić, ale bez rezultatu. Jak się obudzi, zaraz wyjdzie, wyjaśnił nam i poszedł do innego stolika przyjąć zamówienie.

– Tsukiko, jest mi naprawdę ogromnie przykro, że przeze mnie spotkała cię taka nieprzyjemność.

Chciałam odpowiedzieć, żeby tak nie mówił, ale nie mogłam wyrzucić słowa. Byłam bardzo zła. Nie ze względu na siebie. Ze względu na to, że doprowadziłam Senseia do takich bezsensownych przeprosin.

– Czy on nie mógłby już sobie stąd iść, ten facet? – burknęłam, wskazując go podbródkiem. On jednak tylko zachrapał jeszcze głośniej.

– Ale się łśni, prawda? – powiedział Sensei.

– Co? – zdziwiłam się, a on z szelmowskim uśmiechem pokazał mi kolczyk mężczyzny. – Rzeczywiście, bardzo błyszczący – powiedziałam, czując, że już trochę zeszło ze mnie napięcie. Czasami naprawdę nie rozumiem tego człowieka. Ja też zamówiłam jeszcze jedną karafkę i napiłam się ciepłej sake. Nie wiem dlaczego, ale Sensei wciąż chichocze. Z czegoż ten człowiek się śmieje? Zrezygnowana, poszłam do łazienki i załatwiłam się. I może to sprawiło, że trochę zebrałam myśli, bo kiedy siadłam znów koło mojego towarzysza, czułam się już uspokojona.

– Tsukiko, zobacz. Zobacz.

Sensei delikatnie otworzył zaciśniętą dłoń. Spojrzałam: na płaskiej dłoni leży coś błyszczącego.

– Co to jest? – pytam.

– To, no wiesz, to, co miał w uchu. – Spojrzenie Senseia przesunęło się w stronę chrapiącego mężczyzny. Podążyłam za jego wzrokiem: z ucha mężczyzny zniknął ten najbardziej krzykliwy kolczyk. Dwie małe złote kulki nadal tkwią na miejscu, ale najbliżej krawędzi ucha już nic nie ma, tylko pusta dziurka, trochę rozciągnięta.

– Czy pan mu go ukradł?

– Podałam.

Mówi to z zupełnie niewinną miną.

– O, to chyba nieładnie?

Niewzruszony moją krytyką Sensei tylko potrząsnął głową.

– U Uchidy Hyakkena²⁰ można przeczytać taką historię – zaczął. – Było takie opowiadanie, *Złodziej amator*. Pewien człowiek po pijanemu zachowuje się niewłaściwie, przeklina, a na jego piersi chybotrze się złoty łańcuszek. Ponieważ to jego nieprzystojne zachowanie jest po prostu irytujące, złoty łańcuszek coraz bardziej kłuje w oczy naszego bohatera. I dlatego w pewnym momencie go kradnie. Bez najmniejszych skrupułów. Myślał, że to będzie proste, skoro tamten był pijany, ale tu akurat się pomylił, bo sam też był pijany, więc byli na równych pozycjach.

Teraz sobie przypomniałam. W czasie zajęć z języka narodowego Sensei zawsze miał taki sam, całkowicie niewinny wyraz twarzy.

– I dlatego pan też się dopuścił kradzieży? – zapytałam, a on z rozmachem kiwnął głową.

– Cóż, można powiedzieć, że wzorowałam się na Hyakkenie.

Myślałam, że zapyta mnie: Tsukiko, znasz tego pisarza, Uchidę Hyakkena? Nie zapytał jednak. Wydaje mi się, że mogłam słyszeć kiedyś to nazwisko, ale nic więcej. Strasznie wykoncypowane to opowiadanie. Wszystko jedno, czy jest pijany, czy nie, nie wolno kraść. Z drugiej strony, zadziwiająco logiczne. Pod względem logiki można tu zauważyć pewne podobieństwa do rozumowania Senseia.

– Tsukiko, ja zrobiłem coś takiego nie po to, żeby dać mu nauczkę. Zwędziłem mu ten kolczyk po to, żeby uciszyć moją irytację. Chciałbym, żebyś zrozumiała to właściwie.

– Rozumiem właściwie – zapewniłam go solennie, po czym szybko łyknęłam sake. Potem oboje wypiliśmy po jeszcze jednej karafce, jak zwykle każde zapłaciło swój rachunek i wyszliśmy.

Księżyc jest bardzo jasny. Zbliża się pełnia.

²⁰ Uchida Hyakken (1889-1971), japoński pisarz, eseista.

– Sensei, zdarza się panu czuć smutek? – zapytałam od niechcienia, kiedy tak patrzyliśmy oboje przed siebie, mając twarze zwrócone w tę samą stronę.

– Kiedy mnie bolały pośladki, czułem się smutno – odpowiedział, cały czas zapatrzony przed siebie.

– A właśnie, pośladki... nie, przepraszam, lędźwie... co się stało?

– Jak wkładałem spodnie, noga mi uwięzła i się przewróciłem. I bardzo mocno potłukłem sobie pośladki.

– A ha, ha – zaśmiałam się bez zastanowienia. Sensei też się roześmiał.

– Smutek to nic takiego. Ból fizyczny najłatwiej wywołuje smutek.

– Sensei, czy lubi pan wodę gazowaną?

– Zmieniasz temat rozmowy. Ja, cóż, od dawna piję z upodobaniem wodę gazowaną firmy Wilkinson.

– Ach tak? Ach, więc to tak – powiedziałam, wciąż patrząc przed siebie.

Księżyc stoi już wysoko. Niebo jest tylko trochę zasnuwane chmurami. Nie widać jeszcze oznak wiosny, ale można poczuć, że ona jest już bliżej niż wtedy, gdy weszliśmy do knajpki serwującej *oden*.

– Co ma pan zamiar zrobić z tym kolczykiem? – zapytałam. Sensei zamyślił się.

– Schowam go w komodzie. A czasem go sobie wyjmę i będę się nim cieszył – odpowiedział w końcu.

– W tej komodzie, w której są schowane czajniczki pociągowe? – upewniłam się, a on kiwnął głową.

– Tak, to jest komoda, w której trzymam przedmioty o wartości pamiątkowej.

– Czy dzisiejsza noc będzie warta pamiętania?

– Pierwszy raz od dłuższego czasu coś ukradłem.

– O, a kiedyż to przyswoił pan sobie sztukę kradzieży?

– W poprzednim wcieleniu, ale tylko trochę – powiedział i zachichotał.

Idziemy powoli, Sensei i ja, otuleni powietrzem, w którym już czuć wiosnę. Księżyc lśni złotym blaskiem.

Hanami. Część pierwsza

– Przyszła pocztówka od pani Ishino – powiedział Sensei.

Pani Ishino jest nauczycielką sztuki w szkole średniej. Kiedy ja jeszcze do niej uczęszczałam, miała chyba koło trzydziestu pięciu lat. Włosy, które odznaczały się głęboką czernią i układały się w fale, zbierała zwykle z tyłu, a po korytarzu szkoły chodziła w narzuconym na ramiona kitlu malarskim. Sprawiała wrażenie, że jej szczupłe ciało wprost kipi energią. Była lubiana i przez chłopców, i przez dziewczęta; w sali kółka artystycznego zawsze można było zastać po lekcjach sporo uczniów.

Kiedy z aneksu przy sali, w którym zamykała się pani Ishino, zaczynał rozchodzić się zapach kawy, uczniowie pukali do drzwi.

– Co takiego? – pyta pani Ishino ochryplym głosem.

– Proszę pani, mogłaby pani nas poczęstować kawą? – zagaduje przez zamknięte drzwi któryś z uczniów nieco opryskliwym tonem.

– Dobrze, dobrze – mówi pani Ishino, otwiera drzwi i wręcza uczniom dzbanek pełen kawy. Ale na ten poczęstunek mogą liczyć tylko przewodniczący kółka artystycznego, jego zastępca i kilka osób z trzeciej klasy. Uczniowie z niższych klas nie mają tego przywileju. Pani Ishino wychodzi ze swojego aneksu, ściskając w obu rękach spore kubki z ceramiki Mashiko²¹, które ponoć przyjaciel pozwolił jej wypalić w swoim piecu, i pije kawę razem ze swymi podopiecznymi. Po czym zaczyna krążyć po sali, a ma przy tym skłonność do lekkiego wyginania się do tyłu, i ogląda prace. Kiedy znów siądzie na swoim miejscu, dopija resztę kawy. Nie dodaje mleczka. Kółkowicze dla siebie przynosili mleczko czy cukier, ale pani Ishino zawsze piła czarną.

– Ja też chciałabym kiedyś być taką kobietą jak ona – powiedziała mi kiedyś zachwycona nią koleżanka z klasy, która należała do kółka, więc i ja kilka razy zajrzałam do tamtej sali. Było to takie miejsce, że nawet osoby spoza grupy mogły w nim swobodnie przesiadywać. Było tam ciepło, pachniało terpentyną, dawało się też wyczuć zapach papierosów.

– I jak? Świetna jest, prawda? – powiedziała koleżanka, a ja mruknęłam potakująco. Ale tak prawdę mówiąc, nie podobały mi się te „ręcznie robione kubki z ceramiki Mashiko”. Co do jej sposobu bycia, nie mogłam powiedzieć, że jest pociągający albo nie; w każdym razie „kubki z ceramiki Mashiko” były problemem. Choć z drugiej strony nie jest tak, że do samej tej ceramiki czuję niechęć.

²¹ *Mashiko-yaki*, ceramika wytwarzana w miejscowości Mashiko w prefekturze Tochigi; jej początki sięgają schyłku okresu Edo (1600-1868), kiedy to w Mashiko powstały pierwsze piece do wypalania.

W pierwszej klasie liceum miałam zajęcia ze sztuki z panią Ishino i potem już nic. Pamiętam, że rysowałam węglem projekt figurki gipsowej i malowałam martwą naturę akwarelami. Oceny miałam poniżej średniej. W czasach, kiedy tam się uczyłam, pani Ishino wyszła za mąż za nauczyciela, który prowadził zajęcia z nauki o społeczeństwie w naszej szkole. Teraz powinna mieć około pięćdziesięciu pięciu lat.

– To zawiadomienie o hanami, czyli święcie oglądania kwiatów wiśni – powiedział Sensei po chwili.

– Aha. Hanami?

– Tak jak zawsze. Jest organizowane co roku na nasypie przed szkołą, na kilka dni przed początkiem zajęć.

Sensei zapytał, co ja na to coroczne hanami.

– Aha. To może być przyjemne – powiedziałam, ale mój ton temu przeczył. Sensei jednak nie zwrócił uwagi na to, jakim tonem mówię, tylko wpatrywał się w pocztówkę.

– Pani Ishino jak zawsze ładnie pisze – zauważył.

Po czym powoli rozpiął suwak w teczce i wsunął pocztówkę do jednej z kieszonek. Słuchałam bezmyślnie, jak ponownie trzeszczy suwak, gdy Sensei zamyka teczkę.

– To będzie siódmego kwietnia. Proszę nie zapomnieć – przypomniał jeszcze, machając do mnie ręką na przystanku autobusu.

– Tak, postaram się pamiętać – odpowiedziałam, jakbym znów była jego uczennicą. Trochę na odczepnego, trochę smutno, a trochę jak dziecko.

Chociaż tyle razy to słyszałam, nie mogę się przyzwyczaić do nazywania go *sensei* Matsumoto. To o Senseiu. A dokładniej, *sensei* Matsumoto Harutsuna. Wygląda na to, że nauczyciele mówią do siebie *sensei*. *Sensei* Matsumoto. *Sensei* Kyōgoku. *Sensei* Honda. *Sensei* Nishikawara. *Sensei* Ishino. I inni.

Zapraszają mnie, a ja wcale nie mam ochoty wybrać się na to oglądanie kwiatów. Myślałam, czyby się nie wykręcić, na przykład tłumacząc się tym, że jestem teraz bardzo zajęta w pracy. Tymczasem w dniu hanami Sensei przyszedł po mnie aż do budynku, w którym mieszkałam. To było zupełnie niepodobne do niego. Ale nawet ten niepodobny do siebie samego Sensei trzymał w ręce teczkę, miał na sobie płaszcz wiosenny i stał sztywno wyprostowany.

– Czy masz coś do położenia na ziemi, Tsukiko? – zagaduje, czekając na dole.

Sensei nawet nie spróbował wejść na moje pierwsze piętro. Kiedy tak patrzyłam, jak stoi uśmiechnięty, z tą wiarą we mnie wypisaną na twarzy, naraz poczułam, że nie mam już żadnych wymówek. Wcisnęłam więc na siłę sztywną plastikową płachtę do torby, ubrałam się pospiesznie w co mi tam wpadło w rękę, wbiłam nogi w buty sportowe, których nie czyściłam od wyjazdu na grzyby, i z łomotem zbiegłam po schodach.

Na nasypie impreza trwała w najlepszej. Obecni nauczyciele, nauczyciele, którzy już odeszli z pracy, do tego iluś absolwentów. Na całym nasypie rozłożyli płachty, ustawili półtoralitrowe butle sake i mniejsze butelki piwa, rozłożyli przyniesione potrawy; zewsząd rozlegał się śmiech. Trudno było określić, gdzie jest środek tego zgromadzenia. Nawet po tym, jak już rozłożyliśmy płachtę i przywitaliśmy się z sąsiadami, pojawiali się coraz to nowi ludzie i rozkładali przyniesione przez siebie płachty do siedzenia na trawie. Przybywało ich jak liści na drzewie, gdy już zaczęło wypuszczać pąki.

A tymczasem między Senseia a mnie wsunął się jakiś starszy *sensei* Settsu, a potem między nim a mną siadła młoda nauczycielka – *sensei* Makida, obok niej zjawili się pan Shibasaki, kolega Onda i pani Utayama, i wkrótce przestałam się już w tym wszystkim orientować.

Nawet nie zauważyłam, kiedy Sensei usiadł obok pani Ishino i we dwoje zaczęły wesoło popijać sake. W rękach trzymali szaszłyki z kurczaka z sosem, które ktoś przyniósł z restauracji w pasażu handlowym. No proszę, Sensei, który zawsze je szaszłyki z kurczaka tylko i wyłącznie z solą, tutaj potrafi się doskonale dostosować do okoliczności, myślałam krytycznie, sącząc samotnie moją sake na uboczu.

Ziemia w szkolnym ogrodzie widziana z wysokości nasypu połyskuje, odbijając promienie słoneczne. Tuż przed rozpoczęciem nowego semestru w szkole jest cicho jak w lesie.

I zabudowania, i ogród nic się nie zmieniły od czasu, kiedy ja po nich chodziłam. Tyle tylko że drzewa wiśni posadzone dookoła budynków znacznie się wydłużyły.

– Ōmachi, a ty jeszcze nie wyszłaś za mąż? – zapytał ktoś zniecierpliwiony, więc podniosłam głowę. Nie zauważyłam, kiedy koło mnie pojawił się ten mężczyzna w średnim wieku. Spoglądając na moją podniesioną twarz, łyknął sake z papierowego kubka.

– Siedemnaście razy wyszłam za mąż, siedemnaście razy się rozwiodłam i teraz znów jestem sama – odpowiedziałam szybko. Znam tę twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć, kto to jest. Mężczyzna przez chwilę siedział zaskoczony, aż wreszcie zachichotał.

– A to rzeczywiście niezwykle życie.

– Ależ wcale nie.

W twarzy chichoczącego mężczyzny zaczęłam dostrzegać cień chłopca z czasów licealnych. Ach, rzeczywiście, z całą pewnością byliśmy w jednej klasie. Ta charakterystyczna różnica w wyglądzie twarzy, kiedy milczy i kiedy się śmieje. Jak też on się nazywał; czuję, że mam to niemal na czubku języka, jednak nie mogę sobie przypomnieć.

– A ja tylko raz wziąłem ślub i tylko raz się rozwiódłem – powiedział mężczyzna ze śmiechem.

Ja też sięgnęłam po mój kubek i wypiałam prawie połowę sake. Na powierzchni alkoholu unosił się jeden płatek kwiatu wiśni.

– No to oboje nie mieliśmy lekko.

Nawet kiedy się śmiał, w jego twarzy widać było jakieś ciepło. Wreszcie przypomniałam sobie jego nazwisko: Kojima Takashi, tak się nazywał. W liceum chodziliśmy do tej samej klasy, przez pierwszy i drugi rok. Nasze nazwiska były raczej wysoko na liście obecności, kiedy więc na początku roku przydzielano miejsca do siedzenia według listy, zawsze wypadaliśmy blisko siebie.

– Przepraszam, to był głupi żart.

Przeprosiłam go, ale Kojima Takashi tylko pokręcił głową i znów się roześmiał.

– Ty to zawsze taka byłaś, Ōmachi.

– O.

– Ten typ, co to z poważną twarzą mówi jakieś niestworzone rzeczy.

O, rzeczywiście? Zdawało mi się, że nie byłam z tych, co to opowiadają kawały czy rzucają dowcipne uwagi. Myślałam, że byłam raczej typem, co to w czasie przerw zaszywa się w kącie szkolnego ogrodu i co najwyżej odrzuca kolegom zabłąkaną piłkę.

– Kojima, a ty co teraz porabiasz?

– Pracuję w firmie. A ty?

– W biurze.

– Ach tak?

– Tak.

Powiewa lekki wiaterek. Płatki kwiatów wiśni jeszcze nie zaczęły na dobre opadać, ale co jakiś czas dolatywały do nas a to jeden, a to dwa, niesione wiatrem.

– Wiesz, ożeniłem się z Ayuko – powiedział znienacka Kojima po dłuższej chwili.

– Aha.

Ayuko to była ta dziewczyna, która mówiła, że chce być jak pani Ishino i zaprowadziła mnie do sali kółka artystycznego. Może rzeczywiście była trochę do niej podobna. Drobna, pełna energii, jednak czasem można było dostrzec w niej też pewną uległość. Chyba nie była tego świadoma. I ta odrobina uległości przyciągała do niej wielu chłopców. Często dostawała listy miłosne albo była „wywoływana” z klasy. Tymczasem ona nie reagowała na żadne z tych zaczepek. Przynajmniej na pozór. Chodziły plotki, że Ayuko umawia się ze studentami czy nawet dorosłymi mężczyznami, ale gdy wracaliśmy razem ze szkoły i patrzyłam, jak idąca obok mnie Ayuko liże lody, nie dostrzegałam w niej niczego, co by o tym świadczyło.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Prawie nikomu nie daliśmy znać.

W czasie studiów zawarli z Ayuko „studenckie małżeństwo”, ale po trzech latach się rozstali.

– To dość wczesny wiek na małżeństwo.

– Bo Ayuko nie zgadzała się, żebyśmy po prostu zamieszkali razem, musiał być ślub.

Kojima Takashi powtarzał rok na studiach, dlatego to Ayuko pierwsza zaczęła pracować. Miała romans ze swoim przełożonym w firmie i po licznych komplikacjach zapadła decyzja o rozwodzie, opowiadał sucho Kojima.

Przypomniałam sobie, że i ja raz się z nim kiedyś umówiłam. Tak, to na pewno było w ostatnim trymestrze drugiej klasy liceum. Byliśmy w kinie. Umówiliśmy się na spotkanie w księgarni, stamtąd do kina doszliśmy pieszo i mieliśmy bilety z przedsprzedaży, które on przyniósł. Powiedziałam, że mu zwrócę, ale on odpowiedział, że nie trzeba, bo te bilety dostał od starszego brata.

Chyba dopiero następnego dnia zorientowałam się, że on przecież nie ma starszego brata.

Później spacerowaliśmy po parku i rozmawialiśmy o filmie. On był pod wielkim wrażeniem zastosowanych trików, ja – pod wielkim wrażeniem przeróżnych nakryć głowy, które nosiła bohaterka. Natrafiliśmy na stragan, w którym sprzedawali naleśniki, i Kojima Takashi zapytał mnie, czy zjem. Nie, dziękuję, odpowiedziałam, wtedy on uśmiechnął się półgębkiem i powiedział: „Całe szczęście, bo ja nie lubię słodczy”.

Zjedliśmy hot dogi i smażony makaron gryczany, popiliśmy kolą.

O tym, że w rzeczywistości lubi słodczy, dowiedziałam się, dopiero gdy skończyliśmy szkołę średnią.

– Ayuko ma się dobrze? – zapytałam. Kojima Takashi przytaknął.

– Wzięła ślub z tym przełożonym i zdaje się, że mieszka w dwupiętrowym domu z drewnianych belek typu dwa na cztery.

– Dwa na cztery – mówię.

– A tak, belki, dwa na cztery – odpowiedział Kojima Takashi. Wiał dość silny wiatr i płatki kwiatów osypywały się nam na głowy.

– A ty nie wychodzisz za męża, Ōmachi? – spytał.

– Zgadza się, i na drewnianych belkach dwa na cztery też się nie znam – odpowiedziałam.

Roześmiał się. Wypiliśmy naszą sake z papierowych kubków razem z płatkami wiśni, które do nich wpadły.

– Tsukiko, podejdź, proszę – zawołał Sensei. Widzę, że pani Ishino też zapraszająco macha do mnie ręką. W głosie Senseia wyczułam trudne do opisanego ożywienie. Pograżona w rozmowie z Kojimą udałam, że nie dosłyszałam ich głosów. Nawet kiedy i on zwrócił mi uwagę: – Wołają cię, Ōmachi – odpowiedziałam tylko niezobowiązującym mruknięciem. Policzki Kojimy Takashiego są czerwone.

– Ja tam nigdy nie przepadałam za panem Matsumoto – powiedział cicho. I spytał: – A ty, Ōmachi?

Odpowiedziałam, że za bardzo nie pamiętam, a on kiwnął głową.

– Ty to zawsze byłaś trochę rozkojarzona, Ōmachi. Ten typ, co to duchem jest zawsze gdzie indziej.

Sensei i pani Ishino znowu zamachali na mnie rękami. Właśnie w tej samej chwili byłam zwrócona do nich, bo poprawiałam sobie rozrzucone przez wiatr włosy. Nasze oczy się spotkały, Senseia i moje.

– Tsukiko, usiądźmy tutaj razem – powiedział Sensei głośno. To był taki głos, jaki zawsze słyszałam w czasie lekcji w liceum. Jakże inny od tego głosu, który poznałam, gdy Sensei i ja zaczęliśmy siadywać obok siebie i razem pić sake. Szybko odwróciłam się do niego plecami.

– Ja to wtedy trochę podziwiałem panią Ishino – powiedział Kojima Takashi wesoło. Jego policzki pokryły się jeszcze głębszą czerwień niż przedtem.

– Pani Ishino cieszyła się dużą popularnością – odparłam, starając się, żeby zabrzmiało to dość obojętnie.

– Ayuko chyba bardzo do niej wzdychała.

– Tak.

– I dlatego ja też jakoś tak zacząłem patrzeć na nią tak samo.

Zaczął patrzeć tak jak Ayuko, to było bardzo w jego stylu.

Dolałam mu sake do kubka. Kojima lekko westchnął i wypił tylko mały łyk.

– Pani Ishino jest wciąż tak samo ładna.

– Rzeczywiście – odpowiedziałam, cały czas upominając samą siebie, że muszę to mówić beznamiętnie.

– Nie do wiary, że już ma ponad pięćdziesiąt lat.

– Rzeczywiście. – Beznamiętnie. Uważać, cały czas beznamiętnie.

Sensei najwyraźniej dobrze się bawi, rozmawiając z panią Ishino. Na pewno tak jest, myślę. Jest do mnie odwrócony plecami, więc dobrze nie widzę. Przestali już wołać mnie po imieniu. Słońce zaczyna się chylić ku zachodowi. Zapalono kilka lampionów. Biesiada pod kwiatami wiśni stawała się coraz bardziej ożywiona, tu i ówdzie słychać już było pierwsze piosenki.

– Wiesz co, Ōmachi, może wymknijmy się stąd i pójdziemy gdzie indziej napić się czegoś? – spytał Kojima Takashi.

Siedzący obok trochę starsi od nas absolwenci zaczęli śpiewać: „Na tej górze gonilem zające...”.

– Zastanawiam się – odpowiedziałam cicho.

„A w tej rzeczce łapałem karasie...”, rozległo się koło nas, a słowa „w tej rzeczce” jedna z kobiet zaśpiewała z takim *vibrato*, że Kojima, mówiąc: – Co? Nie dosłyszałem – zbliżył swoją twarz do mojej.

– Zastanawiam się – powtórzyłam, tym razem głośniej.

Kojima ze śmiechem odsunął się ode mnie.

– Przypomina mi się, że ty to zawsze mówiłaś: „Zastanawiam się” albo „Sama nie wiem”.

– O, naprawdę? – mówię.

– A przy tym potrafiłaś to mówić z przekonaniem. Byłaś taką osobą, która waha się z przekonaniem, Ōmachi – ciągnął Kojima z wyraźnym zadowoleniem.

– To co, pójdziemy? – powiedziałam powoli.

– Wymknijmy się stąd. I napijmy się.

Słońce już zaszło, a absolwenci koło nas doszli do końca trzeciej zwrotki piosenki o rodzinnych stronach. Kiedy gwar chwilami cichł, do moich uszu dochodziły urywki rozmowy Senseia i pani Ishino. Głos Senseia brzmiał trochę bardziej wytwornie, niż kiedy rozmawia ze mną. Z tego co mówi pani Ishino swoim znajomym, lekko zachrypłym głosem, docierają do mnie tylko końcówki albo słowa w rodzaju „właśnie” czy „prawda”.

– Chodźmy – powiedziałam, wstając. Kojima Takashi siedział nieruchomo i patrzył, jak otrzepuję piasek z płachty i składam ją niestarannie.

– Nie jesteś zbyt porządnicka, co? – rzucił.

– Nie jestem – odpowiedziałam i wtedy znów się roześmiał. To był ciepły śmiech. Spróbowałam dojrzeć Senseia w tej ciemności, ale nie udało mi się.

– Daj mi to – powiedział Kojima. Wyjął mi płachtę z ręki pieczołowicie ją złożył. Odwróćmy plecami do sceny hanami zaczęliśmy schodzić po schodkach z nasypu, zastanawiając się na głos, dokąd teraz pójdziemy.

Hanami. Część druga

Kojima Takashi zaprowadził mnie do przytulnego baru w suterenie.

– No proszę, nie wiedziałam, że koło szkoły jest takie miejsce – powiedziałam, a on kiwnął głową.

– Oczywiście, w liceum tu nie bywałam – odparł z poważną miną.

Zza baru doleciał nas śmiech. To była kobieta, barmanka. Miała gładko przylizane czarne włosy z widocznymi wśród nich nielicznymi siwymi, dobrze uprasowaną koszulę i czarny fartuch kelnerski.

– Od ilu lat pan już tu przychodzi, Kojima? – zapytała, stawiając przed nami miseczkę z fasolką na zakąskę. Kojima Takashi przedstawił ją jako panią Maedę, właścicielkę baru. Miała niski, miękki głos.

– Często przychodziliśmy tu z Ayuko.

– Tak, tak było.

Kojima z tą kobietą muszą być już chyba starymi znajomymi. Skoro przychodził tutaj z Ayuko, czyli z pewnością w czasach, kiedy jeszcze się nie rozstali, oznacza to, że odwiedza ten bar od jakichś dwudziestu lat.

– Nie jesteś głodna, Ōmachi? – zapytał, odwracając się do mnie.
– Trochę zgłodniałam – odparłam, na co Kojima przyznał, że on też.
– Jedzenie jest tutaj naprawdę dobre, mówię ci – dodał, odbierając od pani Maedy menu.

Powiedziałam, że zdaję się na niego, a on pogrążył się w czytaniu karty, po czym złożył zamówienie, pokazując każdą potrawę palcem w menu. Omlet z serem. Sałata. Wędzone ostrygi. Z pełnej butelki, którą przed chwilą pani Maeda otworzyła dla nas ostrożnie, nalał czerwonego wina do kieliszków.

– Na zdrowie – powiedział, a ja powtórzyłam za nim.

Wspomnienie Senseia przez chwilę uwierało mnie gdzieś w kąciку głowy, ale zaraz usunęłam je z pamięci. Kieliszki lekko brzęknęły. Wino było przyjemne, w sam raz ciężkie i miało przytłumiony aromat.

– To jest dobre wino – mówię.

Kojima Takashi zwrócił się do pani Maedy:

– Tak mówi.

Barmanka lekko skłoniła głowę w podziękowaniu.

– Ależ to ja dziękuję! – Pospiesznie ukloniłam się tak samo jak ona, a wtedy oboje się roześmiali.

– Ty to się naprawdę nic nie zmieniłaś, Ōmachi – powiedział Kojima Takashi. Kolistym ruchem lekko zakołysał kieliszkiem i wypił łyk. Pani Maeda otworzyła srebrzystą lodówkę, wmontowaną pod ladą i zaczęła przygotowywać zamówione potrawy. Zastanawiałam się, czy zapytać go, co porabia Ayuko albo czym on się zajmuje w firmie, ale w końcu zrezygnowałam, bo tak naprawdę wcale mi nie zależało, żeby się tego dowiedzieć. Kojima Takashi lekko kołysał kieliszkiem.

– Na świecie jest wielu ludzi, którzy sobie tak właśnie kręcą kieliszkami. Zawsze kiedy na nich patrzę, też czuję się zawstydzony.

Patrzyłam w skupieniu na dłoń, którą Kojima cały czas wykonywał koliste ruchy. On zaś powędrował spojrzeniem za moim wzrokiem i wtedy właśnie to powiedział.

– Ja... ja wcale nic takiego nie myślę – zaczęłam, ale w rzeczywistości ta myśl nie była mi całkowicie obca.

– Wiesz, Ōmachi, pomyśl sobie, że dałaś się oszukać, i sama spróbuj tak zakręcić kieliszkiem – zaproponował, zaglądając mi w oczy.

– W ten sposób? – Spróbowałam zakołysać winem w kieliszku.

Poczułam aromat wina. Wypiłam łyk i teraz smak był już odrobinę inny. To był smak, który nie odpycha. Może powinnam powiedzieć inaczej, że był to taki smak, który wychodzi naprzeciw i zachęca.

– Zmieniło się – powiedziałam, otwierając szeroko oczy, a Kojima wyraziście przytaknął.

– Dlatego właśnie pozwoliłem sobie...

Czułam, że znalazłam się w zadziwiającym punkcie czasu: w barze, w którym jestem po raz pierwszy w życiu, siedząc obok Kojimy Takashiego, kołyszę kieliszkiem wina i jem apetycznie pachnące wędzone ostrygi. Myśl o Senseiu co jakiś czas pojawiała się w mojej głowie, ale za każdym razem znikła zaraz bez śladu. Nie miałam wrażenia, że wróciłam do czasów liceum, więc może powinnam czuć, że jestem tu i teraz, ale i to nie. Siedziałam, kiwając się, na wysokim stołku w barze Maeda. Chyba wkroczyłam w sam środek czasu, jakiego nie ma nigdzie indziej. Omlet z serem był lekki i ciepły, smak sałaty dobrze podkreślony ostrą papryczką. Bez pośpiechu wypiliśmy jedną butelkę wina, po czym on zamówił koktajl na wódce, ja koktajl na dżinie i naraz okazało się, że jest już dużo później, niż się nam zdawało. Ledwo chwilę wcześniej myślałam, że dopiero się zmierzcha, a tymczasem już minęła dziesiąta.

– Idziemy? – zapytał Kojima, który od jakiegoś czasu mówił coraz mniej.

– To może wyjdźmy – odpowiedziałam bez namysłu.

Kojima Takashi opowiedział mi trochę o okolicznościach, w jakich rozstali się z Ayuko, ale nie pamiętałam tego dokładnie. Powietrze w barze nie było już tak suche jak zaraz po otwarciu: teraz wypełniało go gęstniejące i wonne powietrze zapadającej nocy. Nawet nie zauważyłam, kiedy za ladą pojawił się barman, młody chłopak, a w barze zapanowała lekka wrzawa, która doskonale pasowała do mojego nastroju. Kojima musiał chyba uregulować rachunek, ale tego też nie zauważyłam. Powiedziałam cicho, że oddam mu połowę, ale on tylko potrząsnął miękko głową i odpowiedział jakby znudzonym głosem, że nie trzeba.

Pod rękę powoli wyszliśmy po schodach z sutereny, w której znajdował się bar.

Księżyc unosił się wysoko na niebie.

– Księżyc, jak w twoim imieniu, Tsukiko²² – odezwał się Kojima Takashi, unosząc twarz. Sensei nigdy nie posłużyłby się takim frazesem. Sama poczułam się zaskoczona tym, że w tej chwili pomyślałam o nim.

Kiedy byliśmy w barze, przypominał mi się jak przez mgłę, w oddali. Naraz ręka, którą Kojima Takashi położył na moim biodrze, wydała mi się dziwnie ciężka.

– Całkiem okrągły jest dzisiaj, prawda? – powiedziałam i odsunęłam się, starając się, żeby wyglądało to naturalnie.

– Tak, całkiem okrągły jest dzisiaj – zgodził się Kojima.

Nie próbował mnie zatrzymać. Spoglądał na księżyc i chyba też błędził myślami gdzie indziej. Wyglądał na bardziej znudzonego, niż gdy byliśmy w barze.

– Co się stało? – zapytałam, a wtedy zwrócił twarz w moją stronę.

– Jak to, co się stało.

– Zmęczyłeś się?

– To już chyba taki wiek – odpowiedział.

²² Imię Tsukiko jest zapisywane dwoma znakami, z których pierwszy, *tsuki*, znaczy „księżyc”, drugi zaś, *ko*, o znaczeniu „dziecko”, jest częstym elementem imion kobiecych.

- Nie, co ty mówisz.
- Mówię, jak jest.
- No mówię ci, że nie.

Aż dziwne, że się zaczęłam tak upierać. Chichocząc pod nosem, Kojima Takashi złożył ukłon przede mną.

– Najmocniej przepraszam. Przecież ja jestem z tego samego roku, co ty.

- Nie o to chodzi.

Znów pomyślałam o Senseiu. On ani razu nie powiedział o sobie, że jest „w takim wieku” czy coś podobnego. Może dlatego, że kiedy ktoś ma tyle lat co on, nie mówi już z łatwością o wieku, a może taki to charakter? Tutaj, na tej drodze, na której teraz stoję, jestem bardzo daleko od niego. Z całą mocą odczułam teraz odległość między Senseiem a mną. Taką odległość, która nie wynika z przeżytych lat ani też z punktu, w którym się znalazłam, ale z całą pewnością istnieje między nami.

Kojima Takashi znów spróbował położyć rękę na moim biodrze. A raczej nie tyle położyć, ile objąć mnie, ale tak, że ręka zawisła w powietrzu nad moimi biodrami, chyba tak to można opisać. To był naprawdę zadziwiający przykład obejmowania kobiety: taki, że nie było powodu, żeby odsunąć jego rękę, ale też nie mogłam udawać, że jej tam nie ma. Kiedy on opanował takie sztuczki?!

Gdy tak mnie obejmował, czułam się jak lalka, którą on porusza. Kojima przechodzi przez jezdnię i kieruje się w coraz ciemniejsze okolice. A ja idę za nim. Przed nami wylania się szkoła. Widzę, że brama wejściowa jest zamknięta. W świetle latarni budynek szkoły wydał mi się ogromny. Kojima Takashi od razu ruszył ścieżką, która prowadziła na szczyt nasypu. Szłam za nim.

Przyjęcie pod wiśniami już się skończyło. Dookoła ni żywej duszy, nawet kota. Kiedy się wymykaliśmy, wszędzie wałały się patyczki od szaszłyków, butelki po alkoholu i opakowania po wędzonych kalmarach, na płachtach ciasno obok siebie siedzieli ludzie, a teraz na nasypie nic już z tego nie pozostało. Śmieci i puste butelki uprzątnięto, a powierzchnia ziemi była wyrównana, jakby ktoś zamiótł ją miotłą z bambusowych gałązek. Również kosze na śmieci na nasypie zostały opróżnione. Zupełnie jakby dzisiejsze ucztowanie pod drzewami wiśni było jakąś fatamorganą.

– Już nic nie ma – powiedziałam.

– Można się było tego spodziewać – odparł Kojima Takashi.

– Spodziewać się?

– Nauczyciele to taka rasa, że do upadłego będą bronić porządku publicznego, nie?

Okazuje się, że Kojima Takashi kilka lat wcześniej też przyszedł na hanami nauczycieli, organizowane tuż przed rozpoczęciem semestru. Ponieważ został do końca, widział wielkie sprzątanie, przeprowadzone przez nauczycieli, gdy ucztowanie się skończyło. Jedni zbierali papierki i śmieci i wkładali je do przygotowanych zawczasu foliowych worków, inni zgromadzili puste butelki w jednym miejscu i następnie załadowali je na pakę furgonetki z zaprzyjaźnionego sklepu monopolowego, która podjechała na sam koniec zabawy (z pewnością wcześniej zamówili ją właśnie na tę godzinę, ocenił Kojima Takashi). Niektórzy inni sprawiedliwie rozdzielali butelki, w których jeszcze coś zostało, między nauczycieli lubiących alkohol. Inni znów wyrównywali zrytą ziemię grabiami ze szkolnego ogrodu. Jeszcze inni zbierali rzeczy zapomniane przez uczestników i wrzucali je do pudeł. Wszystkie te czynności wykonywali sprawnie niczym doskonale wyszkolony oddział. Po piętnastu minutach nie było już nawet śladu po gwarnym hanami.

– Tak mnie to zaskoczyło, że stałem jak słup soli i tylko patrzyłem.

Przez chwilę spacerowaliśmy we dwoje po ziemi, na której jeszcze godzinę wcześniej tylu ludzi uczowało pod kwiatami wiśni. Księżyc świecił jasno. W jego blasku kwiaty wydawały się białe jak śnieg. Kojima poprowadził mnie do zakątka, w którym stała ławka. I podobnie jak przed chwilą, delikatnie objął mnie ręką.

– Chyba się trochę wstawiłem – powiedział.

Jego policzki znów były czerwone. Ale to tylko tyle, z jego zachowania zupełnie nie można było poznać, że jest podпиты.

– Wciąż jeszcze jest zimno, prawda? – powiedziałam, żeby trochę zapęłnić ciszę.

Co ja w ogóle robię w takim miejscu? I gdzie Sensei się podział? Może pobierał energicznie torebki po wędzonych kalmarach czy patyczki po kupionych w pasażu handlowym szaszłykach, pomógł wygładzić ziemię i poszedł dokądś z panią Ishino?

– Zimno? – Kojima Takashi zdjął marynarkę i zarzucił mi na ramiona.

– Nie to miałam na myśli – odpowiedziałam odruchowo.

– Co to znaczy: „nie to miałam na myśli”? – Zaśmiał się.

Przejrzał moje poruszenie. Ale nie było to nieprzyjemne – było trochę tak jak wtedy, kiedy rodzice odkrywają coś, co dziecko przed nimi ukrywa.

Siedzieliśmy oparci o ławkę. Jego marynarka była przyjemnie ciepła. Przesiąknięta ledwo wyczuwalną wonią wody kolońskiej. Kojima uśmiechnął się. Oboje patrzyliśmy w tę samą stronę, ale wyczułam, że się uśmiecha.

– Śmiesz się? – zapytałam, patrząc przed siebie.

– No bo przecież ty jesteś cały czas taka sama, Ōmachi.

– Taka sama?

– Zupełnie taka jak w liceum.

– Jesteś twarda – powiedział. Bardzo delikatnie powiedział. A potem mocno objął moje ramiona swoim i przytulił mnie do siebie. Czy ja rzeczywiście taka jestem? – pomyślałam. I jeszcze, czy dalej będzie mnie tak przytulał? Moja głowa mówiła, że to trochę dziwne. Ale moje ciało przysuwało się coraz bardziej do niego.

– Zimno, chodźmy gdzieś, gdzie będzie cieplej – szepnęła Kojima.

– Czy tak? – spróbowałam powiedzieć na głos.

– Co? – zapytał Kojima.

– Tak to wszystko się szybko potoczy? □ Lekko podniósł się z ławki, nie odpowiadając na moje pytanie. Po prostu sięgnął dłonią do mojego podbródka, uniósł moją głowę i pocałował.

Nastąpiło to tak szybko, że nie zdążyłam zaprotestować. Niedobrze, pomyślałam. Zabrakło mi czujności, ale nie było to nieprzyjemne. Nie było nieprzyjemne, ale też i nie ucieszyło mnie. Raczej zrobiło mi się trochę smutno.

– Czy tak? – powtórzyłam.

– Tak, właśnie tak. – Tym razem Kojima odpowiedział mi i dałoby się w tym dostrzec jakąś pewność siebie.

Ja jednak czułam, że tak naprawdę wcale mu o to nie chodzi. Kojima pochylił się i zbliżył twarz do mojej.

– Przestań – powiedziałam tak wyraźnie, jak tylko umiałam.

– Nie przestanę – odpowiedział równie wyraźnie.

– Przecież wcale nie jest tak, że mnie bardzo lubisz.

Kojima pokręcił głową.

– Ja od dawna cię lubię. Próbowałem się z tobą umówić, to chyba dowód. Tylko że nie poszło mi zbyt dobrze. – Na jego twarzy malowała się powaga, kiedy to mówił.

– I co, przez ten cały czas mnie lubiłeś? – zapytałam, a on zaśmiał się cicho.

– No wiesz, w życiu niekoniecznie musi się układać.

Spojrzał przelotnie na niebo. Księżyc tylko odrobinę przesłaniała delikatna mgiełka.

Sensei, pomyślałam. A potem pomyślałam o Kojimie.

– Dziękuję ci za dzisiejszy dzień – powiedziałam, patrząc na zarys jego podbródka.

– Co?

– To była piękna noc.

Jego szyja pod podbródkiem była dużo grubsza niż wtedy, w czasach liceum. To te wszystkie minione lata. Ale ta grubość nie robiła odpychającego wrażenia. Podobała mi się. I jednocześnie przypominałam sobie twarz Senseia. Z pewnością kiedy miał tyle lat co ja czy Kojima Takashi, też musiał mieć szyję podobnej grubości. Tylko że u niego te dalsze, nakładające się lata sporo już z niej usunęły.

Kojima Takashi patrzy na mnie lekko zdziwiony. Księżyc świeci. Jego blask jest silny mimo tej mgiełki, jaką jest otoczony.

– Nie da się? – spytał, wzdychając sztucznie, Kojima.

– Wygląda na to, że się nie da.

– Szkoda. Ja to jednak jestem kiepski w umawianiu się z kobietami – zauważył ze śmiechem.

Ja też się roześmiałam.

– Nie jesteś kiepski. I nauczyłeś mnie kołysać kieliszkiem z winem.

– To cię zniechęciło, prawda? Na pewno!

Księżyc oświetlał postać Kojimy. Przyglądałam mu się uważnie.

– Jestem fajnym facetem? – zapytał.

– Jesteś fajnym facetem, naprawdę – odpowiedziałam z przekonaniem.

Kojima pociągnął mnie do góry za rękę tak, że wstałam.

– Ale chociaż jestem fajnym facetem, i tak się nie da?

– To przeze mnie, ja jestem ciągle licealistką.

– Przecież nie jesteś nikim takim – powiedziała i wyduła usta. Wyglądał przy tym, jakby sam jeszcze był w liceum. Jak nastolatek, który nic nie wie o kołysaniu kieliszkiem z winem.

Trzymając się za ręce, szliśmy po nasypie. Nasze złożone dłonie były ciepłe. Księżyc zdawał się rozrzucać płatki kwiatów. Gdzie teraz może być Sensei?

– Ja to nie przepadałam za panią Ishino – odezwałam się.

– Tak? A ja, tak jak mówiłem ci przedtem, bardzo ją lubiłem.

– Ty to chyba raczej nie przepadałeś za senseiem Matsumoto.

– O, właśnie. Robił wrażenie upartego, nie miał ni krztyny elastyczności, prawda?

Oboje coraz bardziej czuliśmy się, jakbyśmy wrócili do czasów licealnych. W świetle księżyca ogród przyszkolny wydawał się zupełnie biały. Gdybyśmy tak szli i szli nasypem, może czas by się cofnął, jak przewinięta taśma.

Doszliśmy do końca nasypu, zawróciliśmy do początku, a potem zrobiliśmy jeszcze jedno kółko. I przez cały ten czas trzymaliśmy się mocno za ręce.

– Może wracajmy? – zaproponowałam, kiedy sama nie wiem już który raz dotarliśmy do początku nasypu. Kojima milczał przez chwilę, wreszcie płynnym ruchem puścił moją dłoń.

– Wracajmy – odpowiedział cicho.

Idąc obok siebie, zeszlśmy z nasypu. Zbliżała się północ. Księżyc dotarł do szczytu swojej wędrówki po niebie.

– Myślałem, że może będziemy tak chodzić aż do świtu – wymamrotał Kojima Takashi. Nie mówił tego do mnie, brzmiało to raczej tak, jakby było skierowane do nieba nad nami.

Ja też trochę tak się czułam – powiedziałam.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. A następnie bez słowa przeszliśmy przez jezdnię. Kojima Takashi zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i zaproponował, żebym wsiadła.

– Gdybym pojechał z tobą, żeby cię odwiedzić, znów pewnie przyszłyby mi do głowy różne rzeczy – powiedział i uśmiechnął się.

– Pewnie tak – zgodziłam się. W tej samej chwili drzwi taksówki zamknęły się z trzaskiem i ruszyła.

Przez tylną szybę odprowadziłam wzrokiem jego sylwetkę. Stawała się coraz mniejsza, potem zupełnie zniknęła.

– A może nie byłoby źle, gdyby jednak przyszły mu do głowy różne rzeczy – wyszeptalam do siebie na tylnym siedzeniu taksówki. Ale dobrze wiedziałam, że potem miałabym problem. Ciekawe, czy Sensei jest sam w barze pana Satoru? Może je szaszłyk z kurczaka, z solą. A może razem z panią Ishino czekają grzecznie w kolejce do straganu z odenem czy czymś podobnym.

Wszystko wydawało się tak odległe. I Sensei, i Kojima Takashi, i księżyc – wszystko było daleko. Wpatrywałam się w widok przesuwający się za oknem. Taksówka przy szumie owiewającego ją wiatru pędziła przez uśpione miasto.

– Sensei – powiedziałam na głos. Dźwięk wypowiedzanego słowa zniknął w hałasie silnika. Za oknem mignęło mi kilka drzew wiśni. Młode i starsze drzewa były w pełni rozkwitu.

– Sensei – powiedziałam jeszcze raz, ale oczywiście mój głos nigdzie nie dotarł. Taksówka ze mną w środku jechała przez nocne miasto.

Lucky Chance

Trzeciego dnia po hanami spotkałam Senseia w barze pana Satoru, ale właśnie uregulowałam już swój rachunek i tylko się przywitaliśmy.

W następnym tygodniu wpadliśmy na siebie w sklepiku z papierosami przed dworcem, tym razem jednak Sensei się spieszył. Kiwnęliśmy sobie głowami i się rozeszliśmy.

I tak minął kwiecień, nastał maj. I drzewa rosnące wzdłuż ulic, i te w mieszanym zagajniku koło mojego domu pokryły się gęsto młodymi listkami. Były i takie dni, że w krótkim rękawie wydawało się za gorąco, i takie, że tęskniłam za *kotatsu*. Kilka razy wybrałam się do baru pana Satoru, ale tylko minęłam się czasem z Senseiem; nie udawało mi się go spotkać.

– Tsukiko, nie brakuje pani randek z Senseiem? – pytał czasem pan Satoru zza baru.

– Ja nigdy nie byłam z nim na randce – odpowiadałam, a wtedy on mówił:

– Ach tak?

Wcale nie chciałam słyszeć tego „ach tak?”. Znudzona dziobałam pałeczkami sashimi z ryby latającej. Pan Satoru patrzył wzrokiem, w którym dawało się odczytać dezaprobatę, jak rozgrzebuje pałeczkami kawałki ryby po talerzyku.

Biedna ryba latająca. Ale to nie z mojej winy. To wszystko przez to, że pan Satoru mówi „ach tak?”.

Przez jakiś czas dziobałam moją porcję ryby. Pan Satoru wrócił do swojej deski kucharskiej, żeby przygotować potrawy zamówione przez gościa z drugiej strony baru. Głowa ryby latającej leży równo ułożona na talerzu. Jej piękne oczy są otwarte. – Hej ho – mruknęłam i chwyciłam pałeczkami rozdziobany kawałek i umoczyłam w sosie sojowym z imbirem. Ryby latające mają trochę szczególny smak i zwarte mięso. Napiałam się schłodzonej sake ze szklaneczki i rozejrzałam się po barze. Na tablicy kredą wypisane jest dzisiejsze menu. Kawałki bonito podpieczone z jednej strony. Ryby latające. Młode ziemniaki. Bób. Gotowana wieprzowina. Sensei z pewnością zamówiłby najpierw bonito i bób.

– A Sensei to ostatnio przyszedł tutaj z jakąś piękną panią, prawda? – powiedział, zwracając się do pana Satoru, gruby mężczyzna, który siedział obok mnie.

Szef uniósł głowę znad deski do krojenia, jednak nie odpowiedział mężczyźnie, tylko zawołał w głąb baru:

– Jeden duży niebieski talerz!

Zza zlewu wyszedł młody chłopak.

– O? – zdziwił się gruby mężczyzna, a Satoru przedstawił:

– Mój nowy pracownik.

Chłopak pochylił głowę w ukłonie.

– Dobry wieczór.

– Trochę podobny do pana – zauważył mężczyzna.

Satoru kiwnął głową.

– To mój bratanek.

Chłopak ukłonił się jeszcze raz.

Pan Satoru zaczął układać sashimi na przyniesionym przez niego dużym talerzu. Gruby mężczyzna jeszcze przez chwilę wpatrywał się w plecy bratanka właściciela baru, a potem skupił się na swojej przekąsce.

Kiedy gruby mężczyzna wyszedł, zaraz po nim jeszcze inni goście też zapłacili i w barze nagle zrobiło się pusto i spokojnie. Z zaplecza dochodził odgłos wody puszczonej przez chłopaka. Pan Satoru wyjął z lodówki mały pojemnik i rozłożył jego zawartość na dwóch talerzykach. Jeden z nich postawił przede mną.

– To przekąska, którą zrobiła moja żona. Jeśli ma pani ochotę, proszę się poczęstować. – Z tymi słowami sam wziął „przekąskę, którą zrobiła żona” z drugiego talerzyka i wrzucił sobie do ust.

To było *konnyaku*. Ugotowane tak, że miało dużo bardziej intensywny smak niż przyrządzane przez pana Satoru, dobrze poprawione ostrą papryką.

– Smaczne – powiedziałam, a wtedy on z poważną miną kiwnął głową i włożył sobie do ust następny kawałek. Po czym włączył radio, które stało na półce. Skończył się baseball i za chwilę miały się zacząć wiadomości. Na razie jedna za drugą leciały reklamy: samochodów, domów towarowych i *chazuke*, zalewanej gorącą wodą posypki do ryżu.

– Czy Sensei ostatnio często tutaj przychodzi? – zapytałam pana Satoru, starając się, żeby zabrzmiało to tak obojętnie, jak tylko możliwe.

– Hm, chyba tak – odpowiedział wymijająco.

– Tamten pan przed chwilą mówił, że przyszedł z jakąś piękną panią.

– Tym razem próbowałam mówić tak, jakbym chciała po prostu poplotkować o jednym ze stałych klientów. Nie wiedziałam jednak, czy udało mi się osiągnąć ten efekt.

– Aa, naprawdę? Nie pamiętam – odpowiedział pan Satoru ze wzrokiem wbitym w deskę.

– Aha – mruknęłam. – Aha, naprawdę?

Po czym oboje umilkliśmy. W radiu reporter przedstawiał swój pogląd na sprawę seryjnych morderstw w jednej z prefektur.

– Co też oni opowiadają – rzucił pan Satoru.

– Świat się kończy – zawtórowałam mu i przez chwilę przysłuchiwaliśmy się wiadomościom. Wreszcie szef powiedział:

– Tysiąc lat temu ludzie też głosili, że zbliża się koniec świata.

Z głębi baru doleciał nas niski śmiech nowego pracownika. Nie wiem, czy śmiał się ze słów swojego stryja, czy z czegoś zupełnie innego, ale jeszcze przez dłuższą chwilę słyszeliśmy, jak chichocze, nie mogąc się powstrzymać.

Poprosiłam o rachunek i pan Satoru podliczył moje zamówienia ołówkiem na kawałku papieru. Żegnana okrzykiem „Dziękujemy!” odchyliłam zasłonę wiszącą w drzwiach, wyszłam na zewnątrz i poczułam na policzkach wieczorny wiatr. Niósł ze sobą zapach wilgotnego, deszczowego powietrza. Samotna kropla spadła mi na głowę. Szybkim krokiem ruszyłam w stronę domu.

Deszcze ciągnęły się przez kilka dni. Młode liście gwałtownie nabierały kolorów i gdy wyglądałam przez okno, wszystko w polu widzenia zdawało się zielone. Przed moim oknem rośnie w jednej kępie parę młodych brzoźownic. Wytrzepane przez deszcz ich liście aż lśniły. We wtorek zadzwonił do mnie Kojima Takashi.

– Może pójdziemy do kina? – zapytał.

– Dobrze – odpowiedziałam, i z drugiej strony usłyszałam westchnięcie. – Co się stało?

– Jakoś tak się zacząłem przejmować. Jakbym wrócił do czasów liceum – wyjaśnił. – Kiedy po raz pierwszy umówiłem się z dziewczyną, rozrysowałem sobie na papierze przebieg rozmowy, jakbym robił wykres.

– A dziś też zrobiłeś sobie taki wykres? – pytam. Kojima Takashi poważnym tonem odpowiedział:

– Nie.

I dodał:

– Ale długo myślałem, czy jednak nie zrobić.

Stało na tym, że umówiliśmy się na niedzielę w Yūrakuchō. Zdaje się, że Kojima Takashi jest tradycjonalistą.

– Może po filmie zjedźmy coś – zaproponował.

To „coś” z pewnością oznaczało restaurację z zachodnim jedzeniem w Ginzy. Taką, w której podają dobre ragoût z ozorem albo kremowe kroiety.

W sobotnie popołudnie wyszłam do miasta, myśląc, że może by tak podciąć włosy przed spotkaniem. Pewnie ze względu na deszcz na ulicach było widać mniej ludzi niż zwykle.

Kręcąc parasolką, szłam przez pasaż handlowy. Ile to już lat mieszkam w tej okolicy? Przedtem też zdarzyło się, że wyprowadziłam się od rodziców i zamieszkałam w innej dzielnicy, ale niczym węgorz powracający w swoje rodzinne strony, nie wiem kiedy i jak wróciłam w tę okolicę, okolicę, w której się urodziłam i wychowałam.

– Tsukiko!

Odwróciłam się. Za mną stał Sensei. Miał na sobie czarne kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy z porządnie zaciśniętym paskiem.

– Dawno się nie widzieliśmy.

– Tak – odpowiedziałam. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Wyszłaś wcześniej z naszego hanami.

– Tak – powiedziałam jeszcze raz. I dodałam cichutko, że potem tam wróciłam.

– A my z panią Ishino udaliśmy się do baru pana Satoru.

Chyba nie usłyszał moich słów o tym, że potem wróciłam na teren hanami.

– Ach tak, udali się tam państwo, to doskonale – powiedziałam ponuro. Dłaczego, kiedy z nim rozmawiam, od razu robię się ponura albo wybucham złością, albo łzy napływają mi do oczu? A przecież nie należę do ludzi, którzy okazują otwarcie swoje uczucia.

– Pani Ishino dobrze się dogaduje z ludźmi. Z panem Satoru też szybko się zaprzyjaźniła.

To raczej pan Satoru szybko się zaprzyjaźnia z ludźmi, bo prowadzi biznes. Tak pomyślałam, ale powstrzymałam się od powiedzenia tego na głos. Brzmiałoby to, jak gdybym odczuwała zazdrość wobec pani Ishino, a przecież wcale tak nie jest. Z całą pewnością tak nie jest.

Sensei ruszył, trzymając prosto nad sobą duży czarny parasol. Chociaż nic nie powiedziałam, w jego krokach czuło się pewność, że podążam za nim. Ja jednak nie ruszyłam za nim, tylko stałam jak słupek soli. Przez chwilę Sensei szedł sam i nie odwracał się.

– Ojej – powiedział beztrząsco, gdy wreszcie się zorientował. – Co się stało, Tsukiko?

– Nic się nie stało, idę teraz do fryzjera – powiedziałam. – Jutro jestem z kimś umówiona – dodałam, choć chyba nie powinnam.

– Umówiona? Z mężczyzną? – zapytał Sensei pełnym ciekawości głosem.

– Tak jest.

– Ach tak?

Podszedł do mnie. Przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

– A z jakim mężczyzną się spotkasz?

– Czy to nie wszystko jedno, z kim?

– Cóż, rzeczywiście.

Sensei przechylił swój wielki parasol. Krople wody zaczęły spływać po jego drutach i kapać. Na ramieniu Senseia pojawiła się plama wilgoci.

– Tsukiko – zaczął niezwykle przejętym głosem, wpatrując się we mnie.

– Co, co takiego?

– Tsukiko – powtórzył.

– Tak?

– Chodźmy do pachinko.

Napięcie w jego głosie stawało się coraz bardziej wyczuwalne. Zapytałam, czy teraz, a on przytaknął z powagą.

– Od razu, chodźmy tam od razu.

Jego głos brzmiał tak, jakby świat miał się zawalić, gdybyśmy nie poszli. Poczulałam się pokonana i odpowiedziałam:

– Tak.

– Skoro tak, to chodźmy od razu. Do tego salonu pachinko.

W ślad za Senseiem weszłam w jedną z bocznych uliczek pasażu handlowego.

W salonie pachinko rozbrzmiewało nagranie starego, przywodzącego na myśl dawne czasy marsza marynarki wojennej. No, aranżacja była raczej współczesna. Na dźwięk instrumentów dętych nakładała się gitara basowa. Sensei, który wydawał się bywalcem tego miejsca, przechodził między kolejnymi rzędami. Zatrzymywał się przed maszyną, przyglądał się jej pod różnymi kątami i szedł do następnej. W salonie było pełno ludzi. Z pewnością było tam tak samo tłoczno i w dni deszczowe, i wietrzne, i słoneczne.

– Tsukiko, proszę sobie wybrać maszynę, która ci odpowiada.

Wyglądało na to, że on sam wybrał już tę, przy której chciał zasiąść. Z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego wyjął portfel, a z niego kartę. Wsunął ją gładko do urządzenia stojącego obok wybranej maszyny i wyleciały kulki wartości tysiąca jenów, po czym wyjął kartę i schował ją do portfela.

– Często pan tutaj bywa? – zapytałam.

Kiwnął głową bez słowa. Wydawało się, że zupełnie skupił się na grze. Z powagą wyregulował rączkę. Maszyna wyrzuciła jedną kulkę, po niej następne zaczęły piąć się do góry.

Pierwsza kulka wskoczyła. Na talerzyk wysypało się trochę kulek. Sensei znów ścisnął rączkę. Kilka razy kulki wpadały do otworów po bokach tarczy i wtedy przybywało kulek na talerzu u dołu.

– Sensei, wychodzę – powiedziałam, stojąc za nim, ale on pokręcił głową, wpatrzony w tarczę maszyny.

– Jeszcze nie.

W tej samej chwili kulka wpadła do dziurki znajdującej się pośrodku tarczy i trzy obrazki znajdujące się wewnątrz zaczęły wirować. Obrazki na tarczy zmieniają się same. Wyprostowany Sensei beznamiętnie wypuszczał kolejne kulki. Wydawało mi się, że teraz rzadziej wpadały do dziurek niż przed chwilą.

– A jednak nie wpadają – powiedziałam.

Sensei przytaknął.

– Ja też się przejmuję, jak się tak zaczyna dziać.

Na tarczy pojawiły się dwa takie same obrazki. Tylko jeden, ostatni, jeszcze się kręcił z furkotem. Chwilami wydawało się, że się zatrzyma, ale nagle znów przyspieszał.

– Kiedy zbiorą się trzy, dostaje się nagrodę? – zapytałam.

Sensei odwrócił się do mnie.

– Czy ty nigdy nie grałaś w pachinko, Tsukiko?

– Nigdy. Kiedy byłam w szkole podstawowej, tata zabrał mnie raz do salonu i wtedy zagrałam, ale na innej maszynie, starego typu, w której skakały pojedyncze kulki. W tym byłam całkiem niezła.

I gdy tylko przestałam mówić, trzeci obrazek zatrzymał się. Na wszystkich trzech był ten sam rysunek.

– Uwaga, gość przy maszynie numer sto trzydzieści dwa. Rozpoczął pan serię Lucky Chance. Nasze gratulacje! – rozległo się z głośników w całym salonie, a maszyna Senseia zaczęła gwałtownie błyskać światłami.

Teraz Sensei całkowicie skupił się na grze. Z lekko zgarbionymi plecami wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Kolejne kulki wylatują, a kończą wessane przez wielki, otwarty kwiat tulipana na środku. Za każdym razem wtedy z talerzyka u dołu maszyny kulki wysypują się z hałasem. Pracownik salonu przyniósł duży kwadratowy pojemnik. Sensei lewą ręką pociągnął za dźwignię u dołu, a prawą ścisnął rączkę. W ten sposób, delikatnie zmieniając ułożenie, ze wszystkich sił starał się zdobyć choćby o jedną kulkę więcej.

Kwadratowy pojemnik był już wypełniony kulkami.

– To może niedługo skończę – mruknął Sensei.

Kiedy pojemnik został napełniony po brzegi, tulipan na środku zamknął się i maszyna nagle ucichła. Dopiero teraz Sensei wyprostował się i puścił rączkę.

– Dużo ich wyleciało – powiedziałam, a on przytaknął, wciąż jeszcze zwrócony twarzą do maszyny, po czym głęboko westchnął.

– Może ty też spróbujesz, Tsukiko? – spytał, odwracając się w moją stronę. – To jest dobre studium socjologiczne.

Wyjechał mi tu ze studium socjologicznym. To bardzo w jego stylu. Usiadłam przy sąsiedniej maszynie. Sensei powiedział, żebym sobie sama kupiła kulki, więc kupiłam najpierw kartę, po czym niepewnie włożyłam ją do maszyny i wyjęłam kulki za pięćset jenów.

Wyprostowałam plecy tak jak Sensei i zaczęłam grać, ale kulki za nic nie chciały wpadać. To, co kupiłam za pięćset jenów, skończyło się w mgnieniu oka. Wyjęłam kartę i dokupiłam kulek znów za pięćset jenów. Tym razem starałam się poruszać rączką pod różnymi kątami. Moje obrazki wciąż nie chciały się otworzyć, ale gdy tylko udawało mi się wrzucić kulkę do otworu, zaczynały brzęczeć. Skończyły mi się kulki za drugą pięćsetkę i przerwałam grę. Obrazki na maszynie Senseia znów zaczęły się kręcić.

– Znowu się panu ustawią? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Prawdopodobieństwo jest jak jeden do kilkuset, więc... Nie ma co na to liczyć.

Obrazki zatrzymały się i każdy był inny. Sensei jeszcze przez jakieś dziesięć minut grał, co chwila dodając sobie kulek, ale kiedy przekonał się, że liczba wpadających i wypadających stała się równa, wstał. Z łatwością uniósł pojemnik pełen kulek i ruszył w stronę kasy. Gdy już oszacowano, ile kulek wygrał, skierował się do kąta, gdzie były wystawione nagrody.

– Nie zamieni pan na pieniądze? – spytałam.

Sensei przyjrzał mi się uważnie.

– Tsukiko, chociaż nie grasz, jednak znasz się na rzeczy.

– Ach, taka mądra jestem tylko ze słyszenia – odpowiedziałam, a Sensei roześmiał się.

Byłam przekonana, że nagrody w pachinko to głównie czekoladki, ale okazało się, że są naprawdę przeróżne: od elektrycznych garnków do gotowania ryżu po krawaty. Sensei krążył, przyglądając się uważnie każdej z nich. Wreszcie odebrał od obsługi pudełko z odkurzaczem stołowym. Pozostałe kulki wymienił na czekoladę.

– Dam ci czekoladę – oznajmił przed sklepem i podał mi kilkanaście tabliczek.

– Może pan też weźmie sobie kilka – zaproponowałam i rozłożyłam czekolady w wachlarz, jakbyśmy mieli grać w Czarnego Piotrusia. Sensei wyjął sobie z tego trzy.

– Czy z panią Ishino też grał pan w pachinko? – zapytałam, starając się brzmieć obojętnie.

– Co takiego? – zdziwił się Sensei i przekrzywił głowę. – To raczej ty mi powiedz, gdzie wtedy poszłaś z tym mężczyzną.

– Co takiego? – Teraz ja przekrzywiłam głowę. – Pan grywa w pachinko, prawda? Jest pan w tym dobry. – Sensei zrobił kwaśną minę. – Nie powinno się uprawiać hazardu.

– Nie powinno się, ale to dobra rozrywka, czyż nie?

Tak mi odpowiedział i poprawił trzymane pod pachą pudełko z odkurzaczem stołowym, jakby niósł coś cennego.

Idąc ramię w ramię, wróciliśmy do pasażu handlowego.

– Może zahaczmy jeszcze o bar pana Satoru?

– Hm, może zahaczmy?

– A nie jesteś jutro z kimś umówiona? Aa, wszystko jedno.

– Ach tak?

– Tak.

Przez chwilę rozmawialiśmy tak po cichu. Powtarzając sobie w duchu, że wszystko jedno, ruszyłam za Senseiem.

Młode liście już przestały być młode i okrywają drzewa gęstą zielenią. Szliśmy powoli, we dwójkę pod jednym parasolem. Jego ręka chwilami dotyka mojego ramienia. Sensei trzyma parasol prosto wzniesiony wysoko do góry.

– Ciekawe, czy bar pana Satoru już jest otwarty – zastanowiłam się na głos.

– Jeśli nie będzie, przejdziemy się jeszcze trochę – usłyszałam w odpowiedzi.

– Ach, przejdziemy się? – powiedziałam, patrząc na jego parasol.

– Tak, przejdźmy się – odpowiedział mi zdecydowanym tonem, który przypominał mi ów marsz wojskowy, puszczone w salonie pachinko.

Deszcz osłabł. Na mój policzek spadła jedna kropla. Otarłam ją wierzchem dłoni; Sensei spojrział krytycznie.

– Nie masz chusteczki?

– Mam, ale to bardziej kłopotliwe.

– Ach, te dzisiejsze dziewczęta...

Niebo pojaśniało, ptaki zaczęły ćwierkać. Deszcz już prawie nie padał, ale Sensei wciąż stanowczo trzymał parasol nad nami. Niósł go wysoko i tak we dwoje szliśmy przez pasaż handlowy, umyślnie powolnym, spokojnym krokiem.

Grzmoty w porze deszczowej

Kojima Takashi zaproponował, żebyśmy gdzieś razem pojechali.

– Jest taki tradycyjny hotelik, w którym naprawdę dobrze karmią... – zaczął.

– Dobrze karmią – powtórzyłam jak papuga, a Kojima kiwnął głową. Z tą poważną miną przypominał mi chłopca ze szkoły podstawowej. Pomyślałam, że z pewnością dobrze wyglądał we fryzurze z grzywką.

– Już niedługo będzie sezon na stynki.

– Oo – odpowiedziałam. Elegancki, tradycyjny hotelik ze smacznym jedzeniem. Do Kojimy takie miejsca doskonale pasują.

– Nie pojechalibyśmy sobie, tak bez specjalnego planowania, zanim zacznie się pora deszczowa?

Zawsze, kiedy się z nim spotykam, w moich myślach wypływa słowo „dorosły”. Na przykład w szkole podstawowej Kojima Takashi z pewnością był dzieckiem. Mocno opalonym dzieckiem o chudych łydkach. W liceum był tryskającym siłą wyrostkiem. Takim, co już zaraz rzuci chłopięcą skórę, by stać się młodzieńcem. Jako student na pewno był już młodzieńcem. Takim, do którego świetnie pasuje to określenie: „młodzieniec”. Mogę go sobie z łatwością wyobrazić. A wreszcie w okolicy trzydziestki Kojima Takashi z całą pewnością stał się dorosły. Musiało tak właśnie być.

Wiek i stosowne do tego zachowanie i język. Czas Kojimy płynął harmonijnie, jego ciało i jego dusza też rozwijały się harmonijnie.

A z drugiej strony ja. Chyba jeszcze nie stałam się tak naprawdę dorosła. W szkole podstawowej byłam całkiem dorosła. Ale w miarę jak mijał czas – w gimnazjum, w liceum – stawałam się coraz mniej dorosła. Gdy minęło jeszcze więcej czasu, stałam się prawdziwym dzieckiem. Może taki mam charakter, że nie potrafię się zaprzyjaźnić z czasem.

– A dlaczego nie możemy pojechać, kiedy już zacznie się pora deszczowa? – zapytałam.

– No jak to, zmokniemy – odpowiedział krótko.

– Można przecież wziąć parasol – zauważyłam, ale on zaczął się śmiać.

– Słuchaj, ja cię zapraszam, żebyśmy gdzieś wyjechali, tylko we dwoje. Rozumiesz? – powiedział, zaglądając mi w oczy.

Zaproszona przez Kojimę „na stynki” oczywiście, rozumiałam go aż za dobrze. Rozumiałam też moje własne uczucia, które mi mówiły, że pojechanie gdzieś razem z nim nie jest takim złym pomysłem. Dlaczego w takim razie odpowiadałam tak, jakbym próbowała mu mydlić oczy?

– Stynki łowią tam w pobliskiej rzeczce, a i warzywa z okolicznych pól ponoć są niezłe – opowiadał mi niespiesznie Kojima Takashi.

Wydawało mi się, że choć dobrze rozumie moje mydlenie oczu, jednak zupełnie się tym nie przejmuje.

– Ogórki, dopiero co zerwane z krzaczka, lekko ostukane drewnianą pałką, żeby puściły sok, i przyprawione marynowaną śliwką. Soczyste bakłażany pokrojone w cienkie plasterki, usmażone i doprawione sosem sojowym z imbirem. Kapusta, zakiszona w zaprawie z otrąb ryżowych. Owszem, to potrawy, jakie robi się w domu, ale intensywny smak tamtych warzyw wszystko zmienia – wyjaśniał dalej Kojima. – Zbierają je na polach w pobliżu i zużywają tego samego dnia. I miso, i sos sojowy też kupują od lokalnych wytwórców. Dla takiej smakoszki jak ty, Ōmachi, to wymarzone miejsce – mówił Kojima ze śmiechem.

Lubię jego śmiech. Byłam bliska odpowiedzi, że może rzeczywiście pojedziemy. Ale nie odpowiedziałam. Stynki, tak? Warzywa, tak?

– Jeśli nabierzesz ochoty, żeby pojechać, daj mi znać. Od razu zrobię rezerwację – poprosił na koniec Kojima lekkim tonem.

Siedzimy przy ladzie w barze Maeda. To już chyba piąty raz, kiedy się spotykamy w ten sposób. Kojima Takashi chrupie pestki słonecznika podane na małym talerzyku. Ja też sięgnęłam po kilka ziaren i zjadłam je z głośnym chrupaniem. Pani Maeda delikatnie postawiła przed Kojimą szklankę burbona, Four Roses, z wodą sodową.

Zawsze, kiedy przychodzę z Kojimą do baru Maeda, ogarnia mnie wrażenie, że nie powinnam tutaj być. Przyciszone dźwięki standardów jazzowych. Wyczyszczony do połysku bar. Szklanki bez jednej smugi. Lekki zapach papierosów. Proporcja gwaru i ciszy w sam raz. Nie ma się do czego przyczepić. To wszystko sprawiało, że czułam się niezręcznie.

– Dobry ten słonecznik – powiedziałam i wzięłam jeszcze parę pestek. Kojima Takashi bez pośpiechu sączy swojego burbona z wodą sodową. Wypiłam łyżek ze szklanki postawionej przede mną. Dobre martini, nie ma się do czego przyczepić.

Z westchnieniem odstawiłam szklankę. Była chłodna, a jej powierzchnia pokryła się leciutką mgiełką.

– Chyba już niedługo zacznie się pora deszczowa, prawda? – powiedział Sensei.

Pan Satoru przytaknął, że tak, rzeczywiście. Jego bratanek też kiwa głową. Chłopak już całkowicie wrósł w to miejsce.

Sensei zwrócił się teraz do niego i zamówił stynki. Chłopak odpowiedział: – Tak jest! – i zniknął w kuchni. Wkrótce potem poczuliśmy woń pieczonej ryby.

– Lubi pan stynki? – zapytałam.

– Z ryb lubię prawie wszystkie. I morskie, i rzeczne – odpowiedział Sensei.

– Ach tak, lubi pan stynki?

Sensei spojrzął na mnie.

– O co ci chodzi z tymi stynkami, Tsukiko? – zapytał.

– Nie, nie. Nic takiego – odpowiedziałam pospiesznie i spuściłam głowę. Mój rozmówca przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Przechylił głowę na bok i patrzył.

Chłopak wyszedł z kuchni, niosąc talerz ze stynkami. Do tego osobno ocet doprawiony rdemstem.

– Zieleń octu rdestowego doskonale współgra z powietrzem w czasie pory deszczowej – mruknął Sensei, spoglądając na rybki.

Pan Satoru roześmiał się i powiedział, że to brzmi jak poezja.

– Nie, to nie poezja, po prostu takie mam wrażenie – wyjaśnił Sensei i zaczął jeść stynkę, starannie rozdzielając ją pałeczkami na kawałki. Zawsze je nadzwyczaj starannie.

– Sensei, skoro tak pan lubi stynki, czy zdarza się panu pojechać choćby do gorących źródeł, żeby tam ich pokosztować, na miejscu? – spytałam.

Sensei uniósł brwi, zdziwiony.

– Nie, nie zdarzyło mi się nigdy pojechać dokądś umyślnie w tym celu – odpowiedział i opuścił brwi. – Co się z tobą dzieje, Tsukiko, dzisiaj jesteś naprawdę dziwna.

Byłam bliska powiedzenia mu, że Kojima Takashi namawiał mnie, żebyśmy razem gdzieś się wybrali. Oczywiście, w końcu nie powiedziałam. Sensei opróżnia swój kieliszek nie za szybko i nie za powoli, w sam raz. Wypija trochę, potem przez chwilę nie pije. Znow wypija łyżek i znow przestaje. A ja tymczasem piję dziś szybciej niż zwykle. Co naleję, to wypijam, co wypiję, to nalewam. Piłam już trzecią karafkę.

– Tsukiko, czy coś się wydarzyło? – zadał mi pytanie Sensei.

Odruchowo pokręciłam głową. Nie, nic się nie wydarzyło.

Mówię, że nic się nie wydarzyło. Co by się mogło wydarzyć?

– Jeśli nic, to nie musisz chyba aż tak stanowczo zaprzeczać.

Ze stynek zostały już tylko cienkie ości. Sensei dziubnął je raz pałeczkami. Ładnie odeszło od nich mięso.

– Stynki były bardzo smaczne – powiedział, zwracając się do pana Satoru.

– Dziękuję – usłyszał w odpowiedzi.

Ja pospiesznie wypiałam następny kieliszek. Sensei patrzy krytycznie na dłoń, w której trzymam naczynie.

– Dzisiaj za dużo pijesz, Tsukiko – powiedział miękko.

– Proszę dać mi spokój – mówię. Ponownie napełniłam kieliszek.

Wypiłam jednym haustem i to był koniec mojej trzeciej butelki.

– Jeszcze jedną —zamówiłam, obracając się do pana Satoru.

– Sake! – krzyknął krótko w stronę kuchni.

– Tsukiko – odezwał się znów Sensei, patrząc na mnie, jakby chciał zajrzeć mi głęboko w oczy, ale ja odwróciłam twarz.

– Skoro już zamówiłaś, to trudno, ale chociaż nie wypij wszystkiego – powiedział z naciskiem, co rzadko mu się zdarza. I poklepał mnie przy tym po ramieniu.

– Dobrze – odpowiedziałam cicho. Nagle poczułam, że alkohol uderzył mi do głowy. – Sensei, niech mnie pan mocniej klepnie – poprosiłam zeszywniałymi ustami.

– Tsukiko, dzisiaj zachowujesz się jak rozpieszczona dziewczynka! – Sensei roześmiał się i kilka razy klepnął mnie lekko w ramię.

– Bo tak naprawdę to ja jestem rozpieszczonym dzieckiem – powiedziałam i dotknęłam ości zostawionych na talerzu Senseia. Lekko ugięły się pod naciskiem. Sensei zdjął rękę z mojego ramienia i powoli podniósł kieliszek do ust. Na krótką chwilę oparłam się o niego i zaraz się odsunęłam. On tymczasem w milczeniu pił swoją sake i nie wiem, czy zauważył, że się oparłam o niego. Czy nie zauważył?

Naraz zorientowałam się, że jestem w domu Senseia. Wyglądało na to, że leżę na podłodze, na matach. Powyżej mojej głowy widzę niski stół, a prosto przede mną – nogi Senseia. Stęknęłam i podniosłam się.

– Obudziłaś się? – usłyszałam jego głos.

Drzwi i okiennice są otwarte. Nocne powietrze napływa do pokoju. Jest trochę chłodno. Na niebie niewyraźnie widzę księżyc. Ma na sobie grubą „lisią czapę”.

– Czy ja spałam?

– Tak – odpowiedział Sensei ze śmiechem. – Spałaś głęboko.

Spojrzałam na zegarek. Niedawno minęła północ.

– Ale nie tak długo. Około godziny.

– W czyimś domu wystarczy przespać godzinę, więcej nie trzeba. – Zaśmiał się znów. Jego twarz była bardziej zarumieniona niż zwykle. Czyżby pił przez cały ten czas, kiedy ja spałam?

Zapytałam, dlaczego się tu znalazłam, a Sensei wytrzeszczył oczy.

– Nie pamiętasz? Sama wymyśliłaś, że chcesz tu przyjść, domagałaś się tego.

– Ach tak – powiedziałam i znów opadłam na matę. Na policzku mam odbity ślad jej powierzchni. Moje poplątane włosy rozsypały się dookoła głowy. Leżąc, przyglądałam się płynącym po nocnym niebie chmurom. Poczułam wyraźnie, że nie chcę wyjeżdżać z Kojimą. I z odcisniętym na policzku wzorem z powierzchni maty przypomniałam sobie to poczucie niezręczności, które mi towarzyszyło, gdy spotykałam się z Kojimą, poczucie, którego w żaden sposób nie mogłam zatrzeć.

– O, tutaj mam odcisnięty wzór z maty. – Leżąc plackiem na podłodze, pokazałam Senseiowi policzek.

– Gdzie? – zapytał i obszedł stolik, żeby podejść do mnie. – Oo, rzeczywiście, bardzo wyraźnie się odcisnęło, naprawdę – i lekko dotknął mojego policzka.

Jego palce są zimne. Wydał mi się teraz większy niż zwykle. Może dlatego, że patrzyłam na niego od dołu.

– Masz ciepłe policzki.

Cały czas trzymał dłoń przy mojej twarzy. Chmury przesuwaly się szybko po niebie. Księżyc chwilami chował się całkowicie za nimi, by za moment znów ukazać swój brzeżek.

– Są gorące, bo się upiłam – powiedziałam. Ciało Senseia lekko drży. Czy on też jest nietrzeźwy?

– Czy nie wybrałyby się pan ze mną dokądś? – zapytałam.

– Wybrać się? Dokąd?

– Do jakiegoś hotelu, gdzie podają smaczne stynki.

– Wystarczą mi stynki u pana Satoru.

Sensei odsunął rękę od mojego policzka.

– No to do gorących źródeł, gdzieś głęboko w górach?

– Nie muszę jechać w głębokie góry, wystarcza mi Żurawia Łażnia na rogu.

Usiadł na macie koło mnie. Jego ciało już się nie trzęsie. Siedzi jak zawsze prosto, wyciągnięty jak struna.

– Pojedźmy dokądś tylko we dwoje – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Nigdzie nie jadę – sprzeciwił się, odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie.

– Jak pan może, chciałabym z panem dokądś pojechać we dwoje.

Czy ja jestem pijana? Nie rozumiałam połowy z tego, co samej mi się wyrывało z ust. Albo rozumiałam wszystko, tylko moja głowa udawała, że nie przyjmuje tego do wiadomości.

– A dokąd według ciebie moglibyśmy pojechać tak we dwoje?

– Dokądkolwiek. Jeżeli tylko mogłabym wyjechać z panem, to dokądkolwiek! – wykrzyknęłam.

Chmury na nocnym niebie płyną szybko. Wiatr stał się silniejszy. Powietrze jest wilgotne i ciężkie.

– Proszę się uspokoić, Tsukiko – powiedział Sensei lekkim tonem.

– Jestem wystarczająco spokojna.

– Proszę wrócić do domu i położyć się spać.

– Do żadnego domu nie pójdę.

– I proszę nie mówić tak nierozsądnie.

– To pan mówi nierozsądnie. Przecież ja pana kocham.

I gdy tylko to powiedziałam, nagle poczułam gorąco w żołądku.

Totalna klęska. Ludzie dorośli nie powinni mówić tego, co sprawia kłopot innym. Nie powinni beztrzesko wypowiadać słów, przez które następnego ranka nie będą mogli z uśmiechem przywitać się ze swoim rozmówcą.

Ale już to powiedziałam. To dlatego, że nie jestem dorosła. I nigdy nie stanę się taka dorosła jak Kojima Takashi. Ja kocham Senseia. I uparta jak dziecko, powtórzyłam to jeszcze raz. Sensei patrzy na mnie nieruchomo, ze zrezygnowaną miną.

Gdzieś w oddali zagrzmiało. Po chwili między chmurami coś zaśniło. Chyba to błyskawica? Po kilku sekundach ponownie dało się usłyszeć grzmot.

– Mówisz dziwne rzeczy, więc i pogoda zrobiła się dziwna – mruknął Sensei, wsuwając się do pokoju z tarasu.

– To nie są żadne dziwne rzeczy – odparowałam.

Sensei uśmiechnął się gorzko.

– Chyba będzie burza? – powiedział.

Zaczął hałaśliwie zasuwac okiennice. Słabo się przesuwaly. Drzwi tez zamknal. Co chwila migaja błyskawice. Grzmoty się przybliżyły.

– Sensei, boję się – szepnęłam i przysunęłam się do niego.

– Nie ma w tym nic groźnego. To zwykłe wyładowania elektryczne – powiedział Sensei wypranym z emocji głosem, próbując odsunąć się ode mnie.

Znów przysunęłam się w jego stronę. Bo ja naprawdę bardzo nie lubię piorunów.

Przez zaciśnięte zęby powiedziałam, że wcale mi nie o to chodzi, żebym ja cokolwiek teraz z panem... Po prostu boję się. Grzmoty były już bardzo głośne. W chwilę po tym jak zaśniła błyskawica, słychać było trzask pioruna. Deszcz też zaczął padać. Krople bardzo głośno uderzały z ukosa w okiennice.

– Tsukiko... – Sensei zerknął na moją twarz.

Zakryłam uszy rękami i siedziałam obok niego sztywno jak kołek.

– Ty się rzeczywiście boisz, prawda?

Bez słowa kiwnęłam głową. Sensei z przesadnie poważną miną przyjrzał mi się uważnie i wreszcie roześmiał się.

– Dziwne z ciebie dziewczę, Tsukiko. – Śmiał się, jakby mu było naprawdę wesoło.

– Przysuń się do mnie bliżej. Przytulę cię – obiecał i przysunął mnie do siebie. Czuję od niego zapach alkoholu. Z jego piersi unosi się lekko słodkawa woń japońskiej sake. Siedząc na matach na podłodze, Sensei ułożył sobie moją górną połowę ciała na kolanach i mocno objął.

– Sensei – powiedziałam. Mój głos zabrzmiał jak westchnienie.

– Tsukiko – odpowiedział on. Niezwykle wyraźnym, charakterystycznym dla niego tonem. – Dzieci nie powinny wymyślać dziwnych rzeczy. A ktoś, kto boi się piorunów, jest jak dziecko.

Roześmiał się głośno. Ten śmiech nałożył się na dźwięk przetaczającego się po niebie grzmotu.

– Sensei, ja naprawdę mówię panu, że pana kocham – powiedziałam, leżąc na jego kolanach, ale moje słowa, jakby zmiecione przez jego śmiech i huk gromu, donikąd nie dotarły.

Pioruny waliły coraz głośniejsze. Deszcz zaczął, jakby atakował ściany. A Sensei się śmiał. Zupełnie zagubiona, leżałam wciąż na jego kolanach. Co by powiedział Kojima Takashi, gdyby się tu znalazł w tej chwili?

Wszystko to było idiotyczne. I to, że wykrzyczałam Senseiowi, że go kocham, i to, że nie odpowiedział mi wcale, tylko zachowywał się aż nieprzyjemnie spokojnie, i te pioruny, które tak nagle się rozszalały, i ta narastająca w otoczonym zamkniętymi okiennicami pokoju wilgoć, wszystko to było niczym sen.

– Sensei, czy to sen – zapytałam.

– Chyba sen. To może być sen – odpowiedział wesoło.

- Skoro to sen, kiedy się obudzę?
- Cóż, nie wiem.
- Nie chcę, żeby mnie pan obudził.
- Ale jeżeli to jest sen, kiedyś na pewno się obudzisz.

Grom uderzył natychmiast po błyskawicy. Cała zeszywniałam. Sensei pogładził mnie po plecach.

- Nie chcę, żeby mnie pan obudził – powtórzyłam.
- Niech tak będzie – odpowiedział.

Deszcz gwałtownie uderza w dach. Spięta, leżę sztywno oparta o kolana Senseia. A on spokojnie gładzi mnie po plecach.

Na wyspę. Część pierwsza

I tak właśnie doszło do tego, że jestem tutaj.

W kącie pokoju stoi teczka Senseia. Ta sama co zawsze.

– Czy w tej teczce wszystko się może zmieścić? – zapytałam go w pociągu, którym tutaj jechaliśmy.

Sensei kiwnął głową.

– Wystarczy, żeby zapakować ubrania na dwa dni, ta teczka.

– Aha – mruknęłam. Poddając się kołysaniu pociągu, Sensei trzymał teczkę na kolanach i przytrzymywał ją dłonią. I on, i teczka kiwali się lekko do przodu i tyłu.

We dwoje wsiedliśmy do pociągu, we dwoje przesiedliśmy się na prom, we dwoje wspięliśmy się na pagórek na wyspie i we dwoje dotarliśmy do tego małego rodzinnego hoteliku.

Czy tamtej nocy, nocy u początku pory deszczowej, kiedy tak były pioruny, Sensei poddał się w końcu, uległ moim prośbom i dlatego umówiliśmy się, że wyjedziemy razem? Czy też później, kiedy już burza minęła i leżałam grzecznie, sama, w pościeli dla gości, którą Sensei uprzejmie rozłożył dla mnie, podczas gdy on leżał – zapewne – równie grzecznie w drugim pokoju, czy wtedy właśnie jego nastawienie się znieścacka zmieniło i zdecydował się pojechać ze mną? Czy może bez żadnej przyczyny i okazji w jego sercu nagle zakiełkowała chęć pojechania na wycieczkę?

– Tsukiko, może wybierzemy się w następną sobotę na wyspę? – zapytał bez żadnych wstępów.

Właśnie wracaliśmy z baru pana Satoru. Droga była mokra od padającego uporczywie deszczu. W kałużach odbijało się światło latarni, które w tej nocnej porze zdawało się ślizgać białym odbłaskiem po powierzchni wody. Sensei nie próbował omijać kałuż i stanowczym krokiem szedł prosto przed siebie. Ja starałam się ominąć każdą kałużę, więc jak pod podmuchem wiatru co chwila zmieniałam kierunek: to w tę, to w tamtą stronę. Nie posuwałam się tak śmiało jak on.

– Co? – zdziwiłam się.

– Czy nie proponowałaś sama minionej nocy, żebyśmy się dokądś wybrali na małą wycieczkę?

– Wycieczkę – powtórzyłam za nim dość głupim tonem.

– To jest wyspa, na której dawnymi czasy co rusz bywałam.

A więc mówi, że kiedyś odwiedzał tę wyspę często. Mruknął jeszcze, że były po temu powody.

– Były powody, cóż to takiego? – zapytałam.

Nie odpowiedział, za to przyspieszył kroku.

– Jeżeli jesteś zbyt zajęta, wybiorę się tam sam.

– Pojadę, pojadę – odpowiedziałam pospiesznie.

I w ten właśnie sposób doszło do tego, że tu jestem.

Na tej wyspie, którą Sensei kiedyś „co rusz” odwiedzał. W małym rodzinnym hoteliku. Sensei z tą samą teczką co zawsze. Ja z nowiutką walizeczką, którą kupiłam specjalnie na ten wyjazd. We dwoje. Razem. Tylko że pokoje mamy osobne. Zgodnie ze stanowczo wyrażonym życzeniem Senseia, ja jestem w pokoju z widokiem na morze, on w pokoju wychodzącym na małą górkę, wznoszącą się w środkowej części wyspy.

Położyłam bagaż we wnęce w przydzielonym mi pokoju od strony morza i w jednej chwili znalazłam się przed drzwiami pokoju Senseia. Zapukałam. Puk, puk. Puk, puk. Otwórzcie, drogie dziecko, to ja, wasza matka. Otwórzcie drzwi, kochanie. Nie jestem wilkiem złym. Patrzcie, jaką mam białą łapkę.

Sensei jednak nie chciał sprawdzać, czy mam białą łapkę, tylko po prostu otworzył drzwi i uśmiechnął się do mnie promiennie.

– Może napijemy się herbaty? – zaproponował.

Ja też uśmiechnęłam się promiennie.

Jego pokój wydał mi się tylko odrobinę mniejszy od mojego. Był tak samo wielkości sześciu mat, więc może to dlatego, że okno wychodziło na górę.

– Może przejdziemy do mojego pokoju? Tam jest przyjemnie, widać morze – powiedziałam, ale on pokręcił głową.

– Mężczyźni nie powinni naruszać prywatności pań.

– Ach tak. – Chciałam dodać, że moją może naruszyć, ale się powstrzymałam, bo gdyby się nie rozeźmiał, mielibyśmy kłopot.

Nie umiałam dociec, z jaką intencją Sensei zaproponował, żebyśmy wyjechali razem. Kiedy powiedziałam, że z nim pojedę, jego twarz nawet nie drgnęła, a i w pociągu był taki sam jak zawsze. Siedzimy sobie tutaj i popijamy herbatkę, a Sensei zachowuje się zupełnie tak, jakbyśmy pili coś w barze pana Satoru, siedząc naprzeciwko siebie, na małym podwyższeniu ze stolikiem, bo przy ladzie zabrakło miejsc.

Tak czy inaczej, oto jesteśmy tutaj, we dwoje.

– Może dolać panu herbaty? – zapytałam pospiesznie.

– Poproszę – odpowiedział, więc napełniłam czajniczek gorącą wodą, tak pospiesznie, jakbym poprzedni pośpiech podkreśliła o jeszcze jeden obrót. Od strony góry słychać wołanie mew. Ich głosy są krzykliwe, gwałtowne. Wydawało się, że w tej porze ciszy wieczornej mewy unoszą się nad całą wyspą.

– Dookoła całej wyspy – powiedział Sensei, wkładając buty w sieni hotelu.

Już miałam włożyć sandały, na których flamastrem była wypisana nazwa hotelu, ale Sensei powstrzymał mnie.

– Zadziwiająco wiele jest podejść i nierównych dróg na tej wyspie – wyjaśnił i wskazał moje buty, porządnie schowane do szafki. Miały tylko odrobinę podwyższony obcas. Kiedy je wkładam, czubek mojej głowy sięga wysokości oczu Senseia.

– Ale te buty za bardzo nie nadają się do chodzenia po stromych ścieżkach – powiedziałam. Sensei leciutko się skrzywił. Tak lekko, że nikt na tym świecie by tego nie zauważył. Ale ja teraz nie przepuszczam żadnej, najdrobniejszej odmiany w jego wyrazie twarzy.

– Niech pan nie robi takiej miny, proszę.

– Jakiej miny?

– Miny, jakby widział pan coś kłopotliwego.

– Ależ ja nie widzę nic kłopotliwego. A ty?

– A to kłopot.

– Ależ co ty mówisz.

– Nie, naprawdę, cokolwiek by ludzie mówili, ze mnie jest niemały kłopot.

Robiła się z tego coraz bardziej pozbawiona sensu przepychanka słowna. Wsunęłam nogi w hotelowe sandały i podążyłam w ślad za Senseiem, który szedł niespiesznie, z pustymi rękami, a okryte kamizelką plecy miał jak zawsze wyprostowane jak struna.

Minęła pora wieczornej ciszy, zaczął wiać ledwo wyczuwalny wiaterek. Cumulonimbusy piętrzyły się nad horyzontem na otwartym morzu. Słońce, które było już bliskie zanurzenia się w morzu, zabarwiało je wszystkie na bladoczerwono.

– Ile czasu zajmuje obejście tej wyspy dookoła? – zapytałam, trochę już zadyszana, na drodze wiodącej po zboczu.

Sensei za to, zupełnie jak wtedy, kiedy wybraliśmy się z panem Satoru na grzybobranie, nie ma żadnych trudności ze złapaniem oddechu. Swobodnie pnie się po stromej ścieżce wiodącej na górkę.

- Jeśli iść naprawdę szybko, to wędrówka na godzinę.
- Naprawdę szybko.
- Ale z twoją kondycją wyszłoby być może i jakieś trzy godziny.
- Trzy godziny.
- Trzeba się więcej ruszać, Tsukiko.

Sensei wchodzi coraz wyżej. Ja zrezygnowałam już z prób dostosowania się do jego prędkości i stanęłam w połowie pagórka, żeby popatrzeć na morze. Wieczne słońce zbliża się do powierzchni wody. Cynobrowy poblask odbijający się od chmur nabiera intensywności. Gdzie ja jestem? W nieznanym wiosce rybackiej, otoczonej przez morze, w połowie drogi na górkę; co ja tu w ogóle robię? Plecy Senseia oddalają się ode mnie. Wydały mi się teraz czymś obcym. Chociaż tak oto wyruszyliśmy w podróż we dwoje – i cóż z tego, że ta „podróż” trwa raptem dwa dni – oddalający się w tej chwili ode mnie człowiek, Sensei, robił wrażenie obcej osoby.

- Tsukiko, nie bój się – powiedział, odwracając się do mnie.
- Co? – odezwałam się z dołu, a Sensei pomachał do mnie lekko.
- Jak wejdiesz na ten pagórek, zostanie już niewiele drogi.

– Aż tak mała jest ta wyspa? Wystarczy wspiąć się tą ścieżką na pagórek i już obejdzie się całą dookoła? – zapytałam. Sensei na to znów pomachał ręką.

– Tsukiko, zastanów się trochę. To chyba nie jest możliwe.

– Ale przecież.

– Z tak niewysportowaną osobą jak ty, i to jeszcze w tych sandałach, raczej nie damy rady obejść wyspy dookoła.

Ciągle czepia się tych sandałów, cały Sensei.

– Chodź szybciej, nie guzdraj się w takim miejscu – popędził mnie.

Wyciągnęłam szyję.

– To dokąd w takim razie się wybieramy?

– Proszę nie marudzić, tylko przyjdź tutaj szybko.

Sensei sprawnie wchodził na pagórek. Pod szczytem zbocze stawało się jeszcze bardziej strome. Sylwetka mojego towarzysza zniknęła mi z oczu. Pospiesznie wsunęłam stopy głębiej w sandały i ruszyłam w ślad za nim.

– Sensei, niech pan zaczeka, idę za panem. Już idę – wołałam, idąc ku niemu.

Gdy pokonałam tę ostatnią stromiznę, wyszłam na szczyt pagórka. Był płaski, szeroko otwarty na cztery strony świata. Wzdłuż drogi po drugiej stronie szczytu gęsto rosły wysokie drzewa. U ich stóp kilka domostw zebrało się w jednym miejscu, tworząc wioskę. Przy każdym domu widać poletka z uprawami ogórków czy pomidorów. Zza siatek ogrodzających kurniki słychać sielskie gdakanie: ko, ko, ko!

Minęliśmy wioskę i wyszliśmy na małe rozlewisko. Może dlatego, że zapadał zmierzch i wokół było już ciemno, wydawało się tonąć w głębokiej zieleni. Sensei zatrzymał się nad nim i czekał na mnie.

– Tutaj, Tsukiko. Tutaj.

Jego sylwetka rysuje się jak czarna plama, gdy tak stoi oświetlany od tyłu promieniami zachodzącego słońca. Nie jestem w stanie odczytać jego wyrazu twarzy. Szurając po ziemi stopami w sandałach, docieram wreszcie do niego.

Rozlewisko porasta gęsta zieleń: hiacynty wodne, spirodele. Kilka nartników lekko ślizga się po wodzie. Stałam koło Senseia i dopiero wtedy zobaczyłam jego twarz. Była spokojna, jak powierzchnia wody przed nami.

– Pójdziemy dalej?

Jeszcze to mówiąc, Sensei ruszył. Droga okrążyła rozlewisko, po czym poprowadziła w dół. Na poboczu w miejsce wysokich drzew pojawiły się krzewy. Jednocześnie droga zaczęła się zwężać, a w jej nawierzchni było coraz więcej dziur.

– Jesteśmy na miejscu.

Asfalt się skończył, na powierzchnię wyjrzała ziemia. Sensei stąpał po niej bez pośpiechu. Klapiąc sandałami, podążałam za nim.

Naszym oczom ukazał się mały cmentarz.

Groby blisko wejścia były czyściutko wysprzątane, ale wznoszące się w głębi wrzecionowate kamienie nagrobne i inne jeszcze, o staroświeckich kształtach i gęsto porośnięte mchem, otaczały gęste chwasty. Depcząc sięgające kolan zielsko, Sensei posuwał się w głąb cmentarza.

– Sensei, dokąd pan idzie? – zawołałam.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął. To był bardzo łagodny uśmiech.

– Tu zaraz, o, zobacz, proszę – powiedział i przykucnął przy niewielkim nagrobku.

Ten nie był aż tak omszały jak inne stare pomniki dookoła, ale i jego zaczynał już porastać wilgotny mech. Przed nagrobkiem stała wyszczerbiona miseczka do połowy napełniona wodą. Zresztą, może to była deszczówka. Trzmiel z głośnym brzęczeniem latały wokół naszych głów.

Cały czas kucając przy grobie, Sensei złożył dłonie do modlitwy. Zmrużył oczy i modli się. Trzmiel przysiadają to na mnie, to na nim. Ja za każdym razem posykiwałam i odpędzałam je od siebie, ale mój towarzysz nie zwracał na nie zupełnie uwagi, pogrążony w modlitwie.

Wreszcie opuścił złączone dotąd dłonie i wstał. Spojrzał na mnie.

– Czy to ktoś z pana rodziny? – zapytałam.

– Nie wiem, czy to można określić jako rodzinę – odpowiedział niejasno.

Trzmiel przysiadł na czubku jego głowy. Tym razem Sensei zwrócił na to uwagę i potrząsnął mocno głową.

– To grób mojej żony.

Co takiego, chciałam wykrzyknąć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Sensei znów się uśmiechnął. Bardzo łagodnym uśmiechem.

– Wygląda na to, że zmarła na tej wyspie.

Kiedy uciekła od niego, przyjechała do wioski, w której wsiedliśmy na prom zapewniający łączność z wyspą, wyjaśnił mi beznamietnym głosem Sensei. Z mężczyzną, z którym uciekła, jak się zdaje, rozeszła się wkrótce potem. I z ostatnim ze swoich nie wiadomo ilu kochanków zamieszkała w wiosce znajdującej się na przylądku. A potem przeniosła się z tym mężczyzną na wyspę, którą widziała na morzu, całkiem niedaleko od swojej wsi i pewnego dnia wpadła pod samochód, jeden z bardzo nielicznych w tym miejscu, i zginęła.

– Wiodła raczej dzikie i nieustabilizowane życie – podsumował Sensei z poważną miną opowieść o losach swojej żony.

– Rzeczywiście.

– A i dość niezwykle.

– Rzeczywiście.

– Nawet jeśli się nie weźmie pod uwagę przejechania przez samochód na tak spokojnej i cichej wysepce – powiedział Sensei miękko i roześmiał się.

Zwróciłam się do nagrobka i na chwilę złożyłam dłonie w modlitwie, po czym podniosłam głowę, by spojrzeć na Senseia. On zaś ze śmiechem patrzył w dół na mnie.

– Tak myślałem, żeby przyjechać tutaj z tobą – powiedział spokojnie.

– Razem.

– Tak, bo długo już tu nie byłem.

Kilka mew, hałaśliwie pokrzykując, przeleciało nad cmentarzem. Już chciałam zapytać, dlaczego pomyślał o tym, żeby przyjechać tutaj ze mną, ale właśnie wtedy mewy zaczęły wrzeszczeć jeszcze głośniej.

– Była naprawdę zadziwiającą osobą – mruknął Sensei, zerkając na niebo nad nami. – Chyba nawet teraz się nią przejmuję.

Słowa „nawet teraz” dotarły do mnie poprzez krzyki mew. Nawet teraz. Nawet teraz. Nawet teraz. Przywiózł mnie pan na tę odizolowaną od świata wyspę tylko po to, żeby uraczyć czymś takim! – krzyknęłam w myślach. Głośno jednak tego nie powiedziałam. Zerknęłam tylko z ukosa na Senseia. Śmieje się z cicha. Z czego ten się śmieje tak bez troski?

– Wracam do hotelu – oznajmiłam w końcu i odwróciłam się do niego plecami.

Wydało mi się, że za moimi plecami Sensei zawołał mnie po imieniu, ale może się przesłyszałam. Szybkim krokiem przemierzyłam ścieżkę prowadzącą z cmentarza do rozlewiska, minęłam wioskę i zesłam zboczem. Kilka razy spoglądałam za siebie, Sensei jednak nie szedł za mną. I znów miałam wrażenie, że słyszę, jak mnie woła: – Tsukiko! – Odkrzyknęłam: – Sensei! – Mewy hałasowały. Zatrzymałam się na chwilę, ale głosu mojego towarzysza już nie było słyhać ani też nic nie świadczyło o tym, że za mną podążył. Może nadal modli się na cmentarzu? Sam, wkładając w to całe serce. Za żonę, o której wciąż jeszcze myśli. Za żonę, która już nie żyje.

Cholerny dziadek, powiedziałam w duchu, a potem powtórzyłam to głośno: – Cholerny dziadek! – Ten cholerny dziadek pewnie teraz dziarsko obchodzi wyspę dookoła. A ja może zapomnę o nim i skorzystam z gorących źródeł w hotelu, tych na świeżym powietrzu. Przecież specjalnie po to przyjechałam na wyspę. Wszystko jedno, czy Sensei jest przy mnie, czy nie – ja będę cieszyć się tym wyjazdem. Dotąd przecież też zawsze byłam sama. Sama piłam sake, sama się upijałam i sama korzystałam z rozrywek.

Zdecydowanym krokiem szłam drogą prowadzącą po zboczu. Moje sandały kłapały głośno i ten ich dźwięk budził we mnie melancholię. Mewy, które zdawały się wypełniać całą wyspę, krzyczały hałaśliwie. Specjalnie na ten wyjazd wzięłam nową sukienkę i czułam teraz, że uwiera mnie w pasie. Zbyt luźne sandały boleśnie obtarły mi wierzch stopy. Nad brzegiem morza, na drodze – nikogusieńko. Smutny widok. Cholerny Sensei nie poszedł za mną i to mnie złości.

I takie właśnie jest moje życie. Na nieznanym wyspie, rozłączona z człowiekiem, o którym myślałam, że go znam, a okazuje się, że wcale nie, idę smętnie sama, nieznaną drogą. Może dam sobie trochę sake, skoro tak? Lokalne specjalności to ośmiornice, małże słuchotki i duże krewetki. Zjem całą górę słuchotek!! A rachunek będzie na niego, bo przecież on mnie tutaj zaprosił. Jak nie będę w stanie chodzić normalnie z powodu kaca, każę mu się nieść na barana. I zapomnę, całkowicie i ze szczętem zapomnę o tym, że choć przez chwilę chciałam spędzić z nim jakiś czas.

Przed wejściem do hotelu zapalone są światła. Na dachu budynku przysiadły dwie duże mewy. Napuszyły się i siedzą nieruchomo na krawędziach dachówek, niczym bóstwa opiekuńcze. Słońce zaszło i krzyki mew też już ustały, nawet nie zauważyłam kiedy.

– Dobry wieczór, właśnie wróciłam – powiedziałam, otwierając głośno zgrzytające drzwi wejściowe. Z głębi hotelu dobiegł mnie wesoły głos:

– Witamy z powrotem!

Towarzyszył mu zapach gotowanego posiłku. Kiedy ze środka wyjrzało się na dwór, było tam już całkiem ciemno.

– Sensei, ciemno – wymamrotałam. – Sensei, niech pan wraca, bo już ciemno. Nieważne, czy jeszcze teraz przejmuję się pan swoją żoną, czy czymkolwiek innym, tylko niech już pan wraca, napijemy się razem sake – mamrotałam pod nosem; zupełnie zapomniałam już o moim niedawnym wybuchu gniewu. – Możemy być przyjaciółmi od kieliszka raczej niż od filiżanki herbaty. Niczego więcej nie oczekuję. Niech pan wraca szybko. – Powtarzałam to raz po raz, patrząc w ciemność za oknem. Chyba widzę niewyraźnie jego postać na okrytej ciemnością drodze przez zbrocze. Nie, jednak to, co wydało mi się cieniem jego sylwetki, jest tylko zwykłą ciemnością. Siedzę i mruczę pod nosem bez końca: – Sensei, niech pan wraca szybko.

Na wyspę. Część druga

– Ośmiornica, spójrz, Tsukiko, ośmiornica już wypływa – powiedział Sensei; kiwnęłam odruchowo głową.

Tę potrawę nazywają tu chyba „*shabu-shabu*”²³ z ośmiornicy”. Półprzezroczyste plasterki ośmiornicy wrzuca się po prostu do wrzącej wody i wyjmuje pałeczkami, gdy tylko wypłyną na powierzchnię. Kiedy wkłada się je do ust umoczone w kwaśnym sosie, słodycz mięsa ośmiornicy i kwaskowatość owoców cytrusowych w sosie rozplývają się w ustach i wytwarzają niezwykły, wykwintny smak.

– Gdy się zanurza te przejrzyste kawałki mięsa ośmiornicy we wrzątku, robią się białe, zobacz – mówi Sensei takim samym tonem, jak gdybyśmy siedzieli obok siebie w barze pana Satoru i razem pili sake.

– Białe. Tak, są białe – odpowiadam, czując się bardzo niepewnie. Nie wiem, czy powinnam się śmiać, czy tylko kiwnąć w milczeniu głową.

– A czy widzisz, że tuż przed tym, naprawdę tylko na krótką chwilę, przyjmują odcień bladoróżowy?

– Tak – odpowiedziałam cicho.

Sensei spojrział na mnie z uśmiechem, po czym sięgnął do garnka i wyjął pałeczkami trzy kawałki ośmiornicy naraz.

– Jesteś spokojna aż strach, Tsukiko.

²³ *Shabu-shabu*, potrawa z pokrojonych w cienkie plasterki kawałków mięsa (najczęściej wołowina) i warzyw, gotowanych bardzo krótko w podgrzewanym na stole wywarze, a następnie maczanych w sosie. Nazwa ma pochodzić od dźwięków, jakie wydają plasterki mięsa zanurzane i lekko poruszane w gorącym wywarze.

Dość dużo czasu minęło, zanim Sensei wreszcie zszedł z pagórka. Krzyki mew już dawno ucichły, zapadły gęste ciemności. Zdawało mi się, że „dość dużo”, ale w rzeczywistości to mogło być raptem pięć minut. Stałam nieruchomo przed wejściem i czekałam na niego. Sensei zszedł w tej ciemności pewnie, bez wahania, ledwo było słyszeć jego kroki.

– Sensei – odezwałam się, a on powiedział:

– O, Tsukiko, właśnie wracam.

– Witam z powrotem – odpowiedziałam i ramię w ramię weszliśmy do hoteliku.

– Jaka okazała słuchotka – zachwycił się Sensei na widok wyłowionej z naszego *shabu-shabu* małży i przykręcił gaz pod kociołkiem.

Na średnim talerzu są ułożone cztery skorupki słuchotek, a na każdej z nich piętrzą się w swobodnych stosikach cienkie plasterki ich mięsa: *sashimi* ze słuchotek.

– Proszę, Tsukiko, częstuj się śmiało.

Sensei dodał sobie odrobinę wasabi i zamoczył kawałek małży w sosie sojowym. Pogryzł powoli. Kiedy gryzie, widać, że jego usta należą do osoby w podeszłym wieku. Ja też przeżułam mój kawałek słuchotki. Ciekawe, czy moje usta wyglądają, jakby należały do kogoś młodego? Przez chwilę pomyślałam z determinacją, że przecież mogłabym być starszą panią.

Shabu-shabu z ośmiornicy. Słuchotki. Małże *Panopea*. Ryba o płaskiej głowie²⁴. Gotowane miniaturowe sardynki. Duże smażone krewetki. Przed nami pojawiały się kolejne dania. Sensei dołączył dopiero od ryby z płaską głową, jego pałeczki miały trochę opóźnienia. Swoją kieliszek przechylał tylko odrobinę, pił drobnymi łyčzkami. Ja połykałam podawane potrawy jedna za drugą, prawie się nie odzywałam i piłam dużo.

– I jak, smaczne, Tsukiko? – zapytał Sensei, jakby zwracał się czule do pałaszującej z apetytem wnuczki.

– Smaczne – odpowiedziałam krótko, a potem jeszcze raz, ale włożyłam w to więcej serca: – Smaczne.

Kiedy wreszcie podano potrawkę z gotowanych warzyw i kiszonkę na koniec posiłku, i Sensei, i ja mieliśmy już pełne brzuchy. Poprosiliśmy tylko o zupę, *misoshiru*, a za ryż podziękowaliśmy. Dobrze doprawionej wywarem rybnym *misoshiru* użyliśmy jako zakąski i powoli wysączyliśmy resztę sake.

– Może już pójdziemy? – powiedział Sensei i podniósł się, trzymając w ręce klucz do pokoju.

Poszłam w jego ślady i wstałam, ale chyba alkohol bardziej uderzył mi do głowy, niż się spodziewałam, bo poczułam, że się chwieję. Spróbowałam iść, ale nogi się pode mną ugięły i przechyliłam się tak do przodu, że aż musiałam podeprzeć się ręką.

– Ojej, ojej... – Sensei spojrzał na mnie z góry.

– Niech mnie pan tu nie częstuje swoim „ojej, ojej”, tylko poda mi rękę – krzyknęłam cicho, a on się roześmiał.

– Wreszcie wróciłaś do swojego normalnego zachowania – powiedział i wyciągnął do mnie dłoń.

²⁴ *Kochi* to ogólna nazwa ryb o podobnym wyglądzie – płaskie ciało, płaska głowa, dość duże płetwy grzbietowe i boczne – ale z różnych rodzin.

Prowadzona przez niego za rękę, wspięłam się na schody. Zatrzymaliśmy się przed jego pokojem w połowie korytarza. Sensei wsunął klucz do zamka. Usłyszeliśmy trzaśnięcie. Stałam chwiejnie w korytarzu i patrzyłam na jego plecy; nagle odwrócił się do mnie.

– Wiesz, Tsukiko, tutejsze kąpiele są podobno zupełnie niezłe – powiedział.

– Aha – mruknęłam i kiwałam się dalej.

– Jak już poczujesz się lepiej, pójdz się wykapać.

– Aha.

– Wytrzeźwiej trochę.

– Aha.

– A jeśli i po kąpielu noc będzie ci się dłużyć, przyjdź do mojego pokoju.

Tym razem nie powiedziałam „aha”. W zamian za to z okrągłymi ze zdziwienia oczami burknęłam:

– Co? Co to ma znaczyć?

– Nic takiego, żeby aż mówić o znaczeniu – odparł i zniknął w swoim pokoju.

Drzwi zamknęły się przed moim nosem, a ja jeszcze przez chwilę stałam, chwiejąc się, na korytarzu. Przeżuwałam te słowa Senseia, które pojawiły się w mojej głowie zasnuwanej oparami alkoholu. „Przyjdź do mojego pokoju”. Tak właśnie powiedział. I co będziemy robić, jeśli tam pójdę? Przecież nie grać w karty, europejskie czy japońskie. Kontynuować picie? To przecież Sensei, więc kto wie, może wyskoczy z propozycją, żebyśmy układali wiersze.

– O, piękna Tsukiko, porzuć nadzieję – wyrecytowałam i wreszcie poszłam do swojego pokoju. Przekręciłam klucz, włączyłam światło i zobaczyłam, że na środku pokoju rozłożone jest posłanie. Bagaże zostały przesunięte w stronę ozdobnej wnęki.

Przebrałam się w yukate²⁵ i przygotowałam kąpiel, a wciąż jeszcze nie mogłam przestać i powtarzałam:

– Porzuć nadzieję, porzuć nadzieję.

Woda z gorącego źródła była łagodna dla skóry. Umyłam włosy, kilka razy to weszłam do wanny z czystą, gorącą wodą, to z niej wyszłam, wreszcie przeniosłam się do przebieralni, starannie wysuszyłam włosy i tak niezauważalnie minęła więcej niż godzina.

Wróciłam do pokoju i otworzyłam okno: wpłynęło nocne powietrze. Szum fal stał się o wiele bardziej wyraźny, niż kiedy okno było zamknięte. Oparłam się o jego framugę.

Od kiedy Sensei i ja tak się zbliżyliśmy do siebie? Najpierw był dla mnie obcym mężczyzną. Nieznajomy, podstarzały, nieskończenie odległy „nauczyciel z czasów liceum”. Nawet kiedy zaczęliśmy rozmawiać, niemal nie patrzyliśmy sobie w twarz. Był po prostu istotą, która obok mnie piła sake przy barze.

Tylko jego głos zapamiętałam od pierwszego momentu. Chwilami trochę za wysoki, ale słyhać w nim również dość tonów niskich; w sumie jest to głos o dobrym brzmieniu. I ten właśnie głos dopłynął w moją stronę od siedzącej koło mnie przy barze istoty, której ledwo byłam świadoma.

Sama nie wiem, kiedy stało się tak, że gdy przysuwałam się do niego, zaczynałam odczuwać ciepło promieniujące od jego ciała. Wyczuwam jego obecność poprzez wykrochmaloną koszulę. Obecność, do której tęsknię. Obecność, która ma kształt jego ciała. Ostry i wyraźny, a jednocześnie łagodny kształt ciała Senseia. Wciąż jeszcze nie umiem uchwycić tej obecności w sposób wyraźny. Kiedy staram się ją złapać, ucieka. Już mi się wydaje, że uciekła, a ona znów zbliża się do mnie.

²⁵ Rodzaj lekkiego kimona bez podszewki, zwykle z bawełny, noszonego bez specjalnej bielizny, jaka jest konieczna do kimona; tradycyjnie wkładane po kąpiel i wieczorami w miejscowościach letniskowych i z gorącymi źródłami; obecnie często noszone też jako lekki strój letni i domowy.

A gdyby tak kiedyś zdarzyło się, że nasze ciała by się złączyły, czy wtedy jego obecność stałaby się dla mnie czymś namacalnym i wyraźnym? Ale być może ona, jako że jest czymś niejasnym i nieuchwytnym, i tak mi się wymknie, cokolwiek zrobię.

Duża ćma wleciała do środka, zwabiona światłem żarówki. Obleciała pokój dookoła, prosząc pyłkiem ze skrzydełek. Pociągnęłam za sznurek lampy pod sufitem i przełączyłam mocną, świecącą białą świetlówkę na miniaturową żółtą żaróweczkę. Ćma unosiła się w powietrzu jakby nie wiedziała, co z sobą zrobić, wreszcie wyleciała na zewnątrz.

Przez chwilę czekałam, ale nie wracała.

Zamknęłam okno, poprawiłam pasek przy yukacie, pociągnęłam lekko usta szminką i wzięłam chusteczkę. Zamknęłam drzwi do swojego pokoju, starając się przekręcić klucz w zamku jak najciszej, i wyszłam na korytarz. Przy lampie na korytarzu zgromadziło się kilka ciem. Zanim zapukałam do drzwi Senseia, wzięłam głęboki oddech. Lekko poruszyłam wargami, by je złączyć, przyglądałam dłonią włosy i jeszcze raz głęboko odetchnęłam.

– Sensei! – odezwałam się i zaraz usłyszałam ze środka w odpowiedzi:

– Drzwi są otwarte.

Delikatnie nacisnęłam klamkę.

Sensei siedzi, opierając się łokciami o niski stolik. Za plecami ma posłanie, przesunięte do kąta. Pije piwo.

– Nie ma pan sake? – spytałam.

– Jest w lodówce, ale mnie sake już wystarczy – odparł i znów podniósł butelkę piwa średniej wielkości. W szklance rośnie równa warstwa piany. Przyniosłam sobie szklanekę z tacy ustawionej na lodówce.

– Poproszę – powiedziałam i wyciągnęłam ją w stronę Senseia, a on z uśmiechem nalał i mnie porcję zwieńczoną piękną pianą.

Na stole leżą trójkąciki sera, opakowane w folię aluminiową.

– Przywiózł je pan ze sobą? – zapytałam, a on przytaknął. – Jest pan dobrze przygotowany.

– Wrzuciłem do teczki, przypomniało mi się tuż przed wyjściem.

Jest spokojna noc. Przez zamknięte okna słychać cichy szum fal. Sensei otworzył drugą butelkę, też średnią. Pstryknięcie zdejmowanego kapsla zadźwięczało w całym pokoju.

Kiedy kończyliśmy opróżniać tę butelkę, żadne z nas nie mówiło wiele. Chwilami dźwięk fal stawał się głośniejszy.

– Jak spokojnie – powiedziałam i Sensei kiwnął głową.

– Jak spokojnie – rzekł po chwili i tym razem ja przytaknęłam.

Folia zdjęta z trójkącików sera leżała zwinięta na stoliku. Zebrałam wszystkie kawałki i zrobiłam z nich kulkę. Przypomniało mi się, że w dzieciństwie potrafiłam robić całkiem duże kule ze sreberka od „kocich jęczyczków”. Albo pieczołowicie wygładzałam sreberka i używałam ich do oklejania. Złoty papier, który też czasem się trafił, odkładałam osobno. Chyba zbierałam go po to, żeby okleić nim gwiazdę, która miała być na czubku choinki, i właśnie po to chowałam go na dnie szuflady w biurku. Pamiętam, że gdy nadeszły święta, okazało się, że papier się pogniótł, bo znalazł się pod wszystkimi moimi zeszytami, pudełkami z plasteliną i innymi takimi rzeczami.

– Jak spokojnie. – Już chyba z pięćdziesiąt razy powtórzyliśmy te słowa, ale tym razem zrobiliśmy to jednocześnie, Sensei i ja.

Sensei poprawił się na poduszcze. Ja też. Siedziałam naprzeciwko niego i bawiłam się kulką ze sreberka.

Sensei otworzył usta, jakby chciał powiedzieć: „a”, jednak nie usłyszałam żadnego dźwięku. Wokół jego otwartych ust widzę cień starości. Jeszcze bardziej wyraźny, niż kiedy jadł słuchotki. W milczeniu odwróciłam wzrok. I on też jednocześnie odwrócił wzrok.

Szum fal nie ustaje ani na chwilę.

– Może już pójdziemy spać? – zapytał Sensei cicho.

– Dobrze – odpowiedziałam. Co innego mogłam powiedzieć?

Podniosłam się, zamknęłam za sobą drzwi i poszłam do swojego pokoju. W korytarzu krążyło jeszcze więcej ciem.

Obudziłam się w nocy.

Głowa mnie trochę boli. Oprócz mnie nie ma nikogo w pokoju, tak mi się wydaje. Spróbowałam odtworzyć tę nieokreśloną obecność Senseia, ale nie udawało mi się.

Tak już mam, że jak raz się obudzę, nie mogę potem zasnąć. Tuż koło ucha słyszę dźwięk zegarka na rękę, który położyłam obok poduszki. Wystarczyło, że tak pomyślałam, a już się oddała. A przecież zegarek cały czas leży w jednym miejscu. Dziwna sprawa.

Przez jakiś czas leżałam nieruchomo. A potem dotknęłam własnych piersi pod yukatą. Nie są ani miękkie, ani twarde. Przesunęłam rękę dalej, pogładziłam się po brzuchu. Mam całkiem gładki brzuch. A potem niżej. Moja ręka natrafia na coś ciepłego. Kiedy dotykam tego zupełnie sama, nie odczuwam żadnej przyjemności. Skoro tak, czy byłoby przyjemnie, gdyby skutek jakiegoś mojego sprytnego zagrania czy też działania pokusy to Sensei mnie tam dotknął? Nie, jednak nie wydaje mi się, żeby miało mi to sprawić przyjemność.

Leżałam tak przez jakieś pół godziny. Myślałam, że szum fal mnie uspi, jednak tylko budziłam się coraz bardziej. Być może Sensei też w tej ciemności leży z otwartymi oczami.

Wystarczyło, że zaczęłam o tym myśleć, a już myśli pogalopowały dalej. W tym wszystkim wydało mi się, że Sensei woła mnie ze swojego pokoju. W środku nocy wystarczy pozostawić jakieś uczucie samemu sobie, a rozrasta się przesadnie. Wtedy staje się tak, że już zupełnie nie mogę wytrzymać, ani na leżąco, ani na stojąco. Bez zapalania światła ostrożnie otworzyłam drzwi pokoju. Poszłam do toalety w kącie korytarza, załatwiłam się. Myślałam, że kiedy mój pęcherz się uspokoi, ten przesadny nastrój sam zniknie. Ale nie, nie zniknął.

Wróciłam do pokoju, jeszcze raz lekko pociągnęłam usta szminką i, tak jak stałam, przekradłam się pod pokój Senseia. Przyłożyłam ucho do drzwi, żeby się zorientować, co się dzieje w środku. Zupełnie jakbym była złodziejka. Słyszałam coś, ale chyba nie jest to oddech śpiącego człowieka. Przez chwilę nasłuchiwałam, wytyżając uszy, chwilami dźwięk stawał się wyższy.

– Sensei – szepnęłam. – Sensei, co się stało? Wszystko w porządku? Czy coś pana boli? Wejść do pana?

Drzwi otworzyły się nagle. Zamknęłam oczy, bo oślepiło mnie światło wypełniające pokój.

– Nie stój tu, Tsukiko, wejdź – powiedział i kiwnął na mnie ręką.

Otworzyłam oczy, zaraz przyzwyczały się do światła. Sensei chyba coś pisał. Na stoliku leżą rozsypane papiery. Zapytałam, co pisze, więc podniósł jedną z kartek i pokazał mi. Widniały tam takie słowa:

*Ciała ośmiornic
czerwienieją niewyraźnie...*

Przyjrzałam się temu z całą powagą, a Sensei wyjaśnił:

– Piszę haiku i ciągle brakuje mi ostatniego wersu, pięciosylabowego.

– Co można dodać do tych ciał ośmiornic?

Klapnęłam na poduszkę do siedzenia. Kiedy ja męczyłam się myślami o nim, on męczył się myślami o ośmiornicach.

– Sensei – jęknęłam niskim głosem.

Beztrąsko spojrział na mnie. Na jednej z rozsypanych na stole kartek widać było bardzo kiepski rysunek ośmiornicy. Stworzenie ma na głowie zawiązaną przepaskę z materiału w kropczki.

– O co chodzi, Tsukiko?

– Sensei, wie pan...

- Tak?
- Wie pan, Sensei...
- Aha?
- Sensei...
- Pytam przecież, co się stało, Tsukiko?
- Co pan powie na „morza szum blisko”?

Za nic nie potrafię przejść do sedna. Chociaż właściwie sama nie wiem, czy sednem jest to, co dzieje się między Senseiem a mną, czy też coś innego.

– Czyli ma być: „Ciała ośmiornic, czerwienieją niewyraźnie, morza szum blisko”, czy tak? Ho, ho.

Nie zwracając uwagi na moją desperację albo może umyślnie udając, że nie zwraca uwagi, Sensei zapisał haiku na kartce. Powtórzył przy tym całość.

– Zupełnie dobrze. Masz wycucie, Tsukiko.

– Aha – odpowiadam. Ukradkiem, żeby nic nie zauważył, przyłożyłam papierową chusteczkę do ust i starłam szminkę. Sensei tymczasem mamrotał coś pod nosem i cały czas zabawiał się wierszem.

– A może by tak: „Morza szum blisko, ciała ośmiornic, czerwienieją niewyraźnie”, jak sądzisz, Tsukiko?

Tu już nie ma co się pytać, czy może by tak. Rozchyliłam pozbawione koloru wargi i jeszcze raz powiedziałam bezsilnie: – Aha. – Sensei zaś zapisywał wiersze na papierze i a to przekrzywił głowę, a to sam sobie potakiwał, jakby się przy tym wszystkim doskonale bawił.

– To z wiersza Bashō – powiedział.

Nie miałam już siły, żeby mu odpowiadać. Tylko pokiwałam głową. Wśród haiku ułożonych przez Bashō było takie: „Zmierzcha się morze, tylko głos kaczki, bieleje niewyraźnie”²⁶, czy jakoś tak. Sensei zaczął mi to wyjaśniać, pisząc przy tym na papierze, jakby zaczynał prowadzić wykład. W środku nocy.

– Czyli możemy powiedzieć, że nasze wspólne haiku odwołuje się do wiersza Bashō. To był ciekawy wiersz, o zaburzonej rytmie. Nie powinno się zamieniać linijek: „Zmierzcha się morze, bieleje niewyraźnie, tylko głos kaczki”, bo wtedy „bieleje niewyraźnie” musiałoby się odnosić i do morza, i do głosu kaczki. A tak, gdy „bieleje niewyraźnie” przychodzi na końcu, wiersz nabiera życia. Rozumiesz? Rozumiesz to, prawda, Tsukiko? Jeśli masz ochotę, może ty też ułóż haiku?

I tak to się stało, że zaczęłam układać haiku wraz z Senseiem. Jak to w ogóle możliwe? Tymczasem minęła już druga. Co to ma być? Siedzimy i licząc na palcach sylaby, układamy liche wierszyki w rodzaju:

*W ciemności zmierzchu ćma do światła lecąca
musi być smutna.*

Zirytowana tym wszystkim, zaczęłam układać haiku, żeby mu pokazać. Robiłam to pierwszy raz w życiu, ale spływały mi spod palców jedno za drugim. Napisałam najpierw dziesięć, potem doszłam do dwudziestu. Wreszcie tak mnie to zmęczyło, że wyciągnęłam się na matach, z głową na pościeli Senseia. Natychmiast powieki mi się zamknęły i za nic nie mogłam ich otworzyć. Ktoś przeciągnął mnie na pościel i ułożył pośrodku (zapewne był to Sensei), ale na tym etapie byłam już prawie nieprzytomna.

²⁶ Haiku w przekładzie Agnieszki Żuławskiej-Umedy. *Haiku*, tłumaczenie i wstęp A. Żuławska-Umeda, Bielsko-Biała 2006, s. 215.

Kiedy się obudziłam, znów słycać było szum fal, a przez szczeliny między zasłonami sączył się blask słońca.

Czując, że jest mi trochę ciasno, spojrzałam w bok: Sensei spał koło mnie. A ja leżałam z głową na jego ramieniu. – Ach – wyrwało mi się, i natychmiast się podniosłam. Niewiele myśląc, zwałam do własnego pokoju. Najpierw zakopałam się w pościeli, ale zaraz z niej wyskoczyłam i zaczęłam krążyć po pokoju. Rozsunęłam zasłony, zasunęłam je z powrotem, jeszcze raz się położyłam i naciągnęłam kołdrę aż po czubek głowy, po czym znów wyskoczyłam z pościeli i mając zupełną pustkę w głowie, wróciłam do pokoju Senseia. W przyćmionym świetle, bo zasłony ciągle jeszcze były zasunięte, Sensei miał już otwarte oczy i czekał na mnie.

– Chodź, Tsukiko – powiedział miękko, odwijając róg pościeli.

– Tak – odpowiedziałam cichutko i wślizgnęłam się pod kołdrę. Ciepło od jego ciała przyplęnęło do mnie – Sensei – szepnęłam i schowałam twarz na jego piersi. Poczułam jego pocałunki na włosach. Dotknął mojej piersi przez yukatę, a potem już nie przez nią.

– Masz piękne piersi – powiedział. Takim samym tonem jak wtedy, kiedy objaśniał mi wiersz Bashō.

Zachichotałam, a on mi zawtórował.

– Tsukiko ma piękne piersi. I jest grzeczną dziewczynką.

I pogłaskał moją głowę. Wiele razy. Gdy mnie tak głaskał, znów poczułam się senna. – Będę spać, Sensei – szepnęłam, a on odpowiedział, że tak, śpijmy, Tsukiko.

– Ja wcale nie chcę zasypiać – mruknęłam znów, ale nie byłam już w stanie utrzymać oczu otwartych. Czyżby z dłoni Senseia spływał jakiś środek usypiający? Nie chcę spać. Chcę, żeby mnie objął. Chciałam to powiedzieć, ale czułam, że mój język zeszytywniał.

– Nie chcę... nie chcę... chcę... spaa...ć – z moich ust wyrrywają się strzępki słów. Dłoń Senseia w końcu zatrzymała się sama nie wiem kiedy. Słyszę, że oddycha już przez sen.

– Sensei – odezwałam się, zbierając resztki sił.

– Tsukiko – odpowiedział i to też brzmiało, jakby zebrał resztę swoich sił.

Moje uszy też już próbują zapaść w sen, ale cicho zaczynają w nich rozbrzmiewać krzyki mew unoszących się nad morzem. Sensei, nie wolno spać, próbuję powiedzieć, ale nie mogę. Wtulona w jego ramię, daję się wciągnąć w głębokie uśpienie. Tracę nadzieję. Tracąc nadzieję, daję się wciągnąć w moje własne głębokie uśpienie, jakże oddalone od snu Senseia. Kilka mew nawołuje się w promieniach porannego słońca.

Nad morzem. Sen

Coś dziwnie szumi na dworze, pomyślałam i wyjrzałam za okno: to było drzewo, kamforowiec. Chodź, chodź, chodź! – można było usłyszeć w tym szumie, albo i kto, kto, kto? Otworzyłam szeroko okno, wysunęłam głowę. Między gałęziami drzewa kręcą się nieduże ptaszki. Szybko. Aż nie mogę dojrzeć, jak wyglądają. Domyślałam się, gdzie są, bo za każdym razem, kiedy przelatują, liście w pobliżu się poruszają.

To mi przypomina, że do drzewa wiśni w ogrodzie Senseia wtedy też przylatywały ptaki. Była noc. W ciemności trzepotały skrzydłami, później wszystko się uspokoiło. Ptaszki w gałęziach kamforowca nie uspokajają się ani na moment. Latają w kółko. Za każdym razem kamforowiec szeleści: Chodź, chodź, chodź!

Przez jakiś czas nie spotykałam Senseia. Chociaż bywałam u pana Satoru, nie zdarzyło mi się zobaczyć postaci Senseia przy barze.

Wysłuchując się w ten szum i wołanie kamforowca: Chodź, chodź, chodź!, postanowiłam, że dziś wieczorem też tam pójde. Sezon na bób się skończył, ale z pewnością podadzą już młodziutką soję gotowaną w strączkach. Ptaszki uganiają się bez końca w gałęziach kamforowca i napełniają gęstwinię swoimi głosami.

– Tofu na zimno – zamówiłam i usiadłam przy barze.

Senseia nie ma. Ani przy stoliku na podwyższeniu, ani przy którymś ze zwykłych stołów.

Wypiłam piwo, przerzuciłam się na sake, a on wciąż się nie pojawiał. Przez jedną krótką chwilę rozważałam pójście do jego domu, ale to już byłoby narzucanie się. Siedziałam i sączyłam alkohol, aż zrobiłam się senna.

Poszłam do łazienki i siedząc na sedesie, zerknęłam przez okno na zewnątrz. Robiąc siusiu, pomyślałam, że był chyba taki wiersz, coś w rodzaju: „Spojrzałam z okna ubikacji, niebo było błękitne, smutno mi się zrobiło...”. Tak, okna w ubikacji rzeczywiście mają w sobie coś takiego, co wywołuje smutek.

A może jednak spróbować zajrzeć do niego do domu? Obracając tę myśl w głowie, wyszłam z łazienki i wtedy zobaczyłam Senseia. Siedział porządnie wyprostowany, na miejscu o jedno oddalonym od mojego.

– Proszę, tofu na zimno.

Sensei odebrał miskę podaną mu ponad ladą przez pana Satoru i starannie polał tofu sosem sojowym. Delikatnie chwycił kawałek pałeczkami i podniósł do ust.

– Bardzo dobre – powiedział, obracając się gładkim ruchem do mnie. I te słowa też zabrzmiały gładko, zupełnie jakby kontynuował wcześniejszą rozmowę, nawet nie przywitał się ze mną.

– Ja też przed chwilą to jadłam – zagadnęłam, a on lekko skinął głową.

– Tofu to coś wspaniałego.

– Aha.

– Czy na gorąco, gotowane w wodzie, czy na zimno, jest dobre. Czy gotowane w zupie, czy smażone, jest dobre. Ma wszechstronne zastosowanie – recytował Sensei bez zajknięcia, podnosząc do ust nieduży kieliszek.

– Napijmy się, Sensei, dawno się nie widzieliśmy – powiedziałam i nalałam sake do jego kieliszka.

– Napijmy się, ty też, Tsukiko – odpowiedział jak echo.

I w końcu tej nocy upiłam się. Upiłam się jak jeszcze nigdy dotąd.

To chyba są statki daleko na morzu, te kreski jak igły ułożone na horyzoncie? Przez chwilę oboje wyteżaliśmy wzrok. Kiedy tak patrzyliśmy bez ruchu, zaraz poczułam, że mi oczy wysychają. Mnie to się zaraz znudziło, ale Sensei wpatrywał się i wpatrywał.

– Sensei, czy nie jest panu gorąco? – spytałam, ale on pokręcił głową.

Gdzie ja jestem, pomyślałam. Piłam sake z Senseiem. Nie pamiętam, ile opróżnionych karafek naliczyłam.

– O, to małże *asari* – mruknął Sensei, przenosząc spojrzenie z horyzontu na kawałek brzegu odsłonięty przez odpływ. Było tam widać wielu ludzi, którzy szukali małży. – Sezon już minął, ale w tej okolicy powinno się chyba jeszcze dać coś złapać.

– Sensei, gdzie my jesteśmy? – zapytałam.

– Znów tu jestem – odpowiedział tylko.

– Mówi pan: znów?

– Tak, znów – odparł. – To miejsce, do którego co jakiś czas przybywam. Jeśli o mnie chodzi, ja jednak od *asari* wolę małże *hamaguri* – mówił dziarsko Sensei, zupełnie jakby chciał powstrzymać mnie od dopytywania się, gdzie jest to miejsce, do którego co jakiś czas przybywa.

– A ja lubię *asari* – odpowiedziałam, łapiąc się na dziarskość jego tonu.

Ptaki morskie krążą na niebie, łopocząc skrzydłami. Sensei ostrożnie postawił na skale swoją buteleczkę z porcją sake. Została w niej jeszcze połowa napoju.

– Napij się, proszę, Tsukiko, jeżeli masz ochotę.

Tak zachęcona przez niego spojrzałam na swoją rękę i dopiero teraz zauważyłam, że pojawiła się w niej taka sama buteleczka. Była prawie pusta.

– Jak skończysz, czy mogę jej użyć jako popielniczki? Tej twojej butelki? – dodał, więc szybko wysączyłam alkohol. – Przepraszam cię – powiedział i odebrał ode mnie butelkę.

Strząsnął do niej popiół z zapalonego papierosa. Na niebie ścielą się cienkie chmury. Od strony brzegu morza co jakiś czas dolatują do nas okrzyki dzieci. Chyba wołają, że o, takiego wielkiego małża znalazły.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Sensei, kierując wzrok ku otwartemu morzu.

– Chyba wyszliśmy z baru pana Satoru, prawda? Być może nie wyszliśmy.

– Co?!

To moje „co” zabrzmiało nieprzyjemnie głośno, aż się zdziwiłam. Sensei wpatruje się w morze. Wiatr jest wilgotny. Czuje się w nim zapach morza.

– Co jakiś czas tutaj przybywam, ale dziś po raz pierwszy z kimś. – Sensei zmrugał oczy. – Choć może tylko wmówiłem sobie, że przybyliśmy tu razem.

Promienie słońca palą. Ptaki morskie machają hałaśliwie skrzydłami. Nie można powiedzieć, że dźwięk ich skrzydeł nie brzmi jak chodź, chodź, chodź! W mojej ręce pojawiła się buteleczka z sake. Jest pełna. Wysuszyłam ją jednym haustem, ale zupełnie nie czuję działania alkoholu.

– To takie właśnie miejsce – mówi Sensei, jakby do siebie. A do mnie: – Chwileczkę.

Kiedy to mówi, jego sylwetka zaczyna się rozmywać.

– Co się stało? – pytam.

Jego twarz posmutniała.

– Na pewno znów tu przybędę – powiedział i z tymi słowy nagle znikł. Razem z papierosem, którego właśnie palił.

Obeszłam całkiem sporo metrów kwadratowych, ale nigdzie go nie ma. Zajrzałam za skały, nie ma. Zrezygnowana usiadłam na skale i wypiałam wszystko na raz. Odstawiłam butelkę i gdy tylko odwróciłam wzrok, zniknęła. Tak samo jak Sensei. Czy to jest takie właśnie miejsce? Wpatrywałam się w morze i piłam sake z miniaturowych butelek, które pojawiały mi się w ręce jedna za drugą, ile tylko chciałam.

Zgodnie z obietnicą Sensei pojawił się po chwili.

– Która to już butelka? – rzekł, wychodząc zza moich pleców.

– Hm... – Trochę się już upiłam. Można sobie mówić, że to „takie właśnie miejsce”, ale jednak i tu trudno się nie upić, skoro się tyle wypilo.

– Znów tu przybyłem – powiedział sucho.

– Wrócił pan do baru pana Satoru? – zapytałam, ale on pokręcił głową.

– Wydaje się, że wróciłem do domu.

– Ach tak? Cóż, nie trwało to długo.

– Osoby będące pod wpływem alkoholu mają podobno zadziwiająco silny instynkt powrotu do domu – powiedział Sensei uroczyście.

Roześmiałam się i przez to cała zawartość butelki wylała mi się na skały.

– Daj mi ją potem, tę pustą.

Tak samo jak przedtem, Sensei miał w ręce papierosa. W barze prawie nigdy nie sięgał po papierosy, ciekawe, czy kiedy dociera tutaj, zawsze pali tak dużo? Stracił słupek popiołu, który już, już miał się osypać, do pustej butelki.

Większość ludzi, którzy byli na brzegu morza odsłoniętym przez odpływ, miała na głowach kapelusze. Kucali w tych swoich kapeluszach i zbierali małże. Od pupy każdego z nich ciągnął się krótki cień. Wszyscy grzebią w piasku w poszukiwaniu małży zwróceni pod tym samym kątem do słońca.

– Co ich tak w tym bawi, tych tam? – powiedział Sensei, starannie gasząc papierosa o brzeg butelki.

– Jak to co?

– Jakieś małże wygrzebują.

Niespodziewanie Sensei zaczął na tej skale stawać na głowie. Ponieważ sama skała jest przekrzywiona, jego ciało też zaczęło się przechylać. Trochę się zachwiał, ale zaraz się wyprostował.

– Może chcą je zjeść na kolację – odpowiedziałam. Z dołu dobiegł mnie jego głos:

– Będą je jeść?

– Albo hodować.

– Będą hodować małże *asari*?

– Dawno temu zdarzyło mi się hodować ślimaki.

– Nie ma nic dziwnego w hodowaniu ślimaków.

– Też są chyba małżami.

– Tsukiko, czy ślimaki są rzeczywiście małżami?

– Nie są, prawda?

Cały czas stoi na głowie. Przestaję się już temu dziwić. To jest takie właśnie miejsce. Ach, przypomniałam sobie. Jego żonę. Nigdy jej nie spotkałam, ale teraz to ja ją sobie przypomniałam, jakbym się zamieniła z Senseiem.

Żona była dobra w sztuczkach magicznych. Poczynając od podstawowych, takich jak manipulowanie czerwoną kulką między palcami, do całkiem skomplikowanych, w których wykorzystuje się zwierzęta, opanowała je wszystkie metodycznie. Nie o to chodziło, żeby występować przed ludźmi. Po prostu ćwiczyła je sama, w domu. Zdarzało się czasem, choć bardzo rzadko, że pokazywała mężowi opanowaną właśnie sztuczkę. Wiedział, że w ciągu dnia ćwiczyła je pilnie, ale jakie, do jakiego stopnia? Wiedział też, że trzymała w domu królika czy gołębia, które miały być w nich wykorzystywane, jednak króliki i gołębie przeznaczone do sztuczek magicznych były mniejsze niż zwykle i raczej mało aktywne, tak że szybko zapominało się o ich istnieniu w domu.

Pewnego razu Sensei wyszedł w dzień ze szkoły, gdyż miał sprawę do załatwienia, i właśnie przechodził przez pasaż handlowy, kiedy zobaczył, że z naprzeciwka idzie kobieta, która wyglądała jak sobowtór jego żony. Była podobna, ale jej zachowanie i strój różniły się od tego, jak jego żona zachowywała się i ubierała na co dzień. Kobieta miała na sobie wyzywającą sukienkę z odsłoniętymi ramionami. Szła pod rękę z wystrojonym w bardzo krzykliwy garnitur brodatym mężczyzną, który z całą pewnością nie mógł należeć do przyzwoitego świata. Owszem, żona była skłonna robić to, na co miała ochotę, ale nie lubiła znajdować się w centrum uwagi. Skoro tak, uznał Sensei, to zapewne nie ona, tylko ktoś inny, i przestał na nią patrzeć.

Kobieta podobna do jego żony i brodaty mężczyzna zbliżali się do niego szybkim krokiem. Sensei najpierw odwrócił wzrok, ale po chwili znów musiał na nich spojrzeć, jakby go przyciągali. Kobieta śmiała się. Śmiała się tak samo jak jego żona. Ze śmiechem wyjęła z kieszeni gołębia i posadziła go na ramieniu Senseia. Następnie zza pazuchy wyjęła malutkiego królika i posadziła go na jego drugim ramieniu. Królik siedział nieruchomo niczym figurka. Sensei także zastygł na miejscu. Na koniec kobieta wyjęła spod spódnicy małpę i ją z kolei dała mu do niesienia na plecach.

– I jak, co na to powiesz? – powiedziała wesoło.

– Czy ty naprawdę jesteś Sumiyo?

Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, kobieta syknęła karcąco na gołębia, który zaczął trzepotać skrzydłami.

Gołąb natychmiast się uciszył. Brodaty mężczyzna i kobieta mocno trzymają się za ręce. Sensei delikatnie postawił królika i gołębia na ziemi, ale z usunięciem małpy, która wczepiła się w jego plecy, miał kłopot. Mężczyzna przytulił kobietę do siebie. Objął ją, odwrócili się i poszli. Po prostu odeszli, kiedy Sensei był unieruchomiony przez małpę.

– Pana żona miała na imię Sumiyo, czy tak, Sensei? – zapytałam, a on przytaknął.

– Sumiyo. Była dziwną kobietą.

– Tak?

– Jakieś piętnaście lat temu odeszła z domu i chyba potem przenosiła się z miejsca na miejsce. I wiesz, przysyłała mi z tych miejsc pocztówki. Wszystko jak należy.

Sensei porzucił wreszcie to stanie na głowie i usiadł po japońsku na skale. Mówi o swojej żonie, że była dziwną osobą, ale tutaj, nad morzem, w miejscu, które odsłonił odpływ, sam też był dziwny.

– Ostatnia pocztówka dotarła do mnie pięć lat temu i miała pieczętkę z tej wyspy, na której niedawno byliśmy.

Na brzegu morza pojawiło się więcej ludzi. Odwróceniu pupami w naszą stronę, gorliwie kopali w piasku, szukając małży. Słychać głosy dzieci. Brzmia jednak trochę zwolnione, jakby były odtwarzane z rozciągniętej taśmy.

Próbując wdmuchnąć dym z papierosa do małej butelki po sake, Sensei przymyka oczy. Skoro potrafię tak wyraźnie przypomnieć sobie wydarzenia związane z jego żoną, której przecież nigdy nawet nie spotkałam, to może mogłabym i coś własnego...? Ale nic sobie nie przypominam. Łódź płynąca w oddali po morzu wydaje się lśnić.

– Co to jest za miejsce, tutaj?

– Wydaje się, że to coś w rodzaju miejsca przejściowego.

– Przejściowego?

– Nazwijmy to pograniczem.

Czego to może być pogranicze? Czy on zawsze przybywa właśnie do takiego miejsca? Wypiłam duszkiem kolejną butelkę sake, nie wiem, która to już będzie, i spojrzałam na brzeg morza. Sylwetki ludzi są niewyraźne, jakby zamglone.

– Psa, wiesz? – zaczął Sensei, odstawiając pustą butelkę na skałę.

Butelka zniknęła, gdy na nią patrzyłam.

– Mieliśmy psa. To było chyba wtedy, kiedy syn był jeszcze mały. Rasy shiba. Jeśli o mnie chodzi, z psów lubię właśnie shiba. Żona wolała kundelki. Kiedyś dostała od kogoś i przyprowadziła do domu przedziwnego psa, który wyglądał na mieszankę jamnika i buldoga. Ten to żył chyba całkiem długo. Żona bardzo go hołubiła. A ten shiba był chyba wcześniej. Zjadł coś niedobrego, rozchorował się, nie trwało to długo i zdechł. Oczywiście, syn go opłakiwał. Nawet mnie było smutno. A żona ni jednej łzy nie uroniła. Przeciwnie, zdawało się, że jest zła. Mam na myśli, że zła na nas, na syna, który ciągle pochlipywał, i na mnie.

Pochowaliśmy go w ogrodzie, a żona nagle mówi:

„Wszystko jest w porządku, on się przecież odrodzi. – Tak właśnie powiedziała do syna: – Chiro wkrótce się odrodzi w nowym ciele”.

„Ale jako co się odrodzi?” – zapytał chyba syn, trąc oczy spuchnięte od płaczu.

„Odrodzi się jako ja”.

„Co?!” – krzyknął syn i wytrzeszczył oczy. Ja też się zadziwiłem. Co też ta kobieta opowiada. Nie ma w tym żadnego sensu. A i pociecha z tego żadna.

„Mamo, nie mów takich dziwnych rzeczy” – powiedział syn na pół zagniewanym głosem.

„Phi, to wcale nie jest dziwne” – odpowiedziała Sumiyo i szybko weszła do domu.

Najpierw dni płynęły spokojnie, ale jakiś tydzień później w czasie kolacji Sumiyo niespodziewanie zaszczekała.

Brzmiało to jak: „Hau!”. Chiro szczekał dość wysokim głosem i jej szczekanie było identyczne. Cóż, skoro żona potrafi wykonywać sztuczki magiczne, widać jest zręczniejsza niż inni. Niemniej jednak ten głos był naprawdę identyczny.

„Takie żarty wcale nie są zabawne, przestań” – powiedziałem, ale ona nie reagowała. Poszczekiwała przez całą kolację: hau, hau. I syn, i ja straciliśmy apetyt i szybko wstaliśmy od stołu.

Następnego dnia Sumiyo znów była normalną żoną i matką, ale nasz syn nie dał się tak łatwo uspokoić. „Mamo, powinnaś nas przeprosić” – atakował Sumiyo z bardzo wzburzoną miną.

Ona patrzyła na syna, jakby w ogóle nie wiedziała, o co mu chodzi. „Przecież odrodził się. We mnie, Chiro powrócił”.

Mówiła to zupełnie lekkim tonem, a to sprawiło, że syn zaperzał się coraz bardziej. I skończyło się tak, że ani jedno, ani drugie nie ustąpiło. Od tego wydarzenia stosunki Sumiyo i syna stawały się coraz trudniejsze. Kiedy syn skończył liceum, wybrał odległy uniwersytet i tam zamieszkał na stacji, po czym w tym samym miejscu znalazł zatrudnienie. Nawet kiedy na świecie pojawiły się wnuki, rzadko się odwiedzaliśmy. Pytałem Sumiyo, czy wnuczeta nie wydają jej się urocze, czy nie chce ich ciągle oglądać, ale odpowiadała tylko: „Nieszczęśliwie” albo jakoś podobnie. A po jakimś czasie uciekła ode mnie.

– Dobrze, ale w takim razie co to za miejsce?

Nie wiem, który raz już o to pytam. Podobnie jak poprzednio, Sensei nie odpowiada. Czy Sumiyo nie lubiła poczucia nieszczęścia? Może nie lubiła ubolewania nad nieszczęściem?

– Sensei, bardzo pan się nad nią użalał?

Fuknął cicho i zerknął na mnie.

– Ona robiła, co chciała, wszystko jedno, czy się nad nią użalać, czy nie.

– Ach tak?

– Robiła, co jej przyszło do głowy, samowolnie, wszystko, cokolwiek sobie zażyczyła.

– Te zwroty mają to samo znaczenie.

– Tak, mają to samo znaczenie.

Brzeg morza odsłonięty przez odpływ zupełnie się już rozwiął i nic nie widać. Niczego nie ma, stoimy we dwoje z Senseiem chyba w powietrzu i trzymamy w rękach buteleczki z sake.

– Co to za miejsce?

– Tutaj jest, cóż, tutaj.

Chwilami z dołu dobiegają nas głosy dzieci. Niewyraźne, dziwnie rozciągnięte.

- Byliśmy młodzi. I ja, i Sumiyo.
- Teraz też jest pan młody.
- Nie w tym sensie.
- Sensei, mam już dość tej sake w miniaturowych buteleczkach.
- To może zejdziemy nad morze i nakopimy trochę małży?
- Na surowo nie da się ich zjeść.
- Możemy je upiec. Rozpalić ogień.
- Upiec?
- Trochę to kłopotliwe.

Coś zaszeleściło głośno. Za oknem szeleści drzewo kamforowe. To dobra pora roku. Często zaczyna padać deszcz, ale ten deszcz sprawia, że wilgotne liście kamforowca aż lśnią. Sensei pali papierosa, jakby zamyślony.

Miałam wrażenie, że jego wargi poruszyły się i powiedział: „To miejsce jest pograniczem”, ale czy rzeczywiście wymówił to głośno?

– Kiedy zaczął pan tutaj przychodzić? – zapytałam, a on się uśmiechnął.

– Mniej więcej kiedy byłem w twoim wieku, Tsukiko. Jakoś tak się dzieje, że nabiera się ochoty, by tu przybyć.

– Sensei, wróćmy już do baru pana Satoru. Nie zostawajmy dłużej w tym dziwnym miejscu, wracajmy – poprosiłam. – Wracajmy.

– Dobrze, odpowiada Sensei – ale jak się stąd wraca?

Od strony morza podniosły się liczne głosy. Kamforowiec za oknem głośno szeleści. Sensei i ja, z małymi buteleczkami sake w rękach, stoimy i stoimy. A liście kamforowca za oknem wciąż bawią się w Chodź, chodź, chodź!

Świerszcz

Ostatnio przez dłuższy czas nie spotykałam się z Senseiem.

Ale to nie dlatego, że byliśmy w tym dziwnym miejscu, tylko dlatego, że go unikam.

Nawet się nie zbliżam do baru pana Satoru. Nie wychodzę na spacerzy wieczorem w dni wolne. Nie zaglądam do pasażu handlowego, przy którym jest stary targ, tylko robię szybkie zakupy w dużym supermarkecie przy dworcu. W okolicy jest jeden antykwariat i dwie księgarnie – nie zachodzę do nich. Gdyby to było właśnie to, czego pragnę – cóż, pewnie skończyłoby się tak, że już byśmy się nie spotkali. To proste.

Skoro to jest takie proste, moje życie może się tak właśnie skończyć, bez następnego spotkania. Gdybym miała już nigdy więcej go nie spotkać, zapewne przestałabym o nim myśleć.

Co mi przypomina, że moja nieżyjąca już cioteczna babcia mawiała, że jak się nie podlewa, to nie urośnie. Babcia była taką osobą, że choć mocno starsza, wydawała się dużo bardziej otwarta niż moja mama i inni. Po tym jak zmarł dziadek, jej mąż, miała jeszcze kilku „chłopaków”. Wciąż się gdzieś z nimi kręciła: a to na kolację, a to na przejażdżkę, a to na partyjkę gateballa²⁷.

„Taka jest właśnie miłość” – mówiła babcia.

²⁷ *Gateball*, jap. *gētobōru*, podobna do krokieta gra, w której ponumerowane białe i czerwone kule członkowie dwóch rywalizujących drużyn odbijają tzw. młotkiem; gra została wymyślona przez Japończyka, Suzuki Kazunobu, w 1947 roku.

Jeśli to jest ważne dla nas uczucie, należy koniecznie o nie dbać, nie szczędząc wysiłku, tak samo jak o posadzone drzewko: dać mu nawozu czy zabezpieczyć gałęzie, żeby się nie połamały pod ciężarem śniegu. A jeśli to niezbyt ważna miłostka, można spokojnie zostawić odłogiem i poczekać, aż sama uschnie. Tak mówiła babcia, zupełnie jakby pisała porady do czasopism.

Jeśliby pójść tym tropem, wystarczy, że przez dłuższy czas nie będę spotykać Senseia, a moje uczucia do niego uschną.

I dlatego właśnie ostatnio unikam Senseia.

Jak wyjdzie się ode mnie i pójdzie kawałek wzdłuż głównej drogi, potem ulicą, która wchodzi między budynki mieszkalne, a dalej przejdzie jeszcze jakieś sto metrów wzdłuż rzeczki, dochodzi się do zakątka, w którym jest dom Senseia.

Dom nie stoi nad samą rzeczką, oddzielają go od niej trzy budynki. Jeszcze trzydzieści lat temu rzeczka często wylewała, tak że za każdym razem, kiedy okolicę nawiedzał trochę większy tajfun, fundamenty podchodziły wodą. W ramach prac melioracyjnych przeprowadzanych w okresie cudu gospodarczego rzeczka została zamknięta w betonowych ścianach. Pogłębiono jej łożysko, poszerzono.

Przedtem jej nurt był szybki. Woda – trudno powiedzieć, czysta czy brudna – gładko przesuwała się przed oczami. Podobno zdarzały się tam próby samobójcze, może dlatego, że przyjazny nurt zdawał się zachęcać... Słyszałam, że były jednak przeważnie nieudane, ludzie nie szli na dno i nie topili się, tylko wyławiano ich trochę niżej.

Dawniej miałam w zwyczaju w wolne dni spacerować wzdłuż rzeczki, nawet nie z myślą, żeby napotkać Senseia, tylko po prostu na targ koło dworca. Jeśli mam już się z nim nie spotykać, to i moje spacerowanie nie są możliwe. Znacznie mi to ogranicza możliwości spędzania czasu wolnego.

Przez jakiś czas próbowałam czego innego: jeździłam pociągiem do miasta i tam szłam do kina albo kupowałam sobie ubrania czy buty. Ale cokolwiek robiłam, nie czułam się z tym dobrze. Przesyczone zapachem prażonej kukurydzy powietrze w kinach w weekendy, ciężkie powietrze w jasno oświetlonych w letnie wieczory domach towarowych, chłód i hałas przy kasach w wielkich księgarniach – wszystko to było dla mnie zbyt ciężkie. Miałam wrażenie, że nie mogę tam oddychać.

Spróbowałam też sama wybrać się w weekend gdzieś za miasto. Kupiłam książkę zatytułowaną *Okoliczne hotele z gorącymi źródłami – podróże bez pośpiechu* i na próbę wybrałam się „bez pośpiechu” do kilku.

Wygląda na to, że ostatnio w hotelach nikt już nie patrzy podejrzliwie na kobietę podróżującą samotnie, nie to co dawniej. Sprawnie i energicznie pokazywano mi pokój, sprawnie i energicznie wyjaśniano, gdzie jest stołówka i łazienki, sprawnie i energicznie podawano godziny, kiedy należy się wymeldować.

Skoro tak, to ja też sprawnie i energicznie korzystałam z kąpeli, sprawnie i energicznie zjadałam kolację, sprawnie i energicznie jeszcze raz wchodziłam do kąpeli, a potem nie miałam już co robić. Sprawnie i energicznie kładłam się spać, a następnego dnia sprawnie i energicznie opuszczałam hotel, i to wszystko.

A przecież tyle lat przeżyłam z przyjemnością w pojedynkę. Co się ze mną stało?

Szybko znudziłam się tymi „podróżami bez pośpiechu”. Na spacery wzdłuż rzeki nie mogłam przecież już chodzić, więc po prostu leżałam w moim pokoju i pogrążałam się w myślach.

Czy ja rzeczywiście dotąd żyłam „z przyjemnością” sama?

Przyjemnie. Ciężko. Miło. Słodko. Gorzko. Słono. Swędzi. Łaskocze. Zimno. Gorąco. Letnio.

To jak ja właściwie przeżyłam to życie dotąd?

A kiedy tak myślę i myślę, robię się senna. Ponieważ leżę, powieki szybko zaczynają mi ciążyć. Oparta o złożoną wpół poduszkę do siedzenia na podłodze nawet nie zauważam, kiedy zapadam w sen. Słaby wiaterek, który napływa zza siatki przeciw komarom w oknie, wieje trochę nade mną. Z oddali słychać cykad.

Dlaczego właściwie zaczęłam unikać Senseia? Ta myśl pojawia się wśród innych, podobnych marzeniom sennym, i zastanawiam się nad tym na granicy snu i jawy. We śnie idę białą, pokrytą pyłem drogą. Rozglądam się za Senseiem i idę tą białą drogą, na którą z góry spływają dźwięki cykad.

Ciągle nie mogę odnaleźć Senseia.

Ach, prawda, przypominam sobie, przecież postanowiłam, że Senseia trzeba schować do pudełka. Owinęłam go w kawałek jedwabiu z porządnymi, krytymi szwami i schowałam do tego dużego pudełka z drewna paulowni, które stoi w głębi szafy ściennej.

Nie można go już stamtąd wyjąć. Szafa jest zbyt głęboka. Jedwab jest miękki w dotyku. To dlatego, że Sensei chce być cały czas owinięty. W pudełku panuje półmrok. To dlatego, że Sensei chce cały czas drzemać.

Myśląc o Senseiu, który leży z otwartymi oczami w pudełku, w skupieniu krocze białą drogą. Szaleńcze dźwięki cykad spływają z góry na moją głowę.

Po raz pierwszy od dawna spotkałam się z Kojimą Takashim. Mówił, że wyjechał służbowo na cały miesiąc. Miał dla mnie prezent z podróży: masywnego metalowego dziadka do orzechów.

- A gdzie byłś? – zapytałam, bawiąc się prezentem.
- Tu i tam, na zachodzie Stanów – odpowiedział.
- Tu i tam? – zapytałam ze śmiechem i on też się roześmiał.

– To były małe miasteczka, o których raczej nigdy nie słyszałaś, moja miła Tsukiko.

Udałam, że nie słyszę, jak nazwał mnie swoją miłą Tsukiko.

– A co miałeś do roboty w tych miasteczkach o nieznanym mi nazwach?

– O, różne rzeczy.

Jego ramiona są mocno opalone.

– Opaliło cię amerykańskie słońce – mówię i Kojima Takashi kiwa głową.

– Chociaż jak się tak zastanowić, nie ma ani amerykańskiego słońca, ani japońskiego słońca. Przecież słońce jest tylko jedno.

Patrzyłam bezmyślnie na ramiona Kojimy i z trzaskiem to otwierałam, to zamykałam dziadka do orzechów. Przecież słońce jest tylko jedno. Zwiedziona przez takie słowa zaraz popadnę w jakieś sentymentalne rozważania. Na szczęście udało mi się powstrzymać.

– A ja, wiesz...

– Aha?

– Spędziłam to lato tak bez pośpiechu.

– Bez pośpiechu?

– Bez pośpiechu jeździłam sobie tu i tam.

– To brzmi bardzo stylowo i zazdroścę ci – powiedział Kojima Takashi lekkim tonem.

– Stylowo, stylowo – odpowiedziałam mu równie lekko.

Dziadek do orzechów połyskuje słabo w przyćmionym świetle w barze Maeda. Wypiliśmy po dwie whisky z wodą sodową. Zapłaciliśmy i skierowaliśmy się ku schodom. Zatrzymaliśmy się na ostatnim stopniu i wymieniliśmy lekki uścisk dłoni, jakbyśmy byli sobie zupełnie obcy. A potem pocałowaliśmy się lekko, też jak obcy ludzie.

– To wszystko jest jakieś takie bez pokrycia.

– To dlatego, że tak sobie żyłam bez pośpiechu – odpowiedziałam, a on pokręcił głową.

– A co to ma znaczyć, moja miła Tsukiko?

– Nie jesteśmy w takich stosunkach, żebyś mnie tu „miłą Tsukiko” nazywał.

– Wcale nie – odparł.

– Wcale tak – rzuciłam, a on się roześmiał.

– Ech, lato się już kończy.

– Tak, lato się już kończy.

A potem jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie jak obcy ludzie i rozeszliśmy się.

– Pani Tsukiko, dawno tu pani nie widzieliśmy – przywitał mnie pan Satoru.

Było już po dziesiątej. W barze zaraz zaczną pewnie pytać o ostatnie zamówienia. Minęły dwa miesiące, odkąd tu ostatnio byłam.

Wracałam właśnie z przyjęcia pożegnalnego zorganizowanego dla jednego z moich przełożonych, który przeszedł na emeryturę. Wypiłam więcej niż zwykle. Czułam się pełna sił. Zresztą, minęły dwa miesiące, chyba już nie mam się czego bać, takie myśli pojawiały się w mojej pijanej głowie.

– Dawno się nie widzieliśmy – powiedziałam trochę bardziej piskliwym niż zwykle głosem.

– Co pani podać? – zapytał pan Satoru, podnosząc głowę znad deski do krojenia.

– Jedną karafkę zimnej. I soję w strączkach.

– Tajes – odpowiedział i znów pochylił się nad swoją deską.

Przy barze nie ma żadnych gości poza mną. Przy stołach są dwie pary mieszane, siedzą naprzeciwko siebie i cicho rozmawiają.

Sącę moją zimną sake. Pan Satoru milczy. W radiu mówią o wynikach rozgrywek baseballowych.

– Giganci wreszcie się odbili – mruknął pan Satoru.

Brzmi, jakby mówił do siebie. Rozejrzałam się po barze.

W stojaku przy drzwiach drzemią zapomniane przez właścicieli parasole. Przez kilka ostatnich dni nie spadła ani kropla deszczu.

– Cyk, cyk, cyk... – rozległo się spod moich stóp. Najpierw pomyślałam, że to dźwięk z transmisji baseballa, ale nie, to chyba jednak owad. Jeszcze przez chwilę niosło się cykanie, po czym ucichło. Zdążyłam pomyśleć, że ucichło, a znów się rozległo.

– Jakiś owad – mruknęłam, gdy pan Satoru podawał mi talerzyk z parującymi zielonymi strączkami młodej soi.

– Chyba świerszcz. Od rana słyszę, że gdzieś tu jest – powiedział.

– Gdzieś tutaj, w barze?

– Tak, wygląda na to, że gdzieś tam siedzi, tam gdzie ten beton, koło odpływu. Sam jeden.

Świerszcz znów zaczął cykać, jakby dostosowywał się do jego głosu.

– Sensei mówił, że się przeziębził, ciekawe, czy już mu lepiej?

– Ach.

– W zeszłym tygodniu, wie pani, przyszedł wczesnym wieczorem i strasznie kasłał. A potem już ani razu go nie widziałem, więc... – powiedział pan Satoru, stukając w swoją deskę.

– Nie przyszedł tu więcej? – zapytałam.

Mój głos zabrzmiał niemiło piskliwie. Miałam wrażenie, że to ktoś inny mówi.

– No.

Świerszcz cyka cicho. Wsluchiwałam się w głośnie bicie serca. Znieruchomiła, wsluchiwałam się w szum krwi płynącej przez moje ciało. Moje serce stopniowo przyspiesza.

– W porządku? – Pan Satoru zerknął przelotnie na moją twarz.

Nie odpowiedziałam na to, milczałam. Świerszcz grał. A potem przestał. Moje serce wciąż nie zwalnia. Rozdzwania moje ciało wysokimi dźwiękami.

Pan Satoru bez końca stuka nożem w deskę do krojenia. Świerszcz znów zaczyna grać.

Zastukałam do drzwi.

Najpierw przez dobre dziesięć minut kręciłam się niepewnie przed bramą jego domu. Nawet wyciągnęłam rękę do przycisku dzwonka, ale wtedy poczułam, że moje palce zeszywniały, jakby zamarzły. Potem zaszłam od strony ogrodu i próbowałam zajrzeć przez taras, ale okiennice były zatrzęsnięte na głucho.

Przez chwilę nasłuchiwałam przez okiennice: było cichuteńko. Przeszłam na tył domu i tam zobaczyłam stłumione światło w kuchni, więc trochę się uspokoilałam.

– Sensei! – zawołałam na próbę przez drzwi wejściowe, ale oczywiście nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Zresztą, nawet nie wołałam na tyle głośno, by móc liczyć na odpowiedź.

Jeszcze kilka razy zawołałam „Sensei!”, ale nocna ciemność wessała mój głos. Wreszcie zastukałam do drzwi.

Słyszać czyjeś kroki w korytarzu.

– Kto tam?

Głos miał zachrypnięty.

– To ja.

– Skąd mam wiedzieć, co to za „ja”, Tsukiko.

– No przecież wie pan jednak.

I gdy tak rozmawialiśmy, drzwi się otworzyły. Za nimi stał Sensei w pasiastych spodniach od pizamy, a do tego miał koszulkę z napisem I^a NY.

– Co się stało? – zapytał Sensei spokojnym głosem.

– Bo wie pan...

– Panie nie powinny odwiedzać panów o takiej porze.

Wygląda tak jak zawsze. Gdy tylko zobaczyłam jego twarz, poczułam, że nogi mi miękną.

– Co też pan opowiada, przecież jak się pan upije, sam mnie pan zaprasza.

– Dziś nie jestem ani trochę pijany.

Mówi tak, jakbyśmy jeszcze chwilę wcześniej byli razem. Zaczynam się czuć jakby te dwa miesiące, kiedy starałam się trzymać od niego z daleka, w ogóle nie istniały.

– Pan Satoru mówił, że pan chory...

– Owszem, byłem przeziębiony, niemniej jednak czuję się nadzwyczaj dobrze.

– Dlaczego ma pan taką dziwną koszulkę?

– Donaszam po wnuku.

Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Broda mu podrosła. Siwe, niestarannie zapuszczone włosy.

– A myśmy się dawno nie widzieli, Tsukiko.

Sensei zmrugał oczy. On nie odwrócił spojrzenia, to i ja nie mogłam. Uśmiechnął się. Ja też uśmiechnęłam się nieporadnie.

– Sensei.

– O co chodzi, Tsukiko?

– Dobrze się pan czuje, prawda?

– Czyżbyś myślała, że już umarłem?

– Tak, przychodziło mi to do głowy.

Sensei roześmiał się głośno. I ja też się roześmiałam. Ale nasz śmiech szybko zamarł. Sensei, chciałam powiedzieć, niech pan nie używa takich słów, „umarłem”. Wiedziałam jednak, co odpowie. Wiesz, Tsukiko, ludzie umierają. A jeszcze w moim wieku – prawdopodobieństwo śmierci jest o wiele, wiele wyższe niż u ciebie. Tak już jest w tym życiu.

Śmierć krąży wokół nas, zawsze.

– Wejdz, proszę – powiedział Sensei. – Może napijesz się herbaty – mówił, przechodząc w głąb domu.

Znaczek I ^a NY jest też na plecach koszulki. Zdejmując buty, odczytałam go na głos:

– *I love New York.*

A potem, idąc za nim, mamrotałam:

– O, pan śpi w takiej zachodniej pizamie, nie w tradycyjnej japońskiej.

Sensei odwrócił się do mnie.

– Tsukiko, proszę nie komentować moich zwyczajów odzieżowych.

– Tak – powiedziałam cichutko, a on odpowiedział, że w porządku.

Powietrze w domu było przesiąknięte wilgocią. W pokoju wielkości ośmiu mat leżała rozłożona pościel. Sensei niespiesznie nalał mi herbaty i niespiesznie mi ją podał. Piłam moją herbatę, starając się, by trwało to jak najdłużej.

Kilka razy odezwałam się do niego: „Sensei!”. Za każdym razem odpowiadał: „O co chodzi, Tsukiko?”. Ja w odpowiedzi na to „o co chodzi” nie mówiłam nic więcej, tylko potem zaczynałam znów: „Sensei!”. Nic innego nie byłam w stanie wykrztusić.

Kiedy skończyłam pić herbatę, zaczęłam się żegnać.

– Proszę dbać o siebie – powiedziałam grzecznie, gdy w sieni kłaniałam się na pożegnanie.

– Tsukiko.

– Tak? – Podniosłam głowę i wbiłam wzrok w jego twarz.

Ma zapadnięte policzki i potargane włosy. Tylko oczy mu błyszczą.

– Uważaj na siebie po drodze – rzekł wreszcie po dłuższej chwili milczenia.

– No wiadomo przecież, że dam sobie radę – odpowiedziałam i stuknęłam się pięścią w pierś.

Powstrzymałam Senseia, który chciał odprowadzić mnie do bramy, i zamknęłam za sobą drzwi. Na niebie wisiał księżyc jak rogalik. W ogrodzie grały owady: cyk, cyk, cyk, szsz... szsz... szsz...

Naprawdę nie rozumiem.

Wszystko mi jedno. Miłość, nie miłość, nie będę się tym już przejmować.

I naprawdę się nie przejmowałam. Jeśli tylko Sensei miał się dobrze, nie miałam się czym przejmować.

Wystarczy. Już wystarczy. Nie będę już nic więcej od niego oczekiwać, myślałam, idąc wzdłuż rzeczki.

Woda płynęła spokojnie. Płynęła do morza. Czy w tej chwili Sensei leży już pod kołdrą, w swoich spodniach od piżamy i koszulce? Czy zamknął porządnie drzwi? Zgasił światło w kuchni? Upewnił się, czy gaz w kuchence wyłączony?

– Sensei – powiedziałam cichutko, zamiast wzdychać, sama do siebie. – Sensei.

Znad rzeczki napływa wieczorne jesienne powietrze. Dobranoc, Sensei. Dobrze pan wyglądał w tej koszulce z napisem: I^a NY. Pójdźmy razem do baru, jak już całkiem pan wydobrzeje. Napijemy się razem u pana Satoru, a do tego zakąsimy czymś ciepłym, wszak to już jesień.

I tak bez końca zagadywałam do Senseia, oddalonego ode mnie o kilkaset metrów. Szłam ścieżką wzdłuż rzeczki i przemawiałam do niego, czując się, jakbym mówiła do księżycyca.

W parku

Zostałam zaproszona na randkę. Przez Senseia.

Wstydzę się używać tego słowa, „randka”, a przecież tak to jest między nami, że mamy już za sobą wspólny wyjazd (choć do żadnego „między nami” oczywiście wtedy nie doszło); zresztą, taka to randka – zdaje się, że w planie jest wystawa starej kaligrafii w muzeum, zupełnie jakby to była szkolna wycieczka. Niemniej jednak jest to randka. A najważniejsze jest to, że Sensei sam tak to nazwał: „Tsukiko, wybierzmy się na randkę”.

To wcale nie dlatego, że się upił w barze pana Satoru. Ani dlatego, że wpadliśmy na siebie na ulicy i zaproponował to przy okazji. I nie wydaje mi się, by dostał przypadkiem dwa bilety i dlatego pomyślał, żeby mnie zabrać. Umyślnie do mnie zadzwonił (że też znał mój numer telefonu!) i to nie, że wspomniał o tym przy okazji, tylko prosto z mostu powiedział: „Tsukiko, wybierzmy się na randkę”. Jego głos przeniesiony po linii telefonicznej brzmiał łagodniej niż zwykle. Może dlatego, że dźwięk jest trochę przytłumiony.

Umówiliśmy się na sobotę, na wczesne popołudnie. Ale nie na naszej stacji, tu w pobliżu, tylko przed stacją w okolicy muzeum, dokąd dojeżdża się z przesiadką. Okazuje się, że Sensei ma chyba jakąś sprawę do załatwienia przed południem i od razu potem pojedzie do muzeum.

– Tamten dworzec jest duży, trochę się obawiam, czy się nie zgubisz – rzekł Sensei ze śmiechem przez telefon.

– Na pewno się nie zgubię. Nie jestem już w tym wieku – odparłam i zamilkłam, nie wiedząc, co więcej mogłabym powiedzieć.

Z takim na przykład Kojimą Takashim rozmawia mi się bardzo łatwo (bo o wiele częściej rozmawiamy przez telefon, niż się spotykamy) i nie wiem, dlaczego telefon od Senseia sprawił, że cała zeszywniałam. Kiedy siedzimy obok siebie w barze i patrzymy na krzątanicę pana Satoru, jeśli trafi nam się przerwa w rozmowie, jestem w stanie trwać w milczeniu dowolnie długo. Jednak w przypadku telefonu milczenie jest po prostu milczeniem.

Wie pan. Tak. Hmm. Tylko tyle byłam w stanie wydobyć z siebie w czasie tej rozmowy. Mój głos stopniowo słabł i chociaż bardzo się ucieszyłam, że zadzwonił, wkrótce zaczęłam myśleć tylko o tym, żeby już odłożył słuchawkę.

– W takim razie już się cieszę na naszą randkę – powiedział Sensei na koniec.

– Tak – odpowiedziałam głosem tak słabym, że ledwo go było słychać.

W sobotę o pierwszej trzydzieści. Przy bramkach na stacji. Punktualnie. Również w razie deszczu. Wobec tego do zobaczenia. Wszystkiego dobrego.

Kiedy się rozłączyliśmy, klapnęłam bezsilnie na podłogę. Ze słuchawki, którą trzymałam w ręce, płynęły ciche dźwięki: pii, pii... I tak siedziałam przez dłuższą chwilę.

W sobotę była ładna pogoda. Jak na jesień dzień był gorący. W trochę grubszej bluzce z długim rękawem było mi za ciepło. Zniechęcona przykładem z naszego wyjazdu zdecydowałam się nie wkładać sukienki, do której nie jestem przyzwyczajona, ani wysokich obcasów. Bluzka z długim rękawem, bawełniane spodnie. Do tego mokasyny. Pewnie Sensei powie, że wyglądam jak chłopak, ale co tam, co mnie to obchodzi.

Przestałam się już przejmować tym, co Sensei może sobie pomyśleć. Nie zbliżać się za bardzo. Nie oddalać. Jak dżentelmen. Jak dama. Utrzymywać poprawne stosunki. Tak postanowiłam. Bez napięcia. Na długo. Nie prosząc o nic. Jakkolwiek bym się starała zbliżyć, Sensei mi na to nie pozwala. Jakby między nami była ściana z powietrza. Na pierwszy rzut oka miękka i niedająca się uchwycić, ale kiedy próbuje się ją sforsować – istny mur. Ściana z powietrza.

Jest piękny dzień. Na drutach elektrycznych gęsto siedzą szpaki. Myślałam dotąd, że one gromadzą się dopiero wieczorem, ale tutaj, choć jest środek dnia, zebrało się ich całkiem dużo. Ćwierkają coś do siebie, jakby rozmawiały w ptasim języku. Nagle spomiędzy nich spłynął inny głos:

– Ależ one hałasują!

Sensei.

Ma na sobie ciemnobrązową marynarkę. Do tego beżowa bawełniana koszula bez wzorów. Jasnobrązowe spodnie. On zawsze wygląda całkiem szykownie. Nigdy by nie założył krawata ze sznurka z ozdobnym kamieniem.

– Już się nie mogę doczekać – powiedziałam.

Sensei przez chwilę przyglądał się gromadzie szpaków, po czym spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

– Pójdziemy? – zapytał.

Spuściłam głowę i dopiero odpowiedziałam: – Tak. – Zwykle jedno słowo „Pójdziemy?”, głos Senseia też zabrzmiał tak jak zawsze, ale ja poczułam się dziwnie poruszona.

To Sensei kupił bilety na wystawę. Próbowałam wręczyć mu pieniądze, ale pokręcił głową.

– Nie trzeba – powiedział – przecież to ja cię zaprosiłem – i wcisnął mi pieniądze z powrotem.

Ramię w ramię weszliśmy do muzeum. W środku było tłoczno, czego się nie spodziewałam. Zadziwiło mnie to, że aż tylu ludzi wydaje się interesować pismem, którego zupełnie nie jestem w stanie odczytać, z okresów Heian czy Kamakura²⁸. Uważnie, bardzo uważnie Sensei przygląda się zwojom, takim do zawieszania na ścianie oraz takim rozwijanym w trakcie czytania, zamkniętym w szklanych gablotach. Ja przyglądam się jego plecom.

– Tsukiko, zobacz, to jest naprawdę wdzięczne – zwrócił się do mnie, wskazując coś, co wyglądało jak list napisany bladym tuszem, chwiejnymi literami.

Nie jestem w stanie tego przeczytać.

– A pan może to odczytać?

– Wiesz, właściwie to nie całkiem – powiedział ze śmiechem. – Ale to naprawdę ładne pismo.

– Ach tak?

– Na pewno zdarza ci się, Tsukiko, że kiedy widzisz kogoś interesującego, myślisz sobie: „A to świetny mężczyzna”, nawet jeśli nie umiałabyś się z nim porozumieć. Z kaligrafią jest tak samo.

– Aha – przytaknęłam. Ciekawe, czy kiedy Sensei widzi interesującą kobietę, myśli sobie: „Oo, a to dopiero piękna kobieta”, albo jakoś podobnie.

²⁸ Określenia stosowane w odniesieniu do okresów w historii Japonii: Heian 794-1192 (lub 1185), Kamakura 1192-1333.

Obejrzelismy wystawę czasową na pierwszym piętrze, po czym wróciliśmy na parter, zwiedziliśmy wystawę stałą i tak minęły dwie godziny. Ja najpierw nic nie rozumiałam z tej całej kaligrafii, ale gdy tak słuchałam jak Sensei mamrocze: „To naprawdę ładne znaki” albo: „Odrobinę oklepane” czy: „Śmiało, tak to chyba można powiedzieć” – w końcu zaciekała mnie. Zaczęliśmy się zabawiać, zupełnie jak gdybyśmy siedzieli w kawiarni przy ulicy i oceniali przechodzących ludzi, tylko że my wymienialiśmy wrażenia o przykładach kaligrafii z okresów Heian i Kamakura: „To jest niezłe”, „To trochę za bardzo wyciągnięte chyba”, „A to mi przywodzi na myśl takiego faceta, z którym się kiedyś spotykałam”.

Przysiedliśmy na kanapie ustawionej na półpiętrze. Ludzie przesuwają się przed naszymi oczami.

– Nie znudziło cię to, Tsukiko? – zapytał Sensei.

– Nie, to było bardzo ciekawe – odpowiedziałam. Mój wzrok błędził na wysokości bioder przechodzących przed nami osób. Od ciała Senseia promieniuje jego ciepło. Coś we mnie znów zawrzało. Siedzę na pełnej górek i dołków kanapie ze skrzypiącymi sprężynami, która w tej chwili wydaje mi się czymś najwygodniejszym na świecie. Cieszy mnie to, że mogę być obok Senseia. Po prostu mnie to cieszy.

– Czy coś się stało, Tsukiko? – spytał Sensei, zerkając na moją twarz.

Szłam obok niego i mamrotałam sama do siebie: – Niczego nie oczekiwać. Niczego nie oczekiwać. – Zupełnie jak ten chłopiec, bohater *Latającej klasy* (czytałam to w dzieciństwie), który mówił do siebie: „Nie wolno płakać. Nie wolno płakać”.

Być może to pierwszy raz, kiedy idę tak blisko obok Senseia. Zwykle było tak, że albo on zaczynał iść pierwszy, albo ja natychmiast ruszałam przodem.

Kiedy z naprzeciwka nadchodzą ludzie, rozchodzimy się na lewo i prawo, robiąc dla nich przejście. Jak już nas miną, znów się zbliżamy do siebie.

– Tsukiko, nie idź na tamtą stronę, przejdź tu, do mnie, proszę – powiedział wreszcie, kiedy któryś kolejny raz rozdzielili nas zbliżający się ludzie. Ja jednak odsunęłam się i przeszłam „na tamtą stronę”. Nie byłam w stanie podejść do niego aż tak blisko.

– Przestań się tak kręcić w tę i z powrotem jak wahadło.

Wreszcie, gdy jeszcze raz spróbowałam przejść „na tamtą stronę”, stanowczo chwycił mnie za ramię. Nawet nie mocno, ale ponieważ ja właśnie próbowałam się od niego odsunąć, poczułam się, jakby mnie ciągnął.

– Idźmy obok siebie, razem – powiedział, trzymając dłoń na moim ramieniu.

– Dobrze – odpowiedziałam ze spuszczoną głową. Czułam się tysiąc razy bardziej skrępowana niż na pierwszej randce w życiu. Sensei szedł z dłonią cały czas na moim ramieniu. Liście na drzewach rosnących wzdłuż jezdni ledwo zaczęły zmieniać barwy. Trochę jakby mnie areztował i prowadził na posterunek, myślałam, idąc obok niego.

Muzeum sztuki znajduje się pośrodku dużego parku. Jeśli pójdzie się w lewo, wychodzi się przed inne muzeum, naukowe, a jeśli w prawo – dochodzi się do ogrodu zoologicznego. Słońce późnego popołudnia oświetla pierś i plecy Senseia. Jakieś dziecko rozrzuca prażoną kukurydzą po chodniku. A gdy tylko kawałek kukurydzy upadnie na chodnik, natychmiast nadlatuje chmara gołębi. Dziecko krzyczy za każdym razem, zaskoczone. Usiłując dobrać się do kawałków kukurydzy na jego dłoni, gołębie furkoczą wokół malucha. Ten stoi dzielnie, choć twarz ma wykrzywioną powstrzymywaniem łez.

– Te gołębie wydają się bardzo zdeterminowane – powiedział beztróskim tonem Sensei. – Może odpoczniemy tutaj przez chwilę – zaproponował i usiadł na ławce. Dołączyłam do niego chwilę później. Przedwieczorne słońce oblewało światłem również i mnie.

– Ciekawe, czy się rozplacze. Tamten chłopczyk – powiedział Sensei i wyciągnął się w jego stronę, jakby żywo zainteresowany.

– Oj, chyba nie będzie płakał.

– Ale wiesz, wielu chłopców to beksy, więc...

– A nie dziewczynki?

– Nie, o wiele więcej tchórzy jest wśród chłopców niż wśród dziewczynek.

– A pan też był taki w dzieciństwie?

– Nawet i teraz jestem dość tchórzliwy.

Chłopczyk jednak się rozplakał. Gołębie próbowały usiąść nawet na czubku jego głowy. Kobieta, która zapewne była jego matką, przytuliła go ze śmiechem.

– Tsukiko – Sensei zwrócił się w moją stronę.

A skoro on tak zrobił, to ja nie mogłam już odwrócić się do niego.

– Tsukiko, dziękuję ci bardzo za to, że zechciałaś mi towarzyszyć w wyjeździe na wyspę.

– Aha – powiedziałam. Nie miałam ochoty przypominać sobie o wyspie. To właśnie od tamtego czasu słowa: „Niczego nie oczekiwać. Niczego nie oczekiwać”, zaczęły rozbrzmiewać w mojej głowie.

– Ja od dawna jestem raczej oferumą.

– Oferumą.

– Chyba tak się mówiło o takim dziecku, które jest raczej niezręczne w zachowaniu i reakcjach?

Jednak Sensei nie jest wcale oferumą. Zawsze wygląda stanowczo, energicznie i ma pięknie wyprostowane plecy.

– Nie, prawdziwy ze mnie oferuma.

Utulony przez matkę chłopczyk, do którego przed chwilą cisnęło się tyle gołębi, znów zaczął rozrzucać kukurydzę.

– Ten mały się nie zraża, prawda?

– Bo dzieci zwykle się nie zrażają.

– Rzeczywiście. I ja też mam taki charakter, że się nie zrażam.

Oferma, który się nie zraża. Co on właściwie chce mi przekazać? Zerknęłam na niego: siedział, oczywiście, jak zawsze, prosty jak struna i patrzył na dziecko.

– Wtedy na wyspie ciągle jeszcze myślałem jak offerma.

Gołębie znów zaczynają kłębić się wokół chłopca. Matka skarciła go. Gołębie próbują usiąść również na niej. Trzymając chłopca w objęciach, podjęła próbę ucieczki spomiędzy nich, jej synek jednak dalej rzucał im kawałki kukurydzy, więc ptaki leciały za nimi. Wyglądało to tak, jakby ciągnęła za sobą wielki dywan utkany z gołębi.

– Tsukiko, jak myślisz, jak długo jeszcze pożyję? – zapytał mnie niespodziewanie.

Nasze oczy się spotkały. Jego miały barwę spokoju.

– Długo, jeszcze długo! – krzyknęłam odruchowo.

Młodzi ludzie, dziewczyna i chłopak, którzy siedzieli na sąsiedniej ławce, obrócili się do nas, zdziwieni. Kilka gołębi uleciało wysoko ku niebu.

– To nie wydaje się możliwe.

– Ale naprawdę, jeszcze długo.

Prawa dłoń Senseia wzięła moją lewą dłoń. Tak jakby chciał ją owinąć swoją wysuszoną ręką.

– A jeśli to nie byłoby długo, zapewne nie byłabyś usatysfakcjonowana?

– Co... – wyrwało mi się i zamarłam z półotwartymi ustami. Sensei nazwał siebie offermą, ale to nie on, to ja nią jestem. My tu toczymy taką rozmowę, a moje żalosne usta nawet nie potrafią się porządnie domknąć.

Nawet nie zauważyłam, kiedy chłopczyk i jego matka zniknęli. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ledwo widoczne oznaki ciemności zaczynały skradać się do nas.

– Tsukiko – powiedział Sensei i płynnym ruchem wsunął palec wskazujący lewej ręki między moje rozchylone szeroko wargi. Zaskoczona, odruchowo zamknęłam usta. Sensei szybko wyjął palec, zanim mu go przytrzasnęłam zębami.

– Co pan wyprawia? – wykrzyknęłam.

Zachichotał.

– No bo ty jesteś naprawdę zbyt roztargniona.

– Ja po prostu bardzo poważnie zastanawiałam się nad tym, co pan powiedział.

– Przepraszam.

Objął mnie i przytulił. Poczułam się, jakby czas się zatrzymał.

– Sensei – szepnęłam.

– Tsukiko – usłyszałam szepnięcie w odpowiedzi.

– Nawet jeśli miałby pan już teraz zaraz umrzeć, w porządku. Ja wytrzymam – powiedziałam, chowając twarz na jego piersi.

– Nie, tak znów „teraz zaraz” nie umrę – odpowiedział, cały czas przyciskając mnie do siebie.

Jego głos był stłumiony. Brzmiał zupełnie tak samo jak przez telefon. Stłumiony, łagodny głos.

– To był tylko taki ozdobnik, tak mi się powiedziało.

– „Ozdobnik”, dobrze to ujęłaś.

– Dziękuję panu.

Siedzimy przytuleni, ale wciąż używamy wobec siebie oficjalnego języka. Gołębie podrywają się do lotu jeden za drugim i zacierają w stronę gęstej kępy drzew. Wysoko ponad nimi kołuje stado wron. Kraczą do siebie donośnymi głosami: kra! kra! Ciemność pogłębia się coraz bardziej. Zarys postaci kobiety i mężczyzny, którzy siedzą na sąsiedniej ławce, staje się niewyraźny.

– Tsukiko – powiedział Sensei, siadając prosto.

– Tak? – Ja też się wyprostowałam.

– I tak to właśnie...

– Tak.

Przez dłuższą chwilę milczy. Jest już ciemno i nie widzę jego twarzy. Ze wszystkich ławek nasza jest najbardziej oddalona od latarni. Sensei kilka razy odkasznął.

– I tak to właśnie...

– Tak.

– Czy zechciałabyś, Tsukiko, spotykać się ze mną ze świadomością, że pragnę twojej miłości?

– Co? – wykrztusiłam. – Sensei, o co panu chodzi? Przecież ja już od dawna jestem w panu całkowicie zakochana – wyrzuciłam z siebie, zapominając o wszelkim skrępowaniu. – Przecież sam pan chyba dobrze wie, że już od jakiegoś czasu kocham pana, co to ma znaczyć, to „ze świadomością”?

Wrona siedząca na gałęzi w pobliżu zakrakała głośno: kraa! Zaskoczona, poderwałam się z ławki. Kraa, krzyknęła wrona jeszcze raz. Sensei uśmiechnął się. I uśmiechając się, ponownie objął moją dłoń swoją.

Przywarłam mocno do ciała Senseia. Objęłam go w pasie, przytuliłam się i wciągnęłam powietrze, by poczuć jego zapach. Dotarła do mnie ledwo wyczuwalna woń naftaliny.

– Tsukiko, czuję się zawstydzony, kiedy aż tak się do mnie przyciskasz.

– Przecież przed chwilą sam mnie pan do siebie przyciskał.

– Byłem zdeterminowany jak nigdy w życiu.

– Ale czuło się, że ma pan w tym praktykę.

– Oczywiście, przecież byłem kiedyś żonaty.

– Skoro tak, nie powinien pan być teraz zawstydzony.

– Bo tak przy ludziach...

- Jest już na tyle ciemno, że nie widać.
- Ależ widać.
- Nie widać.

Cały czas wtulona w jego pierś, uroniłam kilka łez. Przyciskając twarz do jego marynarki, mówiłam bez ładu i składu, żeby nie odkrył, że płaczę, żeby nie zwrócił uwagi na mój nabrzmiały łzami głos. Sensei delikatnie gładził mnie po włosach.

– Świadomość, dobrze, może być, że z taką świadomością – bełkotałam. – Tak, pozwolę sobie spotykać się z panem, z taką właśnie świadomością.

– To doskonale, Tsukiko, jesteś grzeczną dziewczynką – wymamrotał podobnie jak ja Sensei. – Jak ci się podobała nasza pierwsza randka?

– Było całkiem dobrze – odpowiedziałam.

– Czy będziesz tak dobra i pójdziesz znów na randkę ze mną? – pyta Sensei. Ciemność po cichutku spływa na nasze głowy.

– Mogę pójść. I będę też mieć świadomość.

– To gdzie się wybierzemy następnym razem?

– Disneyland może być?

– Deznej...?

– Disney, Sensei, Disney.

– Aaa, Disney, Disneyland. Tylko że ja nie przepadam za takimi zatłoczonymi miejscami.

– Ale ja chcę się tam wybrać. Do Disneylandu.

– W takim razie pojedziemy do Deznejlandu, dobrze?

– Przecież mówię, że to nie jest Deznej.

– Tsukiko, czy ty nie jesteś zbyt surowa?

Ciemność nas otacza, a my dalej rozmawiamy trochę bełkotliwie. Zdaje się, że i wrony, i gołębie wróciły już do swoich gniazd. Suche, ale ciepłe ramię Senseia obejmuje mnie, a ja sama nie wiem, czy chcę śmiać się, czy płakać. Nie roześmiałam się jednak ani też nie rozplakałam. Po prostu trwałam sobie cichutko przytulona do piersi Senseia.

Bicie jego serca dociera do mnie poprzez marynarkę, ledwo wyczuwalne. Siedzimy przytuleni w ciemności.

Teczka Senseia

Weszłam do baru pana Satoru za białego dnia, co rzadko mi się zdarza.

Zima dopiero się zaczęła, więc przed piątą jeszcze nie jest ciemno. Zdecydowałam się wracać bezpośrednio do domu z miejsca, gdzie załatwiałam służbową sprawę, i nie zaglądać już do firmy. Sprawę udało mi się zakończyć niespodziewanie szybko. Dawniej zajrzałabym na chwilę do domu towarowego, ale tym razem nabrałam ochoty, żeby pójść do baru pana Satoru i wyciągnąć tam również Senseia. Zaczęliśmy tak robić, odkąd oficjalnie jesteśmy parą (to jego określenie). A jak by to wyglądało, gdybyśmy ciągle jeszcze nie byli parą? Na pewno nie próbowałabym go wyciągnąć, tylko zapewne przyszedłabym do baru, zmitrężyłabym trochę czasu za białego dnia na przyjemnym popijaniu sake, a jednocześnie czekałabym z biciem serca, czy Sensei się nie pojawi.

Niewielka różnica. Albo bym czekała, albo obyłoby się bez czekania. Tylko tyle.

– Tylko czy to czekanie nie jest jednak raczej przykre? – zagadnął mnie pan Satoru, podnosząc głowę znad deski, na której siekał coś pilnie.

Kiedy przyszedłam, właśnie polewał wodą ulicę przed wejściem i wyjaśnił mi, że nie skończył jeszcze przygotowań, ale był tak dobry i pozwolił mi wejść do baru, przed którym dotąd nie wywiesił norenu na znak, że jest otwarte.

– Proszę sobie tam usiąść, za trzydzieści minut otwieramy – powiedział i umieścił przede mną butelkę piwa, otwieracz i talerzyk z niewielką ilością miso. – Otworzy sobie pani butelkę sama, dobrze? – poprosił jeszcze i wziął się do siekania.

– Czekanie to tak naprawdę dobra rzecz.

– Ach tak?

Czułam, jak piwo spływa w głąb mojego ciała. Tam, gdzie przepłynęło, po chwili robiło mi się przyjemnie ciepło. Liznęłam miso. To było miso ze zbożem.

– Przepraszam, muszę zadzwonić – powiedziałam; wyjęłam komórkę z torebki i wybrałam numer Senseia. Przez chwilę zastanawiałam się, czy zadzwonić do niego do domu, czy na komórkę, i w końcu zdecydowałam się na to drugie.

Sensei odebrał po sześciu dzwonekach. A właściwie, choć odebrał, nic nie powiedział. Milczał przez pierwszych dziesięć sekund. Nie cierpi telefonów komórkowych; jak twierdzi, ze względu na to, że głos potrafi docierać z opóźnieniem.

– Ja nie mam zastrzeżeń do samych telefonów komórkowych. Myślę również, że ta sytuacja, kiedy ktoś głośno przemawia jakby sam do siebie w obecności innych, jest również niezmiernie interesująca.

– Ach tak.

– Jednakże, jeśliby w takim razie uznać, że uważam używanie telefonu komórkowego za słuszne, oo, to byłoby raczej trudne.

Tak wyglądała nasza rozmowa, kiedy zachęcałam go do sprawienia sobie komórki.

Dawniej zapewne odmówiłby natychmiast, ale ponieważ bardzo go przekonywałam, nie mógł tak zwyczajnie oświadczyć, że tego nie zrobi. To mi przypomina, że mężczyźni, z którymi się dawniej spotykałam, gdy nasze opinie się różniły, po prostu odmawiali od razu, ale Sensei nie był taki. Nie wiem, czy mogę to nazwać łagodnością. Wydawało mi się, że u niego ta łagodność wypływa ze starania, by być sprawiedliwym. To nie to, że starał się traktować mnie łagodnie, tylko raczej chciał bez uprzedzeń wysłuchać mojego poglądu – z takiego właśnie iście nauczycielskiego podejścia brała się jego łagodność. Była ona czymś o kilka szczebli lepszym, niż gdyby po prostu był łagodny wobec mnie.

To jest takie moje małe odkrycie. Kiedy człowiek styka się z łagodnością niemającą żadnego uzasadnienia, czuje się z tym niezręcznie. Jednakże czujemy się dobrze, jeśli jesteśmy traktowani sprawiedliwie.

– Gdyby coś się wydarzyło, byłabym spokojniejsza – podałam jako powód.

Sensei otworzył szeroko oczy.

– Coś się wydarzyło, co to znaczy? – zapytał.

– Coś to znaczy coś.

– Ale co takiego?

– Na przykład gdyby zdarzyło się, że niesie pan dużo rzeczy w obu rękach, nagle zaczyna padać deszcz, a w pobliżu nie ma budki telefonicznej. Chowa się pan po dachem jakiegoś sklepu, ale zbiera się tam coraz więcej ludzi, a w dodatku spieszy się pan, bo musi szybko wrócić do domu – choćby w takim wypadku.

– Tsukiko, w takim wypadku po prostu zmoknę w drodze.

– Ale może będzie pan niósł coś, co nie powinno zmoknąć. Na przykład taką bombę, która eksploduje, kiedy zetknie się z wilgocią.

– Takich rzeczy to ja nie kupuję.

– A pod dachem sklepu mogą kryć się też jacyś niebezpieczni ludzie.

– Prawdopodobieństwo natknięcia się na nich przed sklepem jest takie samo jak wtedy, kiedy idziemy sobie razem pieszo.

– Można się poślizgnąć na mokrym chodniku.

– To chyba raczej ty, Tsukiko, często się przewracasz. Ja jestem zaprawiony w chodzeniu po górach.

We wszystkim, co mówił, miał rację. Umilkłam i zwiesiłam głowę.

– Tsukiko – powiedział spokojnie Sensei po chwili. – Już rozumiem. Dobrze, kupię sobie telefon.

– Co? – zapytałam. A Sensei odpowiedział, głaszcząc mnie po głowie:

– Rzeczywiście, w przypadku osób starszych nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

– Pan nie jest jakąś „osobą starszą” – powiedziałam, ja z kolei zaprzeczając sama sobie.

– Ale w zamian.

– Tak?

W zamian, mówił, proszę cię, Tsukiko, żebyś nie używała określenia „komórka”. Proszę, mów: „telefon komórkowy”. Koniecznie. Określenie „komórka” jest obrzydliwe. Dla mnie.

I tak doszło do tego, że Sensei ma telefon komórkowy. Czasami dzwoniłam do niego, dla ćwiczenia. Tylko raz zdarzyło się, że to on zadzwonił do mnie.

– Sensei.

– Tak?

– Jestem w barze pana Satoru.

– Tak.

Sensei odpowiada mi tylko „tak”. To się zdarza często, ale kiedy rozmawiamy przez telefon komórkowy, ta tendencja staje się jeszcze wyraźniejsza.

- Przyjdzie pan?
- Tak.
- Cieszę się.
- Ja również.

Wreszcie wykrztusił z siebie coś innego niż tylko „tak”. Pan Satoru uśmiechnął się jakby sam do siebie. Po czym wyszedł z za baru i poszedł wywiesić *noren*. Nabrałam trochę miso na palec, liznęłam. Powietrze przesycał zapach podgrzewanego odenu.

Jest pewna sprawa, o której dużo myślę.

Ciągle jeszcze nie doszło do zbliżenia między Senseiem a mną.

Myślę o tym tak samo jak o oznakach zaburzeń związanych z menopauzą, której nieuchronne nadejście już przeczuwam, albo tak samo jak o wartości gamma GTP dla wątroby, którą przejmuję się za każdym razem, kiedy mam badania lekarskie. Jeśli chodzi o działanie ludzkiego ciała, przysadka mózgowa, narządy wewnętrzne, narządy płciowe – wszystko się ze sobą łączy. Zrozumiałam to na przykładzie wieku Senseia.

Myślę o tym, ale to nie znaczy, że jestem niezadowolona. Nie doszło do zbliżenia, to cóż, tylko tyle, nie doszło do zbliżenia. Wydaje się jednak, że Sensei ma do tego trochę inny stosunek.

– Tsukiko, pewna sprawa mnie niepokoi – powiedział kiedyś.

Właśnie jedliśmy u niego w domu tofu na gorąco. Od południa raczyliśmy się piwem i jako zakąskę do tego Sensei w aluminiowym garnku przyrządził tofu. Były w nim i kawałki dorsza, i liście wiosennych chryzantem. Kiedy ja przygotowuję tofu na gorąco, jest w nim tylko tofu. I kiedy tak w środku dnia popijałam sobie piwo, moje myśli błądziły wokół tego, jak to obcy ludzie poznają się nawzajem.

– Niepokoi?

– Ponieważ od wielu lat nie miałem kontaktu z kobietą, więc...

– A – wyrwało mi się i zamarłam z półotwartymi ustami. Choć uważałam przy tym, żeby mi Sensei nie włożył znowu palca. Zdarzyło się dawniej, że kiedy się zagapiłam, Sensei natychmiast leciutko wsunął czubek palca do mojej otwartej buzi. Lubi psoty bardziej, niżbym się tego po nim spodziewała.

– W porządku. Nie musimy tego robić – zapewniłam go pospiesznie.

– „Tego”, masz na myśli te sprawy?

– Ach, takie tam „te sprawy” – odpowiedziałam, siadając porządnie na piętach, po japońsku.

Sensei z poważną miną kiwnął głową.

– Tsukiko, kontakt cielesny jest bardzo ważny. Niezależnie od wieku jest czymś niezwykle istotnym – mówił potoczycie, tak samo jak wtedy, gdy dawno temu ze swojej katedry nauczycielskiej odczytywał nam *Opowieść o rodzie Taira*²⁹. – Tylko że ja nie mam pewności, czy będę w stanie. Jeśli spróbujemy, mimo tego, że nie mam pewności, gdyby się nie powiodło, zapewne jeszcze bardziej stracę pewność. Nie mogę nawet podjąć próby, gdy tak się tego obawiam – rozbrzmiewała dalej *Opowieść*. – Jest mi naprawdę z tego powodu szalenie przykro – zakończył Sensei swoją recytację i pochylił głowę w głębokim ukłonie. Ja również skłoniłam się.

Ja pomogę. Podejmijmy tę próbę. Niedługo. Tak chciałam mu odpowiedzieć, ale poczułam się przytłoczona solennym przemówieniem Senseia i nie zdołałam otworzyć ust. Nie zdołałam też powiedzieć, że nie powinien się tym przejmować.

Ani że wystarczy mi, jeśli będzie mnie całował i mocno przytulał.

²⁹ *Heike monogatari*, japoński epos z I poł. XIII wieku, opiewający historię wzrostu, rozkwitu i upadku potężnego rodu Taira, zwalczanego przez ród Minamoto.

Nie byłam w stanie wypowiedzieć ani słowa, więc wzięłam butelkę i nalałam piwa do jego szklanki. Sensei wypił je do dna, zadzierając głowę tak, jakby chciał zaprezentować mi gardło. Wyłowiłam kawałek dorsza z garnka. Do ryby przyłgnał listek chryzantemy i przez chwilę podziwiałam kontrast bieli i zieleni.

– Proszę spojrzeć, Sensei, jakie to ładne – powiedziałam, a on uśmiechnął się. I pogłaskał mnie kilka razy po głowie, tak jak to zawsze robi.

Umawialiśmy się na randki w przeróżnych miejscach. Sensei lubi to słowo, „randka”.

– Chodźmy na randkę – mówił.

Chociaż mieszkamy blisko siebie, na spotkanie umawiamy się zawsze na stacji w pobliżu miejsca randki. Do stacji dojeżdżamy osobno. Kiedy zdarzyło się, że wpadliśmy na siebie w pociągu jadącym do tej stacji, Sensei wymamrotał:

– Ojej, Tsukiko, a to niespodzianka, żeby się w takim miejscu spotkać.

Najczęściej jeździliśmy do oceanarium. Sensei lubił ryby.

– W dzieciństwie lubiłem przeglądać atlas ryb – wyjaśnił mi kiedyś.

– W dzieciństwie, to znaczy w jakim wieku?

– Chyba kiedy byłem w szkole podstawowej.

Kiedyś pokazał mi swoje zdjęcia z tamtych czasów. Na wyblakłym do koloru sepii zdjęciu miał na głowie czapkę marynarską i mrużył oczy, jakby słońce go oślepiało.

– Uroczy – powiedziałam.

Sensei kiwnął głową.

– Tsukiko, ty i teraz jesteś urocza.

Zatrzymaliśmy się przed wielkim zbiornikiem dla tuńczyków i bonito, zbudowanym na planie okręgu. Kiedy patrzyliśmy, jak ryby krążą w nim cały czas w jedną stronę, przypomniało mi się, że chyba już kiedyś, dość dawno temu, musieliśmy tak stać we dwoje.

- Sensei – zagadnęłam.
- Tak, o co chodzi, Tsukiko?
- Sensei, kocham pana.
- Ja też cię kocham, Tsukiko.

Powiedzieliśmy to sobie bardzo poważnie. Zawsze byliśmy poważni. Nawet kiedy sobie żartowaliśmy, byliśmy poważni. Jak się nad tym zastanowić, to i te ryby bonito są poważne.

I tuńczyki też. Niemal wszystko, co żyje na tym świecie, jest zasadniczo poważne.

Oczywiście wybraliśmy się też do Disneylandu. Kiedy przyglądaliśmy się wieczornej paradzie, Senseiowi napłynęły łzy do oczu. I mnie też. Zapewne każde z nas płakało, przypominając sobie coś zupełnie innego.

– Wieczne światło jest czymś niezwykle smutnym, prawda? – powiedział Sensei, wydmuchując nos w wielką bieluteńką chustkę.

– Panu więc też się zdarza rozplakać.

– Jest powszechnie wiadomą sprawą, że osoby w starszym wieku mają rozluźnione kanaliki łzowe.

– Kocham pana.

Sensei nie odpowiedział. Bez ruchu przyglądał się paradzie. Kiedy słońce oświetla jego profil, wygląda, jakby miał trochę wpadnięte oczy.

– Sensei – zagadnęłam, ale nie odpowiadał. – Sensei – powiedziałam jeszcze raz, jednak nadal nie reagował. Wsunęłam ramię pod jego ramię, ścisnęłam mocno i też wbiłam wzrok w Myszkę Miki, krasnoludki i Śpiącą Królową.

– To była przyjemna randka – powiedziałam.

– Mnie też sprawiła przyjemność – odpowiedział wreszcie.

- Proszę mnie znów dokądś zabrać.
- Zabiorę.
- Sensei.
- Tak.
- Sensei.
- Tak.
- Sensei, proszę, niech pan nigdzie nie odchodzi.
- Ależ ja nigdzie nie odchodzę.

Muzyka towarzysząca paradzie zabrzmiała nagle głośniej krasnoludki podskoczyły. Wreszcie korowód postaci oddalił się. Zostaliśmy wśród ciemności. Zamykający paradę Miki szedł powoli, kręcąc biodrami. Sensei i ja wzięliśmy się za ręce. I zadrżeliśmy oboje.

Może opowiem o tym, jak Sensei ten jeden jedyny raz zadzwonił do mnie z telefonu komórkowego?

W tle słychać było hałas, więc domyśliłam się, że właśnie z tego telefonu dzwoni.

- Tsukiko – zaczął.
- Tak?

Odwrotnie niż zazwyczaj, tym razem to ja mówiłam „tak”.

- Tsukiko, jesteś naprawdę dobrą dziewczynką.
- Tak?

Powiedział tylko tyle i raptem rozłączył się. Od razu oddzwoniłam do niego, ale nie odbierał. Dwie godziny później zadzwoniłam do jego domu i tym razem to on odpowiadał mi bardzo spokojnym tonem.

- Co to było, ten telefon przedtem?
- Ach nic, tak mi tylko nagle przyszło do głowy.
- A skąd pan dzwonił?
- Stałem obok warzywnego przy stacji.
- Warzywnego? – zdziwiłam się.

– Tak, kupiłem białą rzodkiew i szpinak – zaczął wyjaśniać.

Roześmiałam się i Sensei po drugiej stronie przewodu też się roześmiał.

– Tsukiko, przyjeźdź teraz – powiedział nagle.

– Do pana domu?

– Tak.

Pospiesznie wrzuciłam do torby szczoteczkę do zębów, piżamę i tonik do twarzy. Do domu Senseia prawie biegłam.

Czekał na mnie koło bramy. Od razu wzięliśmy się za ręce i poszliśmy do pokoju ośmiomatowego, a Sensei rozłożył tam materac. Ja rozpostarałam prześcieradło. Przygotowywaliśmy razem posłanie, jakbyśmy pracowali przy taśmie fabrycznej.

Nic nie mówiąc, przewróciliśmy się razem na koldrę. Po raz pierwszy objął mnie mocno, gwałtownie.

Tę noc spędziłam w jego domu i spałam obok niego. Kiedy nastał ranek i otworzyłam okiennice, w promieniach słońca zaśniły czerwone owoce aukuby. Bilbile przyleciały, żeby je skubać. Ich okrzyki rozlegały się w całym ogrodzie Senseia. Przyglądaliśmy im się, stojąc obok siebie.

– Jesteś dobrą dziewczynką – powiedział Sensei.

– Kocham pana – odpowiedziałam.

Ptaki pokrzykiwały.

Te wydarzenia zdają się teraz bardzo odległe. Dni, które spędziłam z Senseiem, płynęły gładko, ale i intensywnie. Odkąd go spotkałam ponownie, dwa lata. A potem odkąd zaczęliśmy „spotykać się oficjalnie”, trzy lata. Tyle właśnie czasu mieliśmy dla siebie.

A przecież to było tak niedawno.

Dostałam teczkę Senseia. Specjalnie ją mi zapisał.

Syn nie był do niego zbyt podobny. W milczeniu skłonił przede mną głowę. Dopiero w tym, pod jakim kątem się pochyłał, dało się dostrzec pewne podobieństwo do ojca.

– Podobno bardzo zaopiekowała się pani moim ojcem, Harutsuną, przed jego śmiercią – powiedział i pokłonił się przede mną głęboko.

Kiedy usłyszałam to imię, Harutsuna, poczułam, że w moich oczach wzbierają łzy. Przecież dotąd prawie wcale nie płakałam. Ale „Matsumoto Harutsuna” brzmiało, jakby dotyczyło kogoś zupełnie obcego i dlatego byłam w stanie się rozplakać. Zanim się do niego całkowicie przyzwyczałam, odszedł sobie gdzieś daleko. Odkąd to zrozumiałam, mogłam już płakać.

Teczka Senseia leży obok toaletki. Czasami zaglądam do baru pana Satoru, choć nie tak często jak dawniej. Pan Satoru nic nie mówi. Zawsze kręci się po barze i zdaje się bardzo zajęty. W środku jest ciepło, więc czasem zdarza mi się tam przysnąć. Sensei zapewne powiedziałby, że nie wypada się tak zachowywać w miejscu publicznym.

*Gdy ścieżki podróże błędzą w oddali,
chłód doskwiera w poszarpanej kurcie.
Niebo wieczorem pozostanie czyste,
tylko czy serce moje nie przestanie boleć?³⁰*

To Irako Seihaku, o którym kiedyś dowiedziałam się od Senseia. Inny wiersz niż ten, o którym mi wtedy mówił, spróbuję przeczytać go na głos w moim pokoju. Sensei, powiem, odkąd pana nie ma, trochę się uczyłam.

³⁰ Czwartha i ostatnia strofa wiersza Irako Seihaku pt. *Akiwa no sato (Wioska jesiennej harmonii)*, z tomu *Kujakubune (Pawi statek)*, wyd. w Japonii 1906 (przekład mój – A.Z.).

Sensei, zagaduję do niego, a wtedy czasami zdarza się, że gdzieś spod sufitu rozlega się głos: „Tsukiko!”. Do tofu na gorąco pod jego wpływem zaczęłam dodawać dorsza i liście wiosennych chryzantem. Sensei, spotkajmy się kiedyś znów, mówię, a on, ten pod sufitem, odpowiada, że tak, koniecznie musimy się kiedyś spotkać.

W takie noce otwieram sobie teczkę Senseia i zaglądam do środka. Wewnątrz rozciąga się pusta przestrzeń, nic w niej nie ma. Tylko nieokreślona przestrzeń.